www.tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 9 (1103)
22-28.02.2021
Cena 7,50 zł
(w tym 8% VAT)

Krystyna Kacpura
Kobietom było źle. Jest tragicznie

Grzegorz Jarzyna
Gramy inaczej niż reszta teatrów

Dr Paweł Bukowski
Polskie podatki to kuriozum

Miliard utopiony w Elektrowni Ostrołęka

EMERYT SPOD WADOWIC WYKIWAŁ IPN

FAŁSZYWY „WYKLĘTY"

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
9 771509 311102 09

AUTORKA:
OLGA TOKARCZUK

ADAPTACJA I REŻYSERIA:
ANNA SROKA-HRYŃ

PRAWIEK
I INNE CZASY

PREMIERA
WWW.TCN.AT.EDU.PL

COLLEGIUM NOBILIUM
TEATR

eprasa.pl fe65c2f2d1

Jerzy Domański

Słownik polsko-pisowski

Nawet Herkules nie dałby rady, a my musimy. Bo bez przywrócenia pierwotnego znaczenia wielu słowom, które zostały kompletnie wypaczone przez rządzących, nie będziemy mieli normalnie funkcjonującego państwa. Metoda stosowana przez PiS i jego przybudówki nie jest w polityce niczym nowym. Politycy bardzo często próbują się przytulać do idei i słów, z którymi niewiele mają wspólnego. Odzierają je z powszechnie znanych treści. I tak prawo przestaje znaczyć prawo, a naród staje się tylko prorządową częścią społeczeństwa.

Zagrabionych słów jest już tak wiele, że czas zacząć pracę nad słownikiem polsko-pisowskim. Będzie bardzo pomocny, gdy ktoś będzie chciał pojąć te pisowsko-covidowe czasy. Dzieło zapowiada się na spore objętościowo. Sprostać mu może tylko dobra ekipa. Z czym akurat nie będzie problemu, bo językoznawcy jakoś nie zasilili dojnej zmiany. Może więc się skrzyknie taka słownikowa ekipa. My też chętnie dołożymy do tego własną cegiełkę. Bo i nam coraz trudniej pojąć, co oni do nas mówią w tej swojej polszczyźnie.

Encyklopedycznie można opracować trudno policzalne kłamstwa i obietnice. Z podziałem na takie kategorie: politycy, zaciąg kadrowy w spółkach skarbu państwa, rodziny i znajomi dojnej zmiany na posadach, plankton wędrujący za każdą władzą. Lista jest otwarta i czeka na uzupełnienie.

Bo wbrew legendom o genie bohaterstwa, jaki w DNA mają Polacy, łatwiej przychodzi spotkać oportunistę i kunktatora, dostosowującego się do każdej sytuacji.

W pisowskim wydaniu polityka godnościowa polega na odbieraniu prawa do szacunku wszystkim, którzy tej partii nie popierają. Nawet ze swoimi wyborcami nie postępują lepiej. Nic się nie zmieniło, od kiedy Jacek Kurski, dziś bardzo wpływowy polityk PiS, ogłosił, że ciemny lud wszystko kupi. Dla niego elementem przywracania Polakom godności jest wysyp chałturników z występami disco polo. Z kolei prezydent Duda, lokajsko kucający przed Trumpem, bez cienia żenady serwuje Polakom opowieść o wstawaniu z kolan.

Ich szef, prezes Kaczyński, ma do nich szczególnie godnościowe podejście. Nawet nie udaje, że w prezydencie ma partnera. A co do reszty? Kogo widzimy? Ludzi sparaliżowanych strachem, bojących się wychylić z jakimś słowem, które mogłoby się nie spodobać prezesowi, polityków na ważnych funkcjach, a tak stłamszonych, że budzą litość.

Kaczyński poniewiera nimi, bo może. Bo się na to zgadzają. Bo w bilansie korzyści, jakie mają w tym toksycznym układzie, wychodzi im, że warto nadstawiać swój policzek prezesowi. Ale to, co im w duszy gra, Kaczyńskiemu nic dobrego nie wróży.

BĄKOWSKI

CYTATY

DANIEL PASSENT, komentator
Ilekroć Waszyngton wysyłał sygnał, Polska go odbierała. Bo najsilniejsza w Polsce jest partia amerykańska.
„Polityka"

DOROTA WELLMAN, dziennikarka
Wysadzimy was z ciepłych miejsc w Sejmie.
„Wysokie Obcasy"

Zaglądaj do rubryki
Z DNIA NA DZIEŃ
Codziennie ciekawe opinie o aktualnych wydarzeniach
www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl fe65c2f2d1

W NUMERZE

KRAJ

8 **Fałszywy „wyklęty”**
Emeryt spod Wadowic wykiwał IPN
12 **W IPN neofaszyści w cenie**
14 **Lody turbiną kręcone**
Miliard utopiony w Elektrowni Ostrołęka
17 **Cyberprzemocy nie pokonamy w tydzień**
– rozmowa z dr. hab. Jackiem Pyżalskim
20 **Dramaty pacjentek, czyli gdzie jest państwo**
Są trudne ciąże, brakuje empatii
23 **Koniec z handlowaniem prawami kobiet**
– rozmowa z Krystyną Kacpurą
26 **„Kasta” 2.0**
TVP w służbie propagandy
27 **Radar nie wybacza**
28 **Podatek od miliarderów, nie od Kowalskich**
– rozmowa z dr. Pawłem Bukowskim

PRZEGLĄD ZWIĄZKOWY

31 **Czy małe jest piękne?**
Mikrofirmy nie takie korzystne

ZAGRANICA

32 **Ile zostało z supermocarstwa**
Polityka gabinetu Bidena
34 **Nowa nadzieja czy mniejsze zło?**
Konkurent dla Netanjahu
37 **Do przeprosin daleko**
Francuzi bez skruchy za Algierię

OPINIE

40 **Ignacy Dudkiewicz**
Hipokryzja obrońców demokracji

KULTURA

44 **Zaryzykuj wszystko**
– rozmowa z Grzegorzem Jarzyną
48 **Powrót Bauhausu**
50 **Qulturalia**
66 **Hanna Kotewicz**

OBSERWACJE

52 **Kafejka internetowa pod Everestem**
Kulisy życia w obozie himalaistów
56 **Uszy słyszą jedno, oczy widzą drugie**
Korespondencja z Włoch

ZDROWIE

59 **Domowy trening – czy to działa?**
Żeby ćwiczyć, nie trzeba siłowni

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Słownik polsko-pisowski
13 **Roman Kurkiewicz**
Rzeczpospolita katolibpolska
25 **Andrzej Szahaj**
Antyspołecznościowe media społecznościowe
43 **Tomasz Jastrun**
Prawda i kłamstwo
51 **Agnieszka Wolny-Hamkało**
Jasne, że M. nie ma

23
KRAJ

KONIEC Z HANDLOWANIEM PRAWAMI KOBIET
– rozmowa z Krystyną Kacpurą

44
KULTURA

ZARYZYKUJ WSZYSTKO
– rozmowa z Grzegorzem Jarzyną

52
OBSERWACJE

KAFEJKA INTERNETOWA POD EVERESTEM
Kulisy życia w obozie himalaistów

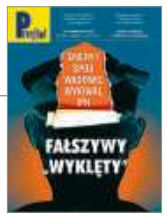

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. ARCHIWUM

eprasa.pl fe65c2f2d1

Pytanie naiwne

Jeżeli rządząca dziś Polską część Solidarności (ta mniej „wolnościowa", bardziej „narodowa") jest zdania, że da się to robić, tylko podporządkowując sobie sądownictwo, środki przekazu, edukację i prawa kobiet oraz dręcząc nieposłusznych i uczciwych, to po co było obalać tamtą Polskę? Nawiązującą związki ekonomiczne i kulturalne z Zachodem, dbającą o kulturę narodową i rozluźniającą zapisy cenzuralne, sprzyjającą budowie kościołów, zapewniającą wysoki przyrost naturalny, zmierzającą do pluralizmu politycznego i wybijającą się krok za krokiem na niepodległość. Rządzący tamtą Polską dyktatorzy budzili może mniej sympatii, zwłaszcza za przesadną ostrożność wobec Kremla, ale przynosili mniej wstydu, w kraju i za granicą.

Andrzej Lam

Narodowe zwierciadło

Red. Jerzy Domański kończy swój komentarz w nr. 7 PRZEGLĄDU słowami: „…słusznie krytykowani politycy nie trafili na Wiejską z kosmosu. To przecież my. Społeczeństwo w pigułce. Narodowe zwierciadło. I aż strach się w nim przeglądać". W Słowniku Języka Polskiego pod hasłem poseł czytamy m.in., że to „przedstawiciel ludności w Sejmie". My jednak nie wybieramy do Sejmu posłów jako przedstawicieli mieszkańców z okręgu, lecz głosujemy na listy partyjne. To zasadnicza różnica. Według konstytucji „posłowie są przedstawicielami Narodu. Nie wiążą ich instrukcje wyborców". Kim jest ten Naród według autorów konstytucji, skoro wyborcy nie mogą udzielać instrukcji wybranym przez siebie mandatariuszom i nie mogą cofnąć przedstawicielstwa w trakcie kadencji? Czyimi tak naprawdę posłowie są przedstawicielami: kierownictw partyjnych, lobbystów, episkopatu, amerykańskiej ambasady? Dopóki będziemy przez partyjniactwo traktowani przedmiotowo, dopóty nie wymusimy takiej zmiany prawa, by to obywatel był podmiotem.

Józef Brzozowski, Żory

Czy PiS uda się złamać niezależne media?

Zablokowanie ustawy o dodatkowym opodatkowaniu reklam byłoby w interesie mniejszych koalicjantów PiS, ponieważ politycy Porozumienia i Solidarnej Polski doświadczyli na własnej skórze, co oznaczają media zależne od władzy. Kiedy podskakiwali Kaczyńskiemu, tracili zaproszenia do TVP i Polskiego Radia. Porozumienie wydało komunikat, że jest przeciw tej ustawie, w Solidarnej Polsce na razie nie dostrzegłem podobnych przejawów instynktu samozachowawczego.

Artur Eichhorst

Wojna o metale rzadkie

W opisie książki „Wojna o metale rzadkie. Ukryte oblicze transformacji energetycznej i cyfrowej" (PRZEGLĄD nr 8) znalazły się słowa: „pogrążamy się w nowym uzależnieniu – od metali rzadkich, takich jak grafit, kobalt, ind…". Grafit nie jest metalem.

Agnieszka Stelmach

ZDJĘCIE TYGODNIA

Zima wyrzeźbiła lodowe wojsko – zachodni falochron we Władysławowie.

FOT. ŁUKASZ DEJNAROWICZ/FORUM

eprasa.pl fe65c2f2d1

Prof. Henryk Skarżyński 25 lat temu (1996 r.) był inicjatorem powołania **Instytutu Fizjologii i Patologii Słuchu.** Od tego czasu wykonano tam 4 mln badań i konsultacji oraz 500 tys. procedur chirurgicznych. Instytut, którego dyrektorem jest prof. Skarżyński, od wielu lat wykonuje najwięcej na świecie operacji poprawiających słuch. Gratulujemy jubileuszu i wspaniałych osiągnięć.

W 373 szkołach wyższych kształci się **1,2 mln studentów;** w ramach pomocy ze strony państwa w 2020 r. dostali w różnych formach ponad 1,4 mld zł.

Prof. Jerzy Zajadło za zbiór esejów „Minima Iuridica. Refleksje o pewnych (nie)oczywistościach prawniczych" **został laureatem Konkursu im. prof. Tadeusza Kotarbińskiego** na najlepszą książkę humanistyczną. Nagrodę ufundował Uniwersytet Łódzki.

Igor Gorzkowski za reżyserię spektaklu **„Inny świat"** w Teatrze Telewizji otrzymał **Nagrodę im. Stefana Treugutta przyznawaną przez Polską Sekcję AICT.**

Dzięki dofinansowaniu in vitro przez samorząd **Częstochowy** od 2012 r. urodziło się tam **51 dzieci.**

130 300 zł dostanie **Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy** po licytacji **rakiety, którą Iga Świątek** grała w finale French Open.

Zbigniew Ziobro złożył do Sądu Najwyższego kasację od wyroku w sprawie **zdjęcia krzyża w pokoju nauczycielskim** w szkole w Krapkowicach. Grażyna Juszczyk, nauczycielka, która zdjęła krzyż, wygrała wytoczone jej sprawy we wszystkich instancjach sądowych.

Senat nie dał się nabrać na manewr z obsadzeniem **Piotra Wawrzyka,** wiceministra spraw zagranicznych z PiS, w roli rzecznika praw obywatelskich. W tajnym głosowaniu kandydatura Wawrzyka przepadła.

Na wprowadzenie religii na maturze nalegają **bp Wojciech Osial,** przewodniczący komisji wychowania katolickiego KEP, i wiceminister edukacji **Tomasz Rzymkowski.**

Sąd Okręgowy w Koninie skazał na pół roku więzienia mężczyznę, który dał swojej dziewczynie pieniądze na **tabletki wczesnoporonne,** co uznano za „pomocnictwo w aborcji". Doniósł na nich lekarz ze szpitala w Koninie.

Adam Bielan jeszcze nie może zameldować prezesowi Kaczyńskiemu: „Zadanie wykonane. Porozumienie Jarosława Gowina jest już bez Gowina". W roli pucyzsty Bielan jest równie udany jak w roli uczciwego polityka.

O prawie 40% spadła liczba pasażerów PKP w 2020 r.

PRZEBŁYSKI

Nie słyszeli o Gierku

Gierek? Nie znają. Nigdy nawet o nim nie słyszeli. Choć tak na oko prof. Wojciech Fałkowski, dyrektor Zamku Królewskiego, nie wygląda na człowieka, który przyszedł na świat wraz z dojną zmianą. Podobnie Bożena Radzio, kustosz zamku. Skąd więc takie zdziecinnienie? W czasie obchodów 50. rocznicy decyzji o odbudowie Zamku Królewskiego dotknięty amnezją – albo tylko kunktatorstwem – Fałkowski nie wydusił z siebie nazwiska Gierka. Podobnie zaniemogła pani kustosz Radzio. W tekście opublikowanym w dodatku tygodnika „Do Rzeczy" za pieniądze KGHM, czyli nasze, z cenzorskim talentem wygumkowała Gierka. Takie numery w piśmie fundamentalistów katolickich jakoś nas nie dziwią.

Wierzbicki wygrał ze Śpiewakiem

Sąd sądem, a sprawiedliwość musi być po naszej stronie. Sławny spór Pawlaka z Kargulem ożył w nowym wydaniu. Jan Śpiewak, z zawodu aktywista, jest ich internetową repliką. Ze złym światem i złymi ludźmi walczy na Twitterze. Ostatni sprawiedliwy w Sodomie i Gomorze. Barwnie i bezlitośnie chłoszcze wrogów. Świat, który widzi Śpiewak, jest czarny jak listopadowa noc. Z jedną białą chorągiewką. Niesie ją on, we własnej osobie Janek Śpiewak. Byłoby pięknie. Gdyby nie sądy. Gdy Śpiewak przegrał proces z Sebastianem Wierzbickim, szefem warszawskiego SLD, na którego naujadał w 2019 r., usłyszeliśmy, że „jest to kolejny skandaliczny wyrok, który słyszę w tym sądzie". Złośliwcy mówią, że kłamstwa Śpiewaka mają krótkie nóżki.

Miłuj bliźniego

Z inicjatywy „Naszego Dziennika", czyli o. Rydzyka, zaczęła się Pokuta Rodzin 2021. Słusznie, bo jest za co przepraszać. W rodzinach też nie brakuje patologii i konfliktów. A poza rodzinami jest jeszcze gorzej. Pokuta poprzez post i różaniec nie zaszkodzi. Ale bardziej wierzymy w planowane dobre uczynki. Codziennie jeden. Na przykład coś takiego: miłuj bliźniego swego jak siebie samego. Zbyt trudne? Może więc przykład da sam inicjator pokuty Tadeusz Rydzyk. I z serdeczną miłością pozdrowi nawet tych, którzy nie dają na tacę.

Jak żyć bez Trumpa?

Nie przepadamy za nim. Ale szczery płacz po Trumpie potrafimy docenić. Dr Artur Wróblewski, trochę mylnie przestawiany jako amerykanista, głównie jest trumpistą. I to jakim! Nawet Duda przy nim wysiada. Do niezłomnego prezydenta jakoś już dotarło, że po Trumpie zostały mu (czyli nam) jedynie słone rachunki do zapłacenia. Za broń, gaz, niskie opodatkowanie gigantów informatycznych itd. Wróblewski liczy, że po Trumpie urodzi się tam równie godny następca. Godny wedle kryteriów Wróblewskiego, dla którego nawet przygłupiasty Reagan był charyzmatycznym liderem. A dla spragnionych spotkania z Wróblewskim oko w oko mamy informację, że prawie codziennie słodzi PiS w TVP Info.

FOT. YOUTUBE (2), ARCHIWUM (2)

eprasa.pl fe65c2f2d1

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Jak Ruch Polska 2050 wpłynie na opozycję?

DR ALEKSANDRA JAWORSKA-SURMA,
psycholożka, specjalistka w zakresie marketingu

Platforma Obywatelska to partia, której wielu – nawet spośród jej wyborców – zarzuca miałkość, niezdecydowanie i brak sprawczości. Przez ostatnie lata istotą jej funkcjonowania było bycie anty-PiS i rakiem na opozycyjnym bezrybiu. Jednak ostatnie topnienie słupków sondażowych skorelowane ze wzrostem poparcia dla ruchu Hołowni może na nią podziałać jak zimny prysznic. Może wreszcie zda sobie sprawę z tego, że aby pociągnąć za sobą ludzi, trzeba mieć pomysł na swoją tożsamość i unowocześnić sposób prowadzenia polityki. Inicjatywa Hołowni jest dobrą lekcją dla PO, jaki sposób komunikacji w polityce działa. To wyrazisty, pełen energii lider, który skraca dystans, mówi zrozumiałym językiem i empatycznie wyraża emocje. A także wykorzystanie możliwości bezpośredniego docierania do wyborców przez media społecznościowe, eksponowanie ekspertów i wolontariuszy oraz profesjonalny branding. PO ma okazję wziąć od Polski 2050 lekcję nowoczesnego marketingu politycznego i wykorzystać ją do odbudowania swojej pozycji.

DR PRZEMYSŁAW POTOCKI,
politolog, specjalista komunikacji politycznej

Moim zdaniem ten ruch wpłynie przede wszystkim na większą aktywność w terenie pozostałych sił opozycyjnych, a także skłoni je do zaproponowania potencjalnym wyborcom atrakcyjniejszej oferty programowej. Jednocześnie może spowodować większą skłonność do patrzenia w sposób dwublokowy na rywalizację między obozem Zjednoczonej Prawicy a całą opozycją, parlamentarną i pozaparlamentarną. Dodatkowo sposoby komunikacji Szymona Hołowni z jego zwolennikami stanowią pewną innowację i wydaje się, że z powodzeniem mogłyby być stosowane również przez liderów innych sił opozycyjnych.

DR HAB. LECH SZCZEGÓŁA,
socjolog, Uniwersytet Zielonogórski

Dziś łatwiej o odpowiedź na to, jak Polska 2050 wpływa na układ rządzący. Każdy podział po stronie opozycji stabilizuje jego chwiejącą się hegemonię. Sondażowe elektoraty ruchu Hołowni i PO są dzisiaj w sumie liczniejsze niż zwolennicy Zjednoczonej Prawicy. Połączenie obu formacji, logicznie niezbędne, ale praktycznie jeszcze nierealne, znacząco zmieniłoby układ sił. Niestety, jesteśmy w Polsce, gdzie logika przeważnie rozmija się z praktyką polityczną. Wyborczy sukces koalicji AWS w 1997 r. pokazuje, że zdarzają się wyjątki, jednak do tego potrzebne było przemyślenie źródeł klęski centroprawicy w 1993 r. Obecnie jesteśmy dopiero w fazie przesilenia i poszukiwania własnych tożsamości przez poszczególne formacje opozycji. Polska 2050 wciąż tylko wprowadza ożywczy ferment. Dla części wyborców stanowi nadzieję, ale dla potencjalnych partnerów koalicji niechcianą konkurencję.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl fe65c2f2d1

Fałszywy „wyklęty”

Emeryt spod Wadowic wykiwał IPN

Leszek Konarski

Sprawa wyłudzenia od skarbu państwa metodą na „żołnierza wyklętego” odszkodowania przez Stanisława Matuszka ze Stryszowa pod Wadowicami to nie kolejny sprytny przekręt na wnuczka lub na policjanta, ale coś poważniejszego. 17 lutego br. Sąd Okręgowy w Krakowie, skazał 83-letniego dzisiaj emeryta na rok pozbawienia wolności z rocznym zawieszeniem i na zwrot wszystkich pieniędzy, które Matuszek otrzymał od państwa za rzekomą walkę z komunistami. Nakazał też ogłoszenie wyroku w wydaniach regionalnych „Kroniki Beskidzkiej” i „Gazety Krakowskiej”, czego domagał się prokurator i co ma być przestrogą dla wszystkich próbujących fałszować historię.

Ten krakowski proces to z jednej strony totalna klęska państwowej polityki historycznej, a z drugiej jakieś niewielkie światełko, że w Instytucie Pamięci Narodowej ktoś przejrzał na oczy, przyznał się do błędu. Najpierw szefowie IPN chwalili się niezłomnym żołnierzem spod Wadowic, zapraszali go na uroczystości, robili wspólne zdjęcia, a potem dyrektor krakowskiego archiwum IPN Rafał Dyrcz przyznał na sali sądowej, że historycy zostali oszukani.

Prawdę mówiąc, żal mi tego starszego i mocno schorowanego pana, który do niedawna był walecznym „żołnierzem wyklętym” o pseudonimie „Góral”, a kilka dni temu został uznany za przestępcę. Badany był przez sądowych psychiatrów, bo myślano, że może jest paranoikiem, ale nic z tych rzeczy. Po przejściu na emeryturę chciał tylko sobie dorobić, pomóc córce w kupnie mieszkania. W drugiej połowie lat 50. miał pistolet i z dwoma wspólnikami napadał na sklepy, listonoszy; kradli, co się dało, szastali pieniędzmi, urządzali libacje. Teraz widział w telewizji, że w taki sam sposób „żołnierze wyklęci” zdobywali

Stanisław Matuszek myślał, że kiedy opisze w książce swoją rzekomą walkę z komuną, wszyscy w to uwierzą.

Jako młody człowiek Stanisław Matuszek imał się różnych zawodów. Trafił też do więzienia.

fundusze na swoją działalność. Najsłynniejszy miejscowy, wadowicki, „żołnierz wyklęty” Mieczysław Wądolny też w latach 1945-1947 napadał z bronią, strzelał do listonoszy i sprzedawców. Co z tego, że w drugiej połowie lat 50. nie było już „żołnierzy wyklętych”, historycy przecież nie wszystko wiedzą. Matuszek też mógł dokonywać napadów, aby zdobyć pieniądze dla podziemnej antykomunistycznej organizacji Polska Walcząca i wszystko, co zrabował, oddawał swojemu dowódcy mjr. Szczerbakowskiemu. Z miesiąca na miesiąc wymyślał coraz to nowe napady na funkcjonariuszy bezpieki, milicjantów, członków aparatu partyjnego, w których rzekomo uczestniczył. Ale prowadzący sprawę sędzia Wojciech Kolanko, na podstawie dostarczonych przez prokuraturę i IPN materiałów oraz zeznań samego Matuszka, który na sali sądowej wielokrotnie zmieniał wersję i dalej próbował grać bohatera, nie uwierzył w te opowieści.

Stanisław Matuszek nie miał specjalnych problemów z tym, aby jego pospolite przestępstwa zostały uznane za walkę z komuną i zamienione na wielkie pieniądze. Trzeba tylko spełnić kilka warunków. Oto jego przepis na „żołnierza wyklętego”.

Siedzieć w więzieniu

Z tym nie było żadnego problemu. Stanisław Matuszek przebywał w więzieniach w Wadowicach, w Krakowie i w Sztumie, wyszedł po ośmiu i pół roku. W 1959 r. został skazany za dokonanie ze wspólnikami dwóch napadów rabunkowych z bronią w ręku. Najpierw na sklep Samopomocy Chłopskiej w Baczynie koło Suchej Beskidzkiej, gdzie sterroryzowali sklepową Anastazję S. oraz klientów. Zabrali kasę, wódkę, czekolady, konserwy, cukierki i inne towary za 10 tys. zł. Potem wspólnie przeprowadzili napad na listonoszkę, zabrali jej 145 500 zł. W trakcie odsiadywania kary Matuszek miał drugi proces za nielegalne posiadanie broni, za co dostał sześć lat i po połączeniu obydwu kar miał do odsiadki 12 lat. Zwolniono go przedterminowo pod koniec 1967 r.

Być katolikiem

Pierwszy raz o Stanisławie Matuszku zrobiło się głośno z końcem 2004 r.

eprasa.pl fe65c2f2d1

W artykule opublikowanym 30 grudnia w „Dzienniku Polskim" pisano, że emerytowany pracownik Zakładów Elementów Obrabiarkowych „Ponar" w Wadowicach na swojej posesji znajdującej się przy trasie turystycznej zbudował kapliczkę i umieścił w niej wyrzeźbioną przez siebie postać Jezusa Ukrzyżowanego. Stanisław Matuszek stwierdził w artykule, że budowa tej kapliczki to realizacja marzenia jego już nieżyjącego przyjaciela, księdza, którego poznał w czasie uroczystości maryjnych w Kalwarii Zebrzydowskiej. Księdzu temu, po zobaczeniu jego domu, przyśniło się, że z tego pięknego miejsca Chrystus spogląda na ośnieżoną Babią Górę i szczyty Beskidów. Niestety, ksiądz zmarł i nie doczekał końca budowy kapliczki.

Znaleźć swojego bohatera

Stanisław Matuszek doszedł do wniosku, że jego idolem będzie miejscowy watażka Mieczysław Wądolny, który po zakończeniu wojny wstąpił do Milicji Obywatelskiej. Gdy po siedmiu miesiącach służby funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa znaleźli w jego domu kilka niemieckich automatów, pepesze, granaty i tysiące sztuk amunicji, został on osadzony w wadowickim areszcie, skąd po pięciu dniach uciekł do lasu, przybrał pseudonim „Mściciel" i utworzył liczący ok. 30 osób oddział partyzancki „Burza", zwalczający władzę ludową. Likwidowali milicjantów, przedstawicieli władzy ludowej, nauczycieli, strzelali do współmałżonków, nawet do dzieci. Niszczyli dokumentację w urzędach, spisy ludności, akta podatkowe i kontyngentowe. Rozbroili posterunki MO w Babicach, Wieprzu, Makowie Podhalańskim, Zawoi, Mucharzu, Stryszowie, Zembrzycach. Z końcem 1946 r. oddział „Mściciela" został podporządkowany Józefowi Kurasiowi „Ogniowi". Wądolny zginął w strzelaninie z milicjantami 14 stycznia 1947 r., miejsca pochowania jego ciała nigdy nie odnaleziono.

Gdy Wądolny walczył z władzą ludową, Stanisław Matuszek był jeszcze dzieckiem, ale zapamiętał, że „Mściciel" przychodził do ich domu, bo jego ojciec podpowiadał mu, kogo należy z tego świata sprzątnąć. Czynami „Mściciela" był tak bardzo zafascynowany, że potem przystąpił do antykomunistycznej działalności. W wywiadzie dla „Gazety Krakowskiej" (16 września 2016 r.) 78-letni „wyklęty", opowiedział: „Mój ojciec Władysław był jego takim doradcą. Mówił np., kto jest donosicielem, a Wądolny potem wszystko realizował. Dlatego »Mściciel« często bywał u nas w domu. Pierwszy raz przyszedł, gdy miałem jakieś 10 lat. Częstował cukierkami. Potem odkryłem, co robi, i dla mnie był bohaterem. Chciałem być taki jak on".

Czyny Wądolnego małego chłopca napawały dumą. Zastrzelono Władysława Pasternaka – I sekretarza komitetu powiatowego PPR w Wadowicach, Franciszka Mieszczka – funkcjonariusza UB w Wadowicach, w Kleczy Dolnej zamordowano chorążego RKU w Wadowicach Józefa Sadzikowskiego wraz z żoną będącą w ciąży, rodziców sześciorga dzieci, w Wielkich Drogach nauczycielkę i członkinię PPR Leokadię Łukasik, w Bieńkówce zlikwidowano Jana Rusina – działacza Stronnictwa Ludowego i posła do Krajowej Rady Narodowej, w Makowie Podhalańskim zastrzelono Szczepana Fidelusa – działacza Stronnictwa Ludowego wraz z żoną Julią. Lista ofiar jest długa: Jan Hudzik z Babic, Franciszek Kaczak z Zembrzyc, Józef Szarak z Rokowa, Jan Guzdek ze Stryszowa, Kazimierz Prokurat z Kleczy Górnej, Tadeusz i Józefa Łysiakowie z Izdebnika i wielu innych. Żołnierze WP, milicjanci, sklepikarze. Ojciec Matuszka doradzał, Wądolny strzelał. Pif-paf!

Stanisław Matuszek domagał się 3,78 mln zł odszkodowania i zadośćuczynienia. Dostał 355 tys. zł. Teraz musi je zwrócić.

Działać w podziemiu

Przyszły „żołnierz wyklęty" jako młody człowiek imał się różnych zawodów, pracował w wiejskim kinie, był monterem instalacji sanitarnych w Hucie im. Lenina, pomocnikiem kierowcy w nowohuckim Transbudzie, górnikiem w Jaworznie. Chciał zostać pilotem, ale szybko doszedł do wniosku, że musiałby służyć komunistom, i z tego pomysłu szybko zrezygnował, bo on od dzieciństwa chciał z nimi walczyć. Nawiązał więc w Krakowie kontakt z mjr. Wacławem Szczerbakowskim, radcą prawnym, szefem podziemnej organizacji Polska Walcząca.

Szczerbakowski, jak twierdził Stanisław Matuszek, urodził się w rodzinie ziemiańskiej na Wołyniu, studiował prawo na Uniwersytecie Lwowskim, potem, służąc w Wojsku Polskim, związał się z kontrwywiadem i likwidował sowieckie siatki szpiegowskie. Po wkroczeniu Niemców dostał się do niewoli, uciekł ze stalagu, odnalazł żonę i dwoje dzieci, zmienił tożsamość i pracował w urzędzie pocztowym w Tarnopolu, gdzie przechwytywał donosy na sąsiadów pisane do sowieckich urzędów. Po zakończeniu wojny przeniósł się do Krakowa, gdzie pracował jako radca prawny. Tu też założył antykomunistyczną organizację.

Jak twierdził Matuszek, organizacja o nazwie Polska Walcząca liczyła od 60 do 100 osób podzielonych na trzy- i pięcioosobowe grupy. Wszystko było tajne, jedni o drugich nic nie wiedzieli. Zadania wyznaczał Szczerbakowski i jemu też składano meldunki oraz przekazywano pieniądze zdobyte w czasie przeprowadzanych akcji.

Nawiązać współpracę z IPN

Aby zostać uznanym za „żołnierza wyklętego", konieczna jest akceptacja Instytutu Pamięci Narodowej i z tym emeryt spod Wadowic nie miał większych kłopotów. Opowiadał na spotkaniach o swoich wyczynach, uczestniczył w patriotycznych uroczystościach, fotografował się w towarzystwie dyrektorów IPN. Powoływał się na znajomość z Januszem Kurtyką, choć dopiero po śmierci byłego prezesa IPN. Udzielał wywiadów z okazji ▸

Naszemu autorowi,
twórcy Społecznego Forum
Wymiany Myśli we Wrocławiu

RADOSŁAWOWI S. CZARNECKIEMU

składamy serdeczne wyrazy
współczucia z powodu śmierci

MAMY

Jerzy Domański i zespół PRZEGLĄDU

eprasa.pl fe65c2f2d1

kolejnych rocznic śmierci Mieczysława Wądolnego i podpowiadał badaczom z IPN, gdzie trzeba kopać, aby znaleźć jego ciało.

I tak cztery lata temu, 15 stycznia 2017 r., portal Wadowice24.pl doniósł, że w trakcie uroczystości zorganizowanych przez IPN w sobotę 14 stycznia 2017 r., w bazylice Ofiarowania NMP w Wadowicach odprawiono mszę za duszę por. Mieczysława Wądolnego, ps. „Granit" i „Mściciel", oraz za jego żołnierzy, w której wziął udział żołnierz niezłomny Stanisław Matuszek „Góral". Potem na miejscowym cmentarzu dyrektor krakowskiego oddziału IPN Filip Musiał powiedział o Mieczysławie Wądolnym: „To postać wyjątkowo krystaliczna i świetlista w panteonie żołnierzy niezłomnych. Jeżeli popatrzymy, w jaki sposób działał oddział dowodzony przez por. »Granita« i »Mściciela«, to jest to jeden z tych oddziałów, które bez żadnych wątpliwości, od początku do końca swego istnienia działały zgodnie z etosem Wojska Polskiego. Dlatego Mieczysław Wądolny jest pięknym wzorcem do naśladowania dla patriotów i dla młodego pokolenia, jako żołnierz niezłomny".

Te słowa napawały Matuszka dumą, bo to przecież jego ojciec doradzał Wądolnemu i mówił mu, kto kolaboruje z władzą ludową i kogo należy zlikwidować. Tylko dlaczego pod sprawozdaniem z tej uroczystości, gdzie jest mowa o krystalicznej i świetlistej postaci żołnierza niezłomnego, na wadowickim portalu znalazły się takie komentarze internautów: „»Mściciel« to był największy bandyta okolic Wadowic. Mordował, rabował, gwałcił i Bóg wie tylko jakie zbrodnie popełnił. Pluję na tego bandziora i mam nadzieję, że smaży się w piekle". „Bandyta, Bandyta, Bandyta, Bandyta".

Napisać książkę

Gdy poumierali świadkowie i nie można znaleźć dokumentów, najlepiej swoje dokonania opisać w książce. Tak też zrobił Stanisław Matuszek – opisał swoją walkę z władzą ludową w drugiej połowie lat 50. jako działalność na rzecz demokracji. W książce „Moja walka o demokrację" znalazły się brawurowe akcje, strzelaniny, wysadzanie pomników, zdobywanie pieniędzy dla podziemnej organizacji.

Współpracę z podziemiem antykomunistycznym, jak pisze Matuszek, rozpoczął w kwietniu 1955 r. od malowania haseł na murach, rozrzucania ulotek, zrywania plakatów propagandowych, oblewania pomników farbą. Oto kilka fragmentów jego wspomnień, z zachowaniem oryginalnej pisowni:

Idolem Matuszka był wadowicki „żołnierz wyklęty" Mieczysław Wądolny, ps. „Mściciel".

„W maju zostałem przedstawiony dowódcy organizacji Polska Walcząca mjr. Szczerbakowskiemu i zostałem zaprzysiężony na wierność Polsce i organizacji z zakończeniem »tak mi dopomóż Bóg«, przyjmując pseudonim »Góral«. Organizacja była podzielona na sekcje od 3 do 5 osób i liczyła wtedy 60 członków. W naszej sekcji były cztery osoby, a dowódcą był Romek w stopniu plutonowego, ja i moi koledzy Wacek i Janek byliśmy szeregowcami. Awans na kaprala otrzymałem dopiero w przeddzień święta narodowego, tj. 11 listopada 1955 r. w wieku 17 lat".

„Brałem udział w rozbrajaniu na terenie Krakowa ubeków i milicjantów, przy czym bezpośrednio nie brałem w tym udziału tylko stałem na czatach informując, że zbliża się odpowiednia osoba lub byłem w obstawie gdyby trzeba było interweniować. Na szczęście nigdy nie trzeba było – ponieważ akcje przeprowadzali odpowiednio wyszkoleni koledzy /dwóch lub trzech/ znający tzw. chwyty komandoskie, obecnie coś w rodzaju judo. Obezwładniali przeciwnika powalając go na ziemię. Wtedy zabierano mu broń, legitymację, dowód i różne akta jeśli przy sobie miał. Jeśli był to osobnik, który specjalnie znęcał się nad aresztowanymi działaczami opozycji i był funkcjonariuszem UB dostawał odpowiednie lanie stosownie do zasług. Podobnie było w przypadku milicji z tym że zabierano im tylko broń i dokumenty ale ich nie bito, chyba że się stawiali. Przy tego typu akcjach nigdy nie używano broni ani jej nie wyciągano. Chodziło o to żeby myślano, że był to wybryk chuligański. Poza tym nie napadano na przypadkowych funkcjonariuszy tylko na osoby wskazane przez informatorów, których organizacja miała zarówno w UB jak i w milicji. Inaczej było z ormowcami, zazwyczaj skarżyli się sąsiedzi, że węszą donoszą do MO np. że ktoś słucha Wolnej Europy, że kupił na lewo trochę mięsa od chłopa, wreszcie że ktoś źle wyrażał się o władzy ludowej itp. Takich delikwentów łapano na ulicy i spuszczano im solidne lanie, jeżeli nie pomogło, to spuszczano następne, aż do skutku. Ale zasadniczym celem organizacji nie było wymierzanie sprawiedliwości na własną rękę, ale przede wszystkim: budzenie ducha świadomości narodowej poprzez sięganie do wartości patriotycznych i akcję propagandową".

Wyrok krakowskiego sądu ma być przestrogą dla wszystkich próbujących fałszować historię.

„Zdobywanie pieniędzy na cele organizacyjne polegało na tym, że otrzymywano od informatorów wiadomości kiedy i o jakiej godzinie na terenie całego województwa krakowskiego będą przenoszone pieniądze z banku na wypłaty dla pracowników UB, MO, PZPR i innych organizacji politycznych itp. (…) Były

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE(2), IPN

eprasa.pl fe65c2f2d1

również napady na oddziały bankowe, szczególnie w terenie jak również na urzędy pocztowe i większe sklepy państwowe na krótko przed zamknięciem. (…) W czasie akcji nie używano broni, chyba że na postrach nawet przy rozbrajaniu milicjantów. (...) Za swoją działalność nie mieliśmy żadnych profitów, otrzymywaliśmy tylko zwrot kosztów przejazdu i ewentualnie parę groszy diety".

Matuszek pisze, że po sześciu miesiącach awansował na stopień podporucznika. Wszystkie pieniądze z napadów przekazywał mjr. Szczerbakowskiemu, który przeznaczał je na druk ulotek i plakatów o treściach antykomunistycznych oraz przygotowywanie następnych akcji. Część funduszy przekazywano jako zapomogi chorym żołnierzom antykomunistycznego podziemia.

Swoją rzekomą walkę z władzą ludową Stanisław Matuszek opisał w książce.

Z początkiem 1959 r. autor książki został aresztowany, potem mjr Wacław Szczerbakowski zginął, zastrzelony w czasie zasadzki. Organizacja Polska Walcząca przestała istnieć, a większość jej członków wyjechała za granicę.

Książka o tym, jak Matuszek walczył w Polsce o demokrację, krążyła w odbitkach kserograficznych, bo autor nie mógł znaleźć wydawcy, a w IPN też nie wzbudziła entuzjazmu.

Żądać odszkodowania

W 2012 r. Stanisław Matuszek wystąpił do krakowskiego sądu o unieważnienie wyroku z 1959 r., ponieważ miał zostać skazany za przynależność do tajnej organizacji Polska Walcząca, w której działał przez pięć lat. Przekonał sąd, że to mjr Szczerbakowski wydawał polecenia dokonywania napadów. Ze skoku na listonoszkę dostał zaledwie 20 tys. zł, dwaj inni uczestnicy akcji otrzymali 40 tys. zł, a reszta, ok. 70 tys. zł, poszła na tajną organizację. Tak też było przy innych napadach na banki czy sklepy. Nie napadali dla rabunku, ich celem była walka z komunistami; zdobywali fundusze dla tajnej organizacji, a sami otrzymywali grosze, taki zwrot kosztów akcji. Zaginęły dokumenty związane z organizacją Polska Walcząca, zmarły osoby, które znały mjr. Szczerbakowskiego, nie żyją też funkcjonariusze SB i MO, którzy rozpracowywali jego organizację. Nie pomogło powstanie Instytutu Pamięci Narodowej. Trzy zdjęcia przedstawiające mjr. Szczerbakowskiego Matuszek jakoby wręczył osobiście dr. Januszowi Kurtyce, który był wtedy prezesem krakowskiego IPN, ale zaginęły one w niejasnych okolicznościach, potem Kurtyka zginął w katastrofie smoleńskiej.

W tym pierwszym procesie na sali sądowej zjawił się świadek, dzisiaj już nieżyjący, który potwierdził bezinteresowną walkę Matuszka o demokrację. Sąd w to uwierzył i unieważnił wyrok z 1959 r. Gdy Matuszek dostał na piśmie, że jego napady były walką o niepodległy byt państwa polskiego, natychmiast wystąpił o wypłatę odszkodowania i zadośćuczynienie. Najpierw za walkę z władzą ludową dostał 101,1 tys. zł. Potem wystąpił o rekompensatę za drugi wyrok, za nielegalne posiadanie broni, i otrzymał ponad 253 tys. W sumie skarb państwa wypłacił mu 355 tys. zł, choć Matuszek domagał się 3,78 mln. Z każdą rozprawą przybywało krzywd, jakich doświadczył. Opisywał m.in., jak został postrzelony przez milicjanta w czasie roznoszenia ulotek.

Koniec snu o „wyklętym"

Za swoją walkę uzyskał sporo pieniędzy, napisał książkę, zapraszano go na spotkania i uroczystości państwowe, ceniony był w IPN. Ale tego wszystkiego było mu mało i w 2018 r. złożył wniosek w Urzędzie ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych o przyznanie mu uprawnień kombatanckich przysługujących ofiarom represji okresu wojennego i powojennego, bo chciał mieć dodatek do emerytury. I to go zgubiło. Zrobił jeden krok za daleko.

Wniosek z Warszawy został przesłany do Krakowa i okazało się, że w archiwach IPN są dokumenty Komendy Powiatowej MO w Wadowicach dotyczące trzyosobowej grupy Stanisława Matuszka i jego dwóch już nieżyjących kompanów, Romana P. oraz Andrzeja G,. którzy z bronią w ręku dokonywali napadów rabunkowych. W ich domach znaleziono część zrabowanych rzeczy – motocykl, zegarki, radioodbiorniki, aparaty fotograficzne. Śledztwo prowadziła Milicja Obywatelska, a nie SB, i nie było przypuszczeń, że osoby te prowadzą jakąkolwiek działalność polityczną. Poza tym krakowski oddział IPN przeprowadził bardzo dokładną kwerendę i nie znaleziono żadnej informacji o istnieniu mjr. Szczerbakowskiego i kierowanej przez niego organizacji Polska Walcząca. Zawiadomiono więc prokuraturę, która zebrała dowody na popełnienie przestępstwa i konieczność zwrotu przez ▸

Poczta Polska
Płać mniej!
Jeden egzemplarz w prenumeracie
~~7,50 zł~~ 5,69 zł
Przedłuż pocztową prenumeratę PRZEGLĄDU
Zamówienia można składać do 25 lutego 2021 r.
Realizacja od kwietnia 2021 r. po dokonaniu przedpłaty
74 zł – II kwartał,
222 zł – II, III, IV kwartał
• we wszystkich placówkach pocztowych na terenie kraju lub u listonoszy
• drogą elektroniczną pod adresem: prenumerata.poczta-polska.pl
Zostań w domu!
Listonosz bezpiecznie dostarczy Twój tygodnik

eprasa.pl fe65c2f2d1

Stanisława Matuszka niesłusznie wypłaconych pieniędzy.

O tym, że nikt z historyków IPN nie słyszał nigdy o mjr. Szczerbakowskim ani liczącej 100 osób organizacji Polska Walcząca, mówił na sali sądowej Rafał Dyrcz, naczelnik Oddziałowego Archiwum IPN w Krakowie. Jest rzeczą niemożliwą, aby w drugiej połowie lat 50. Służba Bezpieczeństwa była zupełnie ślepa i nie zauważyła tak dużej podziemnej organizacji. W odnalezionych aktach nie ma jakichkolwiek wzmianek o uznaniu przez bezpiekę sprawców napadów w okolicach Wadowic za członków organizacji niepodległościowej.

W wystąpieniu końcowym prokurator Andrzej Babicz stwierdził, że wina Stanisława Matuszka, który, podając się za „żołnierza wyklętego", wyłudził odszkodowanie, jest bezsporna. Żadne z odnalezionych materiałów operacyjnych Milicji Obywatelskiej nie zawierają informacji wskazujących na niepodległościowy charakter jego działania.

Mecenas Łukasz Jakubowski, obrońca oskarżonego, argumentował, że jego klienta nie można nazwać zwykłym oszustem, nie miał złych intencji, uwierzył tylko w to, co sobie sam wymyślił. Tyle słyszał o „żołnierzach wyklętych", że w pewnym momencie uwierzył, że on też walczył z komunistami i jest kombatantem.

Uzasadniając wydany wyrok, sędzia Wojciech Kolanko powiedział, że Stanisław Matuszek z premedytacją zaplanował mistyfikację i wcielił się w rolę kombatanta. Nie przedstawił żadnych wiarygodnych dokumentów ani świadków. Książka, którą napisał, nie jest żadnym dokumentem potwierdzającym jego czyny na rzecz walki o niepodległy byt państwa polskiego i nie może być uważana za dowód w sprawie. Podanie wyroku do wiadomości publicznej jest celowe, bo w swoim środowisku Matuszek był postrzegany jako bohater i lokalna społeczność powinna się dowiedzieć, że otrzymał wyrok skazujący.

Wyrok ten jest bowiem bardzo ważny, choć nikt na sali sądowej nie powiedział, kto poza Matuszkiem jest jeszcze winien, że takich „żołnierzy wyklętych" jak ten spod Wadowic z każdym rokiem przybywa.

Leszek Konarski

W IPN neofaszyści w cenie

Jakub Woroncow

Kiedy 12 listopada 2019 r. w PRZEGLĄDZIE opisałem sylwetkę dr. Tomasza Greniucha, gdy został on dyrektorem Delegatury IPN w Opolu, nie sądziłem, że były koordynator Opolskiej Brygady ONR awansuje na stanowisko dyrektora wrocławskiego oddziału IPN. Przeciw tej nominacji protestują władze miasta. „Człowiek, który wznosił ręce w nazistowskim pozdrowieniu, powinien być na marginesie życia publicznego, a nie zajmować tego typu stanowiska. Powiem jasno: dla mnie to jest we Wrocławiu *persona non grata*", mówi wiceprezydent Sebastian Lorenc i zapowiada, że uczuli współpracowników, aby Greniuch nie był zapraszany na żadne prelekcje czy spotkania z uczniami. Wrocławscy profesorowie piszą: „W demokracji jest miejsce na istnienie różnych poglądów i postaw, jednak naszym zdaniem niektóre z nich uniemożliwiają sprawowanie pewnych funkcji".

Neofaszysta i antysemita w IPN

Tomasz Greniuch nie pozostawia wątpliwości co do obiektywizmu kierowanej przez siebie instytucji. „Historyk nie powinien pisać »obiektywnie«. Pisać należy »subiektywnie«, to znaczy w pracę należy włożyć całą pasję i energię. Pewien filozof stwierdził »pisz krwią, a dowiesz się, że krew jest duchem«. Ja mam rodzinę, żonę, realizuję powoli marzenia. »Żołnierze Wyklęci« będący przecież ludźmi z krwi i kości, tak jak my, często niemający skończonych 20 lat, wchodzili powoli w dorosłość, wchodzili w etap realizacji dziecięcych marzeń. Oni to wszystko świadomie poświęcili. Ja mam to, czego oni nie mieli. To jest właśnie to spłacenie długu", mówił przed objęciem funkcji. Jego pierwszym projektem była plansza „Droga do wolności" będąca apoteozą Brygady Świętokrzyskiej NSZ. Greniuch przemilczał zbrodnie jej partyzantów, nie wspomniał o kolaboracji, za to opisał rzekomą współpracę BŚ z 2. Dywizją Pancerną Armii USA (oddziały nigdy się ze sobą nie zetknęły) oraz wzięcie do niewoli sztabu XIII Armii Niemieckiej (w siłach zbrojnych III Rzeszy nie było takiej jednostki).

IPN broni jednak swojego funkcjonariusza i usprawiedliwia go błędami młodości. Tylko że Greniuch fascynował się faszyzmem nie jako nastolatek, ale jako człowiek już dojrzały. Opuścił ONR dopiero w wieku 31 lat, gdy organizacja przechodziła kryzys. Dziś pisze: „Moje młodzieńcze zaangażowanie w ONR wynikało z bezkompromisowych postaw wobec nazizmu i komunizmu mentorów ruchu, pokroju adwokata Henryka Rossmana, dr. Tadeusza Gluzińskiego czy dr. Jana Mosdorfa". Cała ta trójka to ofiary nazizmu, ale jednocześnie zatwardziali antysemici. Gluziński to autor książki „Zmierzch Izraela" opisującej żydowskie knowania od epoki babilońskiej po międzywojenną Polskę.

Nowy dyrektor wrocławskiego IPN miał też inne autorytety: „Inni, pokroju Leona Degrelle'a czy Bolesława Piaseckiego, to młodzieńcze odkrywanie (...) osób, które cechowała swego rodzaju bezkompromisowość". W hołdzie Piaseckiemu, działaczowi ONR, liderowi Falangi oddanemu po wojnie stalinizmowi, Greniuch występował pod pseudonimem „Tomasz Piasecki". Trudno jednak stwierdzić, co poza antysemityzmem łączy polskich narodowców z Degrelle'em, belgijskim kolaborantem mianowanym generałem Waffen SS.

Awans Greniucha nie podoba się nawet wielu ludziom na prawicy i w Kolegium IPN. Jego kariera, połączona z tym, ilu wybitnych badaczy odeszło lub zostało zmuszonych do odejścia za sprawą prezesa Jarosława Szarka, wystawia świadectwo całej tej instytucji. W cenie nie jest pisanie obiektywne, lecz subiektywne, dostosowywanie faktów do ideologii, a działalność w organizacjach skrajnej prawicy i antysemityzm to lepszy wpis do CV niż zasługi na polu nauki. ■

eprasa.pl fe65c2f2d1

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Rzeczpospolita katolibpolska

To jednak dość niezwykłe, że właśnie 17 lutego odbywał się w Płocku proces trzech aktywistek: Elżbiety Podleśnej, Anny Prus i Joanny Gzyry-Iskandar, oskarżonych o tzw. obrazę uczuć religijnych, po tym jak rozkleiły na murach w okolicach płockiego kościoła naklejki z „tęczową" Maryją. Wiek XXI. Oskarżali: katolicki homofob, były proboszcz, ks. Tadeusz Łebkowski, autor pełnego homofobicznej nienawiści wielkanocnego grobu Pańskiego, oraz katolicka fundamentalistka Kaja Godek, a księdza reprezentowała prawniczka związana z Ordo Iuris, skrajną, ultrakonserwatywną formacją oplatającą cały świat, od lat niezwykle agresywnie obecną w Polsce. Ten proces nigdy nie powinien się odbyć. Ten artykuł Kodeksu karnego, art. 196, nie powinien się znaleźć w polskim prawie, nie powinien być wykorzystywany, z tego paragrafu nikt nie powinien być skazywany. Jest inaczej. To widowiskowa, metaforyczna, choć o bardzo konkretnym wymiarze – oskarżonym grozi kara nawet półtora roku więzienia! – katastrofa polskiego państwa. Tak, państwa. Katolicyzm, który z siebie wykrzesuje taką fundamentalistyczną patologię, nie jest wart nie tylko mszy, ale nawet zainteresowania. Grupy przestępcze, grupy niejawnego wpływu tak właśnie funkcjonują – nic nowego pod słońcem, że przywołam biblijną frazę z naszego, he, he, „judeochrześcijańskiego fundamentu cywilizacji", Biblii (czyli z Księgi Koheleta). Państwo, które taki zapis w prawie wpisuje w system karny, toleruje jego istnienie i kuriozalny, wykluczający wymiar (żadne inne uczucia niż religijne – czytaj katolickie – nie są prawem chronione), pozbawia się powagi i szacunku.

Urażony ks. Łebkowski tak oto farmazonił na sali sądowej: „Ta flaga stała się symbolem obrzydliwości, zaburzeń i czynów zboczonych". Porównał ją do hitlerowskiej swastyki.

Magdalena Majkowska z Ordo Iuris, pełnomocniczka ks. Łebkowskiego, wygłaszała przed sądem Rzeczypospolitej następujące frazy: „Czyny homoseksualne są czynami wołającymi o pomstę do nieba". Było więc wołać do nieba, a nie do sądu świeckiego państwa. Dlaczego sąd zajął się tą sprawą? Bo Polska od lat jest w potwornej, niby niewidzialnej, a wszechpotężnej sferze wpływów politycznych tej instytucji. Mecenas Radosław Baszuk, broniący aktywistek, nazwał to precyzyjnie: „Nie o uczucia religijne w tej sprawie chodzi. Chodzi o spór, który toczy się od lat w przestrzeni publicznej, który tylko z założenia ma charakter aksjologiczny czy religijny, a jest tak naprawdę sporem o to, jak będziemy kształtować nasze życie publiczne, ład społeczny, wreszcie porządek społeczny. Mówimy o uczuciach religijnych czy o tym, jak stanowisko instytucjonalnego Kościoła, hierarchii ma wpływać na prawo i porządek społeczny?".

W tym samym czasie, kiedy płocki sąd traci czas na wydumki polskich fundamentalistów religijnych, umiera Andrzej Dymer, ksiądz pedofil i gwałciciel, który, choć minęło 25 lat od ujawnienia jego przestępstw, nigdy nie stanął przed polskim sądem, nigdy na jego nadgarstkach ani na chwilę nie zatrzasnęły się kajdanki. Nigdy prokuraturze ścigającej z zajadłością oskarżane aktywistki (rewizje o świcie, zatrzymania, przewożenie do aresztów po Polsce, upokarzające rewizje osobiste) nie udało się nawet ujrzeć dokumentów sądów kościelnych, podobno zajmujących się sprawą. Prymas Polski Wojciech Polak skomentował śmierć Dymera i nierozstrzygnięcie jego sprawy tak: „Uważam, że niesłychana przewlekłość kościelnych procedur w sprawie ks. Andrzeja Dymera oraz brak odpowiedniego traktowania osób skrzywdzonych na wielu etapach tego postępowania nie mają żadnego usprawiedliwienia. Jest mi przykro, że nie sprostałem oczekiwaniom osób pokrzywdzonych". Przez wszystkie te lata, przez ćwierćwiecze, żadna polska prokuratura ani żaden sąd, ani żaden policjant nie niepokoili Dymera. Jarosław Gowin, wicepremier polskiego rządu, przyznał, że wiele lat temu interweniował w sprawie Dymera. W prokuraturze? Nie. U biskupów. To przestępstwo – wiedząc o przestępstwie, nie zawiadomić prokuratury lub policji. I co? I nic. Nadzieja polskiej opozycji.

Biskupi szczecińscy od pierwszej połowy lat 90. wiedzieli o zarzutach wobec Dymera. Mimo to nigdy nie poniósł on konsekwencji. Awansował, zajmował się skutecznie finansami kurii, „troszczył" się też o nieruchomości przejmowane przez Kościół od miasta (ustaliło OKO.press). W tygodniach poprzedzających jego śmierć nadzorowane przez niego instytucje (przejęte od miasta szpital i trzy ośrodki pomocy społecznej) otrzymały dzięki zabiegom polityków PiS 10 mln zł wsparcia od państwa. Kościół otrzymuje wsparcie liczone w miliardach rocznie. Osoby stające, zresztą w imię swojego chrześcijańskiego sumienia, po stronie stygmatyzowanej grupy (środowisk LGBT+) są narażone na procesy i proceduralne, policyjno-prokuratorskie szykany. Przestępcy w sutannach są nietykalni.

To państwo nam się nie udało. To państwo jest nie do zmiany, ale do wymiany.

Zacząłem od 17 lutego. 17 lutego 1600 r. na Campo di Fiori, głównym rynku Rzymu, został żywcem spalony na stosie Giordano Bruno, za rzekome bluźnierstwa i herezje. Hierarchowie w Polsce zachowują się, jakby przez te 400 lat nic się nie wydarzyło. A państwo polskie rżnie głupa. Dlatego zakończę życzeniami: wolność dla „tęczowych" Maryjek, kajdanki dla sprawców gwałtów oraz kryjących ich przez dekady biskupów i popleczników politycznych. Polskie państwo musi wstać z kolan, na których klęczy przed Kościołem.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl fe65c2f2d1

Lody turbiną kręcone

Przy budowie Elektrowni Ostrołęka C przekop Mierzei Wiślanej to pikuś

Marek Czarkowski

Historia budzącej największe emocje, choć nieistniejącej Elektrowni Ostrołęka C to mieszanka chciejstwa, nieliczenia się z rachunkiem ekonomicznym oraz drobnych kombinacji lokalnych bonzów, podlana sosem fałszywych prezydenckich obietnic. I pieniędzy, wielkich pieniędzy…

Na temat tej inwestycji wypowiadali się wszyscy: prezydent Andrzej Duda, byli i urzędujący premierzy, ministrowie, ekonomiści, obrońcy środowiska, samorządowcy, dziennikarze, a nawet Kurpie.

Miała to być ostatnia w Polsce duża elektrownia węglowa o mocy 1000 MW. Zakładano, że zostanie uruchomiona w roku 2024 i posłuży co najmniej 40 lat.

Zaczęło się banalnie. W roku 2008 w Grupie Energa zastanawiano się nad budową kolejnej – obok istniejących Elektrociepłowni Ostrołęka A i Elektrowni Ostrołęka B – instalacji o nazwie Elektrownia Ostrołęka C. Najważniejszą częścią prac studyjnych było ustalenie, czy inwestycja będzie opłacalna w ciągu kolejnych dziesięcioleci. W zależności od tego, jakie dane wprowadzano, raz był to świetny biznes, a innym razem niezupełnie.

W 2012 r. ówczesne szefostwo Energi doszło do wniosku, że opalana czarnym złotem nowa Ostrołęka to kiepski pomysł, i odstąpiło od przetargu, zawieszając temat *ad Kalendas Graecas*. Za co potem ciągane było po różnych organach. Ostatecznie Najwyższa Izba Kontroli uznała, że decyzja była racjonalna i nie zagrażała bezpieczeństwu energetycznemu kraju.

Budowa Ostrołęki C miała kosztować 6 mld zł. Już utopiono w niej miliard.

Co decyduje dziś w Europie o opłacalności budowy elektrowni? Cena nośnika energii (węgla, gazu ziemnego, uranu itp. wraz z kosztami transportu), następnie cena hurtowa prądu oraz cena uprawnień do emisji dwutlenku węgla. Do tego trzeba doliczyć koszt budowy samej elektrowni, turbin, kotłów, dróg dojazdowych, magazynów, składów itd.

W roku 2011, po katastrofie w japońskiej siłowni atomowej Fukushima Daiichi, w Europie gwałtownie zmieniły się koncepcje dotyczące przyszłości energetyki. Do węgla, który od dawna był *passé*, dołączył atom. Uznano, że przyszłością energetyki są gaz ziemny i odnawialne źródła energii (OZE), a także wodór i energia termonuklearna. Europejska gospodarka miała do połowy XXI w. stać się ekologicznie czysta. Polska ze swoją energetyką opartą na węglu kamiennym i brunatnym – ponad 70% energii elektrycznej produkowanej w naszym kraju pochodzi z tych źródeł – była postrzegana jako wyrodek, który truje sąsiadów. Bruksela pracowała nad wielkim planem transformacji europejskiego przemysłu i energetyki zakrojonym na biliony euro. Okrągła sumka, która miała przypaść Polsce, miała nas zmusić, byśmy w końcu zaorali Kozienice, Turowy, Skawiny, Bełchatowy i Jaworzna. Rozpoczynanie w takich okolicznościach budowy opalanego węglem kopciucha w samym sercu ziemi kurpiowskiej było szaleństwem. Tylko politycy Prawa i Sprawiedliwości o tym nie wiedzieli.

Przedwyborcze obietnice

W lutym 2015 r. Andrzej Duda, kandydat PiS w nadchodzących

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER, PAP/ARTUR RESZKO

eprasa.pl fe65c2f2d1

Tak budowa Elektrowni Ostrołęka C wyglądała w październiku 2020 r.

wyborach prezydenckich, zjechał do Ostrołęki na spotkanie z elektoratem. Nazwał rezygnację z inwestycji w tutejszą elektrownię zbrodnią. Ostrzegł też, że „oni" chcą likwidować polskie kopalnie i mówią, że węgiel się nie sprzedaje. „To jest antypaństwowa polityka!", grzmiał do tłumu. Dowodził, że potrzebujemy nowoczesnych elektrowni węglowych.

Wiosną Ostrołękę nawiedził prezes Jarosław Kaczyński i, jak wspominał były senator PiS Krzysztof Majkowski, „stał na łące i zapewniał, że w tym miejscu powstanie nowoczesna, wielka elektrownia". Kilka dni przed wyborami do Sejmu w październiku 2015 r. prezes, w towarzystwie posłanki Krystyny Pawłowicz, ponownie stanął na ściernisku przed porzuconą budową Ostrołęki C i powtórzył złożone wiosną obietnice. Słuchający go elektorat uwierzył, że będzie lepiej.

Temat mocno pompowało też dwóch lokalnych bonzów – poseł Arkadiusz Czartoryski, który rozdawał karty w Ostrołęce, i przyszły minister energii Krzysztof Tchórzewski, mający swój matecznik w Siedlcach. Po zwycięstwie PiS w wyborach z 2015 r. pożegnał się z posadami stary zarząd Zespołu Elektrowni Ostrołęka. Sięgnięto po nowe twarze. Było oczywiste, że temat budowy elektrowni wróci w wielkim stylu.

1 lipca 2016 r. na ostrołęckie ściernisko z gospodarską wizytą przyjechał minister Tchórzewski, który oświadczył, że koszt budowy bloku C nie przekroczy 6 mld zł. Dla porównania – słynny przekop Mierzei Wiślanej to wydatek rzędu 1,8 mld zł. Inwestycję miały realizować spółki Energa SA i Enea SA. Zorganizowano przetarg, w którym zwyciężyło konsorcjum dwóch spółek GE Power sp. z o.o. oraz Alstom Power System SAS. W lipcu 2018 r. podpisano umowę. Miała powstać opalana węglem kamiennym elektrownia z blokiem o mocy 1000 MW. Premier Mateusz Morawiecki pochwalił projekt i oświadczył: „Przeciwstawiamy Polskę mocy Polsce niemocy". 18 października 2018 r. na teren budowy wjechał ciężki sprzęt. Widocznym elementem krajobrazu Ostrołęki stały się przeszło 100-metrowe betonowe pylony, które miejscowi nazwali wieżami Kaczyńskiego.

Ostrołęka C to mieszanka chciejstwa, nieliczenia się z rachunkiem ekonomicznym i drobnych kombinacji lokalnych bonzów. Oraz wielkich pieniędzy.

Rok 2019 minął spokojnie, lecz w połowie lutego 2020 r. Enea SA i Energa SA podjęły wspólną decyzję o zawieszeniu finansowania inwestycji. Jako powód podano „istotne okoliczności znacząco wpływające na decyzję". Wyszło na jaw, że w Ostrołęce utopiono 1 mld zł. Opozycja żądała wyjaśnień. Na budowie pojawili się inspektorzy Najwyższej Izby Kontroli. Sprawą zajęły się prokuratura i CBA.

Na jednym z posiedzeń sejmowej Komisji ds. Energii, Klimatu i Aktywów Państwowych poseł Paweł Poncyliusz z Platformy Obywatelskiej suponował, że inwestycja z góry skazana była na porażkę, gdyż w grupie Energa zatrudnienie znaleźli „katecheci, pocztowcy, pracownicy urzędów pracy, ludzie sportu i kultury oraz kolejarze". Podkreślił, że były prezes zarządu spółki Energa Elektrownie Ostrołęka SA Edward S. został zatrzymany przez funkcjonariuszy CBA i przedstawiono mu zarzuty

Jarosław Kaczyński w 2015 r. dwukrotnie odwiedził teren budowy Elektrowni Ostrołęka C.

eprasa.pl fe65c2f2d1

popełnienia przestępstw z art. 296a par. 1 k.k. (korupcja gospodarcza). Przedstawiciele kompetentnych organów odwiedzili też dom posła PiS Arkadiusza Czartoryskiego i zażądali wydania dokumentów. Obeszło się bez awantur.

Postronni mogli odnieść wrażenie, że w Ostrołęce działała ośmiornica z logo PiS, która turbiną kręci lody.

Paweł Poncyliusz, PO: W grupie Energa zatrudnienie znaleźli katecheci, pocztowcy, pracownicy urzędów pracy, ludzie sportu i kultury oraz kolejarze.

Czyżby miliardowe inwestycje w elektrownię miały być pretekstem, by lokalni bonzowie mogli wyprowadzać miliony publicznych złotych na rachunki prywatnych firm?

Poszły konie po betonie

Skoro mariaż Energi z Eneą nie wypalił, przyszedł czas na drugą szansę. W kwietniu 2020 r. Grupa Energa została przejęta przez PKN Orlen. A miejsce Enei, której kierownictwo doszło do wniosku, że lepiej i bezpieczniej jest inwestować w OZE oraz własne elektrownie, Połaniec i Kozienice, zajęło Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo. Pojawił się nowy pomysł. Zamiast elektrowni węglowej w Ostrołęce miała powstać elektrownia gazowa! No i się zaczęło.

Pierwsi pretensje zgłosili górnicy, związkowcy z Solidarności, którzy zaproponowali, by nowy blok Ostrołęki w połowie był węglowy, a w połowie gazowy. Takie rozwiązanie na pewno byłoby bardzo kosztowne. Dodatkowe wydatki i tak należy ponieść, gdyż w przypadku rezygnacji z węgla kamiennego przyszłoby zamówić nowy kocioł, dostosowany do opalania gazem. I zbudować gazociąg, który połączyłby nowo wybudowany obiekt albo z istniejącym gazociągiem jamalskim, albo z dopiero powstającym gazociągiem Polska-Litwa, zwanym w skrócie GIPL (Gas Interconnection Poland-Lithuania). W pierwszym przypadku przyszłoby negocjować wysokość dostaw i cenę surowca z Gazpromem. W drugim zaakceptować wyższy koszt dostaw norweskiego gazu z Baltic Pipe oraz katarskiego z gazoportu w Świnoujściu. Przewidywane roczne zapotrzebowanie Ostrołęki C – 1 mln m sześc. Ale pomysł zamiany węgla na gaz zmobilizował lobby wspierające spółki handlujące importowanym węglem.

Nowa Elektrownia Ostrołęka C potrzebowałaby rocznie ok. 3 mln ton węgla. Cena tego surowca z RPA oscyluje dziś wokół 85 dol. za tonę. Cena węgla rosyjskiego jest zbliżona. Przy czym nasi wschodni sąsiedzi oferują czasem wyjątkowo korzystne „promocje". Można też zaryzykować sprowadzenie znakomitego węgla z Donbasu. Po niezwykle atrakcyjnej cenie. W tych warunkach nowa elektrownia musiałaby wydawać rocznie na zakup węgla ok. 230-270 mln dol. w zależności od koniunktury rynkowej. Przez 40 lat. Co po dodaniu opłat klimatycznych czyni inwestycję kompletnie nieopłacalną. A jeśli byłby to surowiec z polskich kopalń, cena wzrosłaby nawet o 100 mln dol. rocznie. I bardziej opłacałoby się nie produkować energii elektrycznej, niż ją produkować.

Oczywiście PGNiG odpowiada wariant budowy elektrowni gazowej, gdyż jako współudziałowiec spółka miałaby decydujący głos w kwestii dostaw surowca. Dlatego będzie broniła swojej pozycji. Zapowiada się ostra rywalizacja.

Spółki handlujące węglem nie są bez szans. Stoi za nimi nieświadome niczego lobby związkowe oraz niektórzy politycy PiS. Dlatego prędzej czy później w ruch pójdą kwity, kompromitujące nagrania i kasa pod stołem. Dowiemy się, że zdrajcy znów chcą nas sprzedać Ruskim. Albo co gorsza arabskim terrorystom.

Prezydent Duda Ostrołękę omija szerokim łukiem, nie chcąc się narazić na pytanie, co z obiecaną w 2015 r. elektrownią.

Politycznie budowa Elektrowni Ostrołęka C to katastrofa. Zmarnowano 1 mld zł. Kolejne miliardy są zagrożone. Inwestycja wymieniana jest jednym tchem obok przekopu Mierzei Wiślanej i Centralnego Portu Komunikacyjnego. Skompromitowała lokalnych bonzów partyjnych i naraziła na potencjalne straty właścicieli spółek handlujących czarnym złotem. A nie są to mili ludzie.

Prezydent Andrzej Duda Ostrołękę omija szerokim łukiem, nie chcąc się narazić na pytanie, co z obiecaną w 2015 r. elektrownią. Sprawa stała się przedmiotem dociekań prokuratury, CBA i mediów. Moi rozmówcy, pragnący ze zrozumiałych względów zachować anonimowość, są pewni: jest tylko kwestią czasu, gdy szambo wybije.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

Odszedł

Andrzej Kratiuk

Przyjaciel. Mądry i dobry człowiek.
Bezinteresowny i serdeczny.
Miał wiele talentów, ale wszystko budował na pracy. Bardzo nam pomógł.
Ogromna wyrwa i wielki żal.

Córkom Annie i Barbarze serdecznie współczujemy

Jerzy Domański, Robert Walenciak

eprasa.pl fe65c2f2d1

Rozmawia Beata Igielska

CYBERPRZEMOCY nie pokonamy w tydzień

90% aktów przemocy rówieśniczej dzieje się przy jakiejś publiczności, nieważne czy tradycyjnej, czy online

Wyobraźmy sobie, że jako uważny nauczyciel orientuje się pan, że na lekcjach uczniowie robią ofierze zdjęcia i przerabiają na ośmieszające memy. Te memy krążą potem w sieci miesiącami. Jak pan reaguje?

– A jeśli dowiedziałbym się, że kogoś w klasie notorycznie się obraża, obgaduje albo robi mu się nieprzyjemne kawały, chowając jego rzeczy lub niszcząc je – czy to jest inna sytuacja? Jeśli w grupie rówieśniczej mamy do czynienia z przemocą, jakakolwiek by ona była, chociaż zazwyczaj kojarzy się nam z przemocą fizyczną, pracuje się z uczniami bardzo intensywnie. Gdy przemoc trwa już długo, pracuje się przede wszystkim ze sprawcami. Z każdym z osobna rozmawiamy o tym, co robi, stawiamy granice i sprawdzamy, czy tych granic nie przekracza. Mówimy teraz o poważnej przemocy, dlatego pracujemy nad indywidualną odpowiedzialnością, a nie z całą grupą. Wymaga to zdecydowania od nauczyciela – interwenta i gotowości, żeby wyegzekwować, nawet konsekwencjami, pożądane zachowania. Z drugiej strony pracuje się z ofiarą: jak sobie radzi z sytuacją, jak reaguje.

Czy pracuje się też z całą klasą?

– Tak, bo w działaniach interwencyjnych nie można pominąć żadnej z grup: sprawcy, ofiary, świadków. Największą siłę oddziaływania mają świadkowie, którzy mogą przyjmować różne strategie. Mogą być wzmacniaczami sprawcy, wspierać go, bo się śmieją, kiedy coś się dzieje. Badania potwierdzają, że 90% aktów przemocy rówieśniczej dzieje się przy jakiejś publiczności, nieważne czy tradycyjnej, czy online. Świadkowie mogą również być kompletnie obojętni: to nie moja sprawa, to mnie nie dotyczy, nie wnikam w to, jestem tylko widzem. Jest też trzecia grupa świadków, najważniejsza z punktu widzenia ofiary, bo ci aktywnie jej pomagają. Czasami konfrontują się ze sprawcą, uniemożliwiają zrobienie czegoś, mówią, co o tym myślą. Nie zawsze jednak będą aż tacy odważni, ale wystarczy, że komuś powiedzą, porozmawiają z ofiarą, dadzą jej akceptację. To bardzo dużo, bo ktoś już nie czuje się taki osamotniony. Większość ofiar przemocy rówieśniczej wskazuje niestety, że są kompletnie samotne, nie mają w klasie kolegów i koleżanek.

DR HAB. JACEK PYŻALSKI

– pedagog specjalny, profesor UAM. Koordynator europejskich badań EU Kids Online i ySkills w Polsce, autor monografii „Agresja elektroniczna wśród dzieci i młodzieży".

Świadkowie nie zgłaszają przemocy, ponieważ boją się łatki donosiciela.

– To prawda. Dlatego gdy pracujemy z młodzieżą, zwracamy uwagę na to, gdzie jest granica, żeby zdawać sobie sprawę, co można powiedzieć, a czego nie można. Jedno z ćwiczeń w programie Impact dotyczącym przeciwdziałania cyberprzemocy, który przygotowywaliśmy specjalnie dla uczniów, polega na tym, że sami dochodzą do pewnych wniosków. Dostrzegają własną perspektywę, mówią, które rozwiązania uważają za najlepsze, a które za najgorsze. Wspólnie z uczniami, bez uprzedzeń, analizujemy, dlaczego dokonali takiego wyboru. Ktoś mówi: nie będę nikomu zgłaszał tego, bo powiedzą, że jestem donosicielem, i będą się ze mnie śmiać. A my mówimy: jakie będą konsekwencje, jeśli nikomu o tym nie powiesz? Ktoś, na kim ci zależy, może doświadczyć takiej krzywdy, że w końcu sobie coś zrobi. Czy dopiero jak stanie się coś okropnego, zaczniesz mieć inną perspektywę? Co jest ważniejsze: to, że ktoś cię nazwie donosicielem, czy to, że dzięki tobie udało się tę trudną sytuację jakoś rozwiązać? Nie narzucamy naszego podejścia, tylko poszerzamy uczniom perspektywę.

Ważne więc, aby dostrzec perspektywę ucznia.

– Trudno abstrahować od tego, że młodzi ludzie widzą przemoc po swojemu, a nagle dajemy im prostą radę: widzisz, że kogoś krzywdzą, reaguj, przychodź do nas. Możesz spróbować sam załatwić sprawę, mówiąc temu, kto to robi, żeby się wycofał. Jeśli to nie zadziała, możesz powiedzieć: próbowałem to załatwić między nami, ale się nie udało. Dlatego warto młodym pokazać różne strategie. I nie mówić, czy to jest OK, czy nie. Niech sami do tego dojdą. Żeby to nie była nudna pogadanka o przemocy, bo tak niczego nie osiągniemy. Z uczniami trzeba głębiej wejść w rozmowę, żeby zrozumieli mechanizmy działania przemocy. W ten sposób pracuje się, gdy jest dopiero zarzewie przemocy. Zawsze skuteczniejsze są działania, kiedy zatrzymujemy sprawy na wcześniejszym etapie. Bo kiedy dochodzi do sytuacji ostatecznej, często już jest łamane prawo, młodemu człowiekowi – ofierze – wydarzyła się już bardzo poważna krzywda, która jest nie do odpracowania. To jak z pożarem: co się spaliło, to się spaliło, tego już nie odzyskamy.

Ośmieszający filmik krąży w sieci miesiącami.

eprasa.pl fe65c2f2d1

Mój Sandomierz

Takie książki powstają z miłości. I to wyjątkowej, bo z miłości do rodzinnego miasta. Na 600 stronach, z setkami zdjęć i ilustracji prof. Stanisław Adamczak składa hołd Sandomierzowi. W bardzo osobistej opowieści „Mój Sandomierz w latach 1939-2019… to, co zapamiętałem i przekazali najbliżsi" dokumentuje 80 lat z dziejów ponadtysiącletniego miasta. Prawdziwej perły na polskiej mapie. Królewski Sandomierz ma w osobie Adamczaka wyjątkowego kronikarza. Rodowity

sandomierzanin. Miał od kogo poznawać historię regionu, bo rodziny jego bliskich od pokoleń są tam osadzone. Autor przypomina tragiczne lata wojny. Masowe aresztowania i publiczne egzekucje. Likwidację getta. Długą listę ofiar okupacji.

W sierpniu 1945 r. miasto zostało ocalone od zniszczenia dzięki mistrzowskiemu manewrowi ppłk. Wasilija Skopenki z Armii Czerwonej. Po wyzwoleniu z obozów koncentracyjnych i wywózki na roboty w Niemczech wracają mieszkańcy.

Lata szkolne w legendarnym Collegium Gostomianum są dla Stanisława Adamczaka przepustką do studiów na Politechnice Warszawskiej i bogatej w osiągnięcia kariery naukowej. Uwieńczonej dwoma kadencjami rektora Politechniki Świętokrzyskiej. Ale nawet profesura nie zmniejszyła aktywności Stanisława i jego żony Alicji w harcerstwie. W ZHP przeszli piękną drogę. Organizowali obozy. Inicjowali wiele akcji harcerskich. Brali udział w Operacji Frombork i Operacji Bieszczady.

Odkrywając to piękne miasto przed tymi, którzy jeszcze tam nie dotarli, autor spłaca dług, jaki ma jako Honorowy Obywatel Miasta Sandomierza. Z harcerską rzetelnością i profesorską kompetencją dał nam ciekawy wykład o swoim ukochany mieście. *(jed)*

Stanisław Adamczak, *Mój Sandomierz w latach 1939-2019… to, co zapamiętałem i przekazali najbliżsi*, SanDom-AS, Kielce 2020

– Przecież tak samo miesiącami można nazywać kogoś obraźliwym słowem, przez wszystkie lata szkoły wypowiadać się negatywnie na jego temat. Ten ktoś doświadcza tego codziennie. Cyberprzemoc i tradycyjna przemoc rówieśnicza nakładają się na siebie. Wszystkie badania światowe prowadzone mniej więcej od 15 lat są spójne: sprawcy są sprawcami równolegle i tradycyjnej przemocy, i cyberprzemocy. Rzadko jest tak, że ktoś kogoś krzywdzi w internecie, a na co dzień w szkole jest jego superkolegą.

Wiele działań w sieci wynika z głupoty.

– Może to nie do końca głupota, raczej impulsywność, konieczność szybkiej reakcji. Również ludzie dorośli nie bardzo sobie radzą z trudnymi sytuacjami w komunikacji zapośredniczonej. Potrafią tak się rozkręcić, że trudno ich oskarżać o głupotę. Politycy, pisarze, dziennikarze, a więc osoby, które wielokrotnie udowodniły, że są bardzo mądre, w komunikacji zapośredniczonej gubią się. Bo trochę inaczej odbiera się intencje, intensywność emocji i trochę inna jest dynamika komunikacji online. Kiedy 12 lat temu prowadziłem badania 15-latków, mówili, że chcieli zrobić żart i wysłali coś przez internet lub przez telefon i skończyło się bardzo poważną krzywdą – dotyczyło to prawie 40% badanych. Mieli inne intencje, ale ze względu na specyfikę komunikacji zapośredniczonej, nawet jeśli nie zamierzali zrobić krzywdy, skończyło się krzywdą.

Jak zatem nauczyciel ma prowadzić lekcje, wiedząc, czując, że któremuś dziecku dzieje się krzywda?

– Nie należy czekać, aż coś się wydarzy. Rozmawiajmy o zasadach obowiązujących w sieci, co nagrywamy, co możemy udostępnić. Ale należy też rozmawiać, jak sobie radzić z emocjami, co robić, kiedy jakiś dialog w internecie zaczyna nas oburzać, gdy zaczynamy czuć się nakręceni – żebyśmy nie poszli za daleko. Uczniowie mówią: trzeba przerwać taką rozmowę i dać sobie trochę dystansu, wyłączyć na moment komputer i wrócić do rozmowy za chwilę. Pracujmy także z uczniami, żeby zdawali sobie sprawę, czego w komunikacji zapośredniczonej brakuje, dlaczego tak trudno zrozumieć emocje, a tak łatwo pomylić się w ich odczytaniu, pomylić żart z agresją. Dlatego, chcąc kogoś zainteresować swoją osobą, łatwo możemy przekroczyć granice, myśląc cały czas, że się w nich mieścimy.

No właśnie, dlaczego?

– Wiele informacji dotyczących emocji przekazujemy kanałem niewerbalnym. Komunikacja zapośredniczona jest przede wszystkim komunikacją pisemną, ogranicza się do emotikonów, które zamieścimy albo nie. Pisząc coś, mogę być przekonany, że mieszczę się w konwencji żartu, a rozmówca w tym czasie myśli o mnie: on mnie teraz publicznie obraża. Możemy całkowicie się różnić co do interpretacji naszego dialogu. W komunikacji bezpośredniej mogę powiedzieć komuś: jesteś głupkiem, ale powiem to w taki sposób, że on się zaśmieje, a nie obrazi. Natomiast jeżeli napiszę do niego: jesteś głupkiem, a nie wiem, jaki on ma nastrój, jaki miał dzień, on nie wyczuje mojej intencji i może powiedzieć: właśnie zostałem publicznie znieważony.

Czyli trzeba ciągle rozmawiać o cyberprzemocy, pokazywać jej konsekwencje, również prawne.

– Ale nie na zasadzie nudnej pogadanki. W tradycyjnym podejściu cyberprzemoc jest wtedy, gdy łamiesz konkretne przepisy. Jeśli młodym będę tylko to wyłuszczał, wielu problemów nie rozwiążę. Bo oni nadal nie będą umieli poradzić sobie z emocjami, będą działać impulsywnie, bezmyślnie, więc nawet gdy będą znali konsekwencje prawne, niekoniecznie zatrzymają się, bo mają wtedy „wyłączony" mózg. Dużo ważniejsze jest omówienie, jak ktoś może się poczuć w konkretnej sytuacji, wczucie się w jego perspektywę. To ważna umiejętność wejścia w czyjeś buty, bo w komunikacji online trzeba umieć się domyślić, co ktoś czuje, bardziej niż w komunikacji tradycyjnej. Warto skupić się na mechanizmach, jak zrozumieć siebie i tego po drugiej

Większość ofiar przemocy rówieśniczej wskazuje, że są kompletnie samotne, nie mają w klasie kolegów i koleżanek.

eprasa.pl fe65c2f2d1

stronie ekranu. To nie takie proste. Chodzi o empatię poznawczą, czy umiem wczuć się w emocje drugiej osoby, zrozumieć je.

Ale chyba młodzi powinni mieć świadomość, że my, dorośli, włączymy się w ich życie online, jeśli coś nas niepokoi. Muszą czuć, że nie są poza kontrolą.

– Często trudne rozmowy, agresja w internecie, dotyczą także dorosłych. Wszystkie mechanizmy, o których mówimy, dotyczą też nas. Pracując z uczniami, musimy sobie zdawać sprawę, że nie jesteśmy tylko kontrolerami, którzy sami w podobnych sytuacjach świetnie sobie radzą. Jeżeli więc do cyberprzemocy będziemy próbowali podejść z pozycji pełnej hipokryzji: my, dorośli, w pełni ogarniamy siebie online i działamy perfekcyjnie, to możemy bardzo się rozczarować.

Coraz częściej nauczyciele zgadzają się na wyłączanie kamerek, a to nie rozwiązuje problemu.

– Problem teraz przybrał na sile, ale nie jest nowy. Uczeń zawsze mógł mieć materiał z czyjegoś portalu, profilu albo ktoś mu coś przysłał.

Świadkowie nie zgłaszają przemocy, dlatego że np. boją się odwetu ze strony sprawcy. Ale też nie wiedzą, czy i jak my, dorośli, zareagujemy. Bo jeśli zareagujemy nieumiejętnie, możemy pogorszyć sytuację.

– Znam reakcje dorosłych bez sensu, a wtedy rodzi się jeszcze więcej przemocy. Ważne jest działanie dorosłych odnośnie do przemocy wśród uczniów na wcześniejszych etapach, bo na tych wyższych pozostaje działanie proceduralne. Wcześniejsze etapy wymagają dużej wiedzy i delikatności. Zajmuję się tą problematyką przynajmniej 20 lat i chcę powiedzieć, że naprawdę jest bardzo łatwo, będąc wrażliwym dorosłym, mieć dobre intencje, a mimo to zareagować nieumiejętnie. Łatwo można zaszkodzić.

Mechanizmy są skomplikowane, więc problemów z cyberprzemocą nie rozwiążemy w tydzień, miesiąc. Potrzebne są upór, cierpliwość, konsekwencja i czas.

Nie należy czekać, aż coś się wydarzy. Rozmawiajmy o zasadach obowiązujących w sieci, co nagrywamy, co możemy udostępnić.

– To prawda, jest potrzebny czas, ale również wiedza, bo nie wystarczy sama dobra wola. Sam nieraz chciałem pomóc, a w wyniku mojego zachowania zaszkodziłem, bo nie wiedziałem, jak to zrobić.

***Lockdown* wpłynął na nas wszystkich źle. Rośnie poturbowane pokolenie. Psycholodzy mówią wręcz o wyrwie pokoleniowej. Nie da się jej w żaden sposób zasypać.**

– Badania zdalnenauczanie.org, które prowadzimy, pokazują, że nie na wszystkie dzieci ten okres wpłynął tak samo źle. Zrobiło się raczej bardzo nierówno. Jest grupa, kilkanaście procent, która ze względu na brak wsparcia w domu, brak kapitału społecznego, bardzo doświadczyła konsekwencji obecnej sytuacji. 13% skarży się na pogorszenie relacji z rodzicami. 50% mówi, że pogorszyły się ich relacje z rówieśnikami, które przecież są bardzo ważne rozwojowo. Jedna czwarta badanych przyznaje, że nauka online pogorszyła relacje z wychowawcą. Jest jednak niewielka grupa dzieci, dla których obecna sytuacja była zbawienna i bardzo dużo zyskały. Lepiej zatem nie robić uproszczeń, wkładając wszystkich do jednego worka. Dla znaczącej liczby dzieci nauka zdalna jest zagrożeniem dla zdrowia psychicznego.

Co robić z dziećmi po powrocie do szkoły?

– Warto się zająć, po pierwsze, relacjami w klasie, bo będą czasami do zbudowania od nowa. Trzeba zwracać uwagę, co się dzieje między dziećmi. Po drugie, przejawami problemów zdrowia psychicznego, bo młodzi szczególnie ciężko doświadczeni w czasie pandemii będą to manifestować w różny sposób. W niektórych przypadkach wystarczy interwencja, wsparcie wychowawcze, a w innych będzie konieczne skorzystanie z pomocy specjalisty. Po trzecie, higieną cyfrową, czyli sposobem korzystania z technologii, bo to się wymknęło wielu młodym ludziom spod kontroli. Dorosłym zresztą też.

Badania pokazały, że również nauczyciele są wielkimi ofiarami pandemii.

– To prawda, koncentrujemy się na uczniach. Tymczasem wszystkie badania, jakie znam, pokazują, że problemy dotyczące nauczania zdalnego dotykają także nauczycieli i rodziców. W życiu zawodowym nauczycieli nastąpiła w krótkim czasie rewolucja, wszystko zostało postawione na głowie. Pamiętając więc o dzieciach, musimy również pamiętać o stanie swojego zdrowia psychicznego, o tym, jak sobie radzimy na co dzień i czy dbamy o swój dobrostan. Bo zdrowie psychiczne rodziców i nauczycieli oraz zdrowie psychiczne uczniów to naczynia połączone. Jeśli dorośli będą mieć problemy, z którymi sobie nie radzą, dotkną one młodych ludzi.

Beata Igielska
b.igielska@tygodnikprzeglad.pl

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl fe65c2f2d1

Dramaty pacjentek, czyli gdzie jest państwo

Opublikować wyrok trybunału w sprawie aborcji jest łatwo. Ale trudno zapewnić godne warunki kobietom rodzącym dziecko z mózgiem na zewnątrz

Beata Igielska

– Wyobraź sobie rosnący brzuch, radość z tego powodu. A teraz wyobraź sobie, że brzuch rośnie i wiesz, że nic z tego nie będzie – Baśka ma 38 lat, smutne spojrzenie, dziewięcioletniego syna i ranę w sercu po... No właśnie, po kim? Była w 18. tygodniu ciąży, gdy kilkuletni wtedy syn zachorował na rumień zakaźny. Internet podpowiedział, że to może być niebezpieczne dla płodu. Szybkie USG: – Pani pójdzie tam, gdzie mają lepszy sprzęt, tu ledwo co widzę, ale wydaje mi się, że dziecko będzie miało przepuklinę.

Następnego dnia wizyta w renomowanym szpitalu. Znana pani doktor przykłada głowicę do sporego już brzucha i po 30 sekundach mówi: – Pani dziecko nie dożyje roku.

Baśkę ścina. Jest sama, bo sądzili z mężem, że to rutynowa kontrola. Nie pamięta, jak wracała tramwajem do domu. Amniopunkcja i trzy tygodnie oczekiwania na wynik – wyrok. Zespół Edwardsa. Trisomia 18, choroba genetyczna, zespół złożonych wad wrodzonych. Występuje z częstotliwością jeden na 8 tys. urodzeń. Aż 95% płodów dotkniętych zespołem Edwardsa ulega poronieniu. Baśka pamięta suche definicje i niesuche emocje. W Instytucie Genetyki ona i mąż zostają potraktowani super. Ciepły, starszy profesor współczuje: – Wiem, że boli, ale zdarza się. I tak macie szczęście, bo za parę lat nie będzie możliwe usunięcie takiej ciąży.

Władzę w Polsce właśnie przejmuje PiS. Profesor okazuje się profetą.

– Ze skierowaniem na aborcję jadę do tego renomowanego szpitala. Sześć godzin czekam na podpis ordynatora. Łapiemy go z mężem na korytarzu, jak już schodzi z dyżuru. Rzuca okiem na papier i bez wahania podpisuje. Rozumie. Fajny i szanowany człowiek. Następnego dnia jedziemy na izbę przyjęć, na czczo, na godz. 8. Słyszymy: Nie ma łóżka, przyjdźcie po południu.

Jest upał, Baśka bez jedzenia, bez picia, w ciąży... Idą z mężem do parku, gdzie spędzają kilka godzin. O godz. 17 na izbie przyjęć prawie pusto. Baśka przebiera się w pidżamę, idą z mężem na oddział. Siostra oddziałowa: – Ale ja nie mam łóżka. Baśka stoi pod ścianą. Mąż prosi

FOT. PIOTR LAMPKOWSKI/REPORTER

eprasa.pl fe65c2f2d1

o krzesło dla niej. – Krzesło może być dla pacjentki, która jest na oddziale.

Wokół krążą kobiety tuż przed porodem, podniecone, oczekujące. Baśka też oczekuje. Na śmierć swojego dziecka. Z daleka widzi z mężem Znaną Doktor od USG. Mąż nie wytrzymuje, podbiega do niej. Szybko relacjonuje sytuację, kończąc bezradnym: – Nie wiemy, co robić. Znana Doktor: – Jak wam się nie podoba, zmieńcie szpital.

O godz. 18 jest zmiana personelu. Młody, sympatyczny lekarz robi awanturę siostrze oddziałowej: – Dlaczego pacjentka tak długo czeka?! Dlaczego nie podano jej leków i kroplówki? Wolne łóżko znajduje się w pięć sekund. Po tabletkach i kroplówce dość szybko jest po sprawie. Baśka rodzi obok starszej pani, przynajmniej o tym pomyślano. Żeby nie musiała patrzeć na te przepełnione radością kobiety, które za chwilę urodzą zdrowe dziecko. Następnego dnia na wypis czeka dziewięć godzin.

– Procedury medyczne były super. Zabrakło ludzkiego podejścia. Dziś już umiem o tym opowiedzieć, ale długo nie potrafiłam – połyka łzy. – Jak widać, bycie dobrym specjalistą nie wystarcza, żeby być dobrym człowiekiem.

Co zobaczyła NIK?

Raport NIK o opiece nad pacjentkami w przypadku poronień i martwych urodzeń z 9 lutego br. (skontrolowano 37 szpitali w siedmiu województwach) potwierdza słowa Baśki: nie ma co się czepiać procedur medycznych. Leżą procedury ludzkie – brak empatii, współczucia, brak bycia człowiekiem. Na oddziałach patologii ciąży panuje paternalizm i znieczulica. Nie na wszystkich oczywiście.

Według UNICEF na świecie co 16 sekund rodzi się martwe dziecko. W Polsce to nieco ponad trzy martwe urodzenia na 1 tys. porodów, podobnie jak w Belgii, we Francji czy na Węgrzech. Mniej w Czechach, Niemczech, Szwecji, Norwegii oraz Finlandii. Nie mamy czego się wstydzić. W Polsce w latach 2017-2019 każdego roku ok. 1,7 tys. kobiet urodziło martwe dziecko, a u ok. 40 tys. kobiet ciąża zakończyła się poronieniem. Szacuje się, że poronieniem kończy się ok. 10-15% wszystkich ciąż.

„Personelowi medycznemu należy zapewnić kursy i szkolenia dotyczące postępowania w przypadku niepowodzenia położniczego, które powinny uczyć współpracy z pacjentką przeżywającą stratę dziecka. Wytyczne dotyczące sprawowania opieki nad takimi pacjentkami znajdują się w rozporządzeniu Ministra Zdrowia z 2018 r. w sprawie standardów opieki okołoporodowej", przypomina NIK w raporcie.

Zdaniem Izby dokumentacja medyczna pacjentek ponad połowy skontrolowanych szpitali była prowadzona nierzetelnie. W wielu szpitalach personel medyczny nie potrafił rozmawiać z kobietami w traumie. Lekarze, położne i pielęgniarki nie mieli zapewnionych odpowiednich szkoleń ani porad, jak sami mogą sobie radzić ze stresem. Wskazywali konieczność zapewnienia szkoleń uczących odpowiedniej komunikacji z pacjentami. W jednym ze skontrolowanych szpitali pacjentkom, które poroniły dziecko, wręczano przy wypisie broszury o karmieniu piersią i przestrzeganiu diety matki karmiącej.

Z listów i skarg do Fundacji Rodzić po Ludzku wyziera nieuprzejmość, arogancja i oziębłość personelu medycznego. Na kobiety np. krzyczano, gdy dopytywały o swój stan lub płakały.

W czterech kontrolowanych szpitalach sale porodowe i pokoje badań nie zapewniały pacjentkom intymności ani godności. Gabinety zabiegowe nie były zabezpieczone przed wejściem osób postronnych, a fotel ginekologiczny nie był osłonięty od strony wejścia do gabinetu. W pięciu – pacjentki, które poroniły lub urodziły martwe dziecko, przebywały w jednej sali z kobietami będącymi w ciąży lub połogu po narodzinach zdrowego dziecka. W jednym szpitalu pacjentki po poronieniu były hospitalizowane na korytarzu oddziału.

W żadnym ze skontrolowanych szpitali nie było osobnego pomieszczenia przeznaczonego do pożegnań ze zmarłym dzieckiem.

Nie wszystkie pacjentki miały możliwość skorzystania z konsultacji psychologa. Wymóg zatrudnienia go na co najmniej pół etatu dotyczy jedynie oddziałów ginekologiczno-położniczych o trzecim poziomie referencyjności w opiece perinatalnej, czyli tych największych, które przyjmują najcięższe przypadki. Jednak i na tych nie zawsze był psycholog. Czasem pojawiał się na oddziale, gdy pacjentki potrzebujące jego pomocy... zostały wypisane do domu. W ok. 70% szpitali było za mało lekarzy w stosunku do potrzeb. W dwóch samodzielne dyżury powierzano lekarzom bez wymaganej specjalizacji.

W pięciu szpitalach nie zapewniono lekarzom co najmniej 11 godzin nieprzerwanego odpoczynku po zakończeniu dyżuru medycznego. W jednym lekarze dokumentowali świadczenie pracy jednocześnie w poradni i na oddziale. W prawie 70% skontrolowanych szpitali lekarze zatrudnieni na podstawie umów cywilnoprawnych wykonywali swoje obowiązki nieprzerwanie przez ponad 24 godziny, często na dyżurach trwających 48 godzin, w niektórych przypadkach nawet 88 godzin. Jaka to jakość świadczonych usług medycznych? Gdzie bezpieczeństwo zdrowotne pacjentek i samych lekarzy?

W ponad połowie skontrolowanych szpitali nieprawidłowo postępowano ze zwłokami dzieci martwo urodzonych i poronionych. Sześć szpitali przekazywało zwłoki do badań histopatologicznych podmiotom zewnętrznym, bez zastrzeżenia obowiązku ich zwrotu, co uniemożliwiało pochówek, ba, utylizowano ciała na zlecenie podmiotów wykonujących badania. W dwóch szpitalach zwłoki kwalifikowano jako odpady medyczne i też przekazywano do utylizacji.

– Często to zmiany w prawie poprawiają rzeczywistość. Warto podnosić standardy pracy i standardy usług i dostosowywać je do oczekiwań współczesnego pokolenia. Pokoje pożegnań mogą być pomocne. Aby dokonać małej zmiany architektonicznej, nie są potrzebne duże pieniądze. Najtrudniej jednak zmienić postawę i mentalność. W Polsce wciąż obecne jest to patriarchalne podejście do kobiet. Inna sprawa, że personelu jest za mało, praca odbywa się w trybie awaryjnym. Ludzie są wyczerpani. Nie

Nie ma co się czepiać procedur medycznych. Leżą procedury ludzkie, brakuje empatii. Na oddziałach patologii ciąży panuje znieczulica.

eprasa.pl fe65c2f2d1

mają siły, ochoty, ale też kompetencji, by porozmawiać ze zrozpaczoną kobietą. Rozumiem, że lekarzom i położnym jest ciężko, ale to nie zwalnia ich z przestrzegania praw człowieka. Zmęczenie i wyczerpanie wpływa na uważność i empatię w pracy. Kryzys kadrowy to już trend i pewnie szybko nie zniknie. Położna POZ za wizytę patronażową otrzymuje ok. 27 zł brutto, ponosi koszty dotarcia do pacjentki, czasem kilkadziesiąt kilometrów, i musi wykonać wiele procedur opisanych w rozporządzeniu. Wizyta patronażowa często trwa ponad godzinę. To pokazuje, jak cenimy jako kraj ten zawód i pracę położnych. Wstyd! – podsumowuje Joanna Pietrusiewicz z Fundacji Rodzić po Ludzku. – Szpitale powiatowe to zupełnie inna rzeczywistość niż te w dużych miastach, gdzie pacjentka ma możliwość wyboru, może złożyć skargę i wie, że będzie anonimowa. W małych środowiskach kobiety boją się odwetu lekarzy. Na Podkarpaciu był świetny szpital w Ustrzykach. Niestety, został zamknięty, a obronił się o wiele słabszy. Nie rozumiem tego.

Co widzi położna, co lekarz?

– I cóż z tego, że rozporządzenie jest nowoczesne, gdy służba zdrowia jest tak skrajnie niedofinansowana? Pieniądze idą na inne cele – mówi Piotr Sieroszewski, specjalista perinatolog, położnik i ginekolog z Kliniki Medycyny Płodu i Ginekologii Uniwersytetu Medycznego w Łodzi, wiceprezes Polskiego Towarzystwa Ginekologów i Położników. – My, lekarze i położne, obciążamy się psychicznie dramatami pacjentek. Jako pierwsi przekazujemy złe wiadomości, na nas spadają całe emocje, napięcie. Kobieta niejednokrotnie reaguje szokiem, zaprzeczeniem, żałobą. Szuka winnych, jesteśmy negatywnie recenzowani, nie postrzega się nas jako ludzi. Czy mamy zapewnioną pomoc psychologa? Ponadto w okazywaniu empatii pacjentkom nie pomaga szczupłość kadry. Co do wyposażenia szpitali: niektóre są bardzo nowoczesne, inne archaiczne, lokalowo zupełnie nie spełniają kryteriów ustawodawcy. Nawet w szpitalach wojewódzkich trudno wygospodarować miejsce na pokój pożegnań. Inna sprawa, że wielu dyrektorów nie zawsze rozumie taką konieczność. Oddziały położnicze szpitali referencyjnych są przepełnione. Często jest jeden pokój do poronień na 30 pacjentek. Dlatego mimo starań personelu nie zawsze da się zapewnić intymność. Oczywiste jest, że kobieta w trakcie poronienia nie powinna leżeć w jednej sali z kobietami rodzącymi zdrowe dzieci. Nie może być takiej konfrontacji nieszczęścia.

Sylwia, młoda położna ze Śląska: – W naszym regionie trzeci, najwyższy stopień referencyjności ma kilka szpitali położniczych. Z założenia powinny być dobrze wyposażone. Jednak jakiej jakości sprzętem dysponują, skoro wszyscy co roku zrzucamy się na Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy, żeby Jurek Owsiak kupił nowoczesne inkubatory czy aparaty do USG? Wyręcza w ten sposób państwo. Tak samo jak wyręczają je hospicja perinatalne, obejmujące całościową opieką rodziców, którzy dowiadują się, że ich nienarodzone dziecko ma śmiertelne wady. Państwo łoży na nie w niewielkim stopniu. Działają dzięki sponsorom i wolontariatowi.

Raport NIK pokazuje konieczność opieki psychologicznej. Tylko że kobiety po poronieniu nie zawsze chcą o tym rozmawiać, wypierają nieszczęście. Dopiero po powrocie do domu dopada je rozpacz. I wtedy powinien się nimi zająć psycholog.

Jasne, optymalnie byłoby, gdyby we wszystkich szpitalach były dwu-, trzyosobowe sale z łazienką. Ale są szpitale, gdzie są dwie, trzy kabiny prysznicowe na korytarzu i trzy sedesy na sześć sal z pięcioma czy sześcioma łóżkami.

– Większość położnych pracuje w dwóch miejscach, bo inaczej padłyby oddziały ginekologiczno-położnicze – dodaje Sylwia. – Ale też, nie oszukujmy się, nasza pensja jest mała. Po studiach dostałam 2 tys. zł netto, z wliczoną pierwszą transzą tzw. dodatku zembalowego jako efektu strajku, czyli cztery razy 400 zł dwukrotnie ubruttowione. Wychodzi ok. 1000 zł netto. Gdy kończyło się porozumienie w sprawie zembalowego, podjęłyśmy walkę o te same pieniądze. A media zrobiły z nas chciwe baby. Czasami koleżanki pracujące w szpitalu o trzecim stopniu referencyjności zarabiają mniej niż te w szpitalu powiatowym. Przechodzą więc do niższych stopni referencyjności i mają więcej kasy, a mniej pracy. Mało nas jest. Z mojego roku tylko 60 dziewcząt skończyło studia z tytułem magistra, ok. 70 z tytułem licencjata. Na tak duże województwo! Pracuję 160 godzin w trybie 12-godzinnych dyżurów, moje koleżanki po 200-300 godzin. Są przemęczone. Jaką jakość mają świadczone przez nie usługi medyczne? Ale każda z nas ma marzenia, dzieci, kredyt na mieszkanie, czasem samochód w leasingu.

Sylwia przez pierwsze pół roku po studiach siedziała po godzinach i wypełniała dokumentację. Co ona była warta, wyszło w raporcie NIK. Zająć się papierami w ciągu dnia nie była w stanie – była sama na 15-16 pacjentek. Ale człowiek może się do wszystkiego przyzwyczaić. Do chronicznego zmęczenia też. Po wyjściu ze szpitala siadała na krawężniku i wypłakiwała, co w niej narosło przez cały dzień.

– Co do zapewnienia intymności: możemy co najwyżej parawan rozstawić – komentuje Sylwia. – Mamy dwa na oddział. Mimo szczerych chęci nie zdziałamy cudów, gdy budynki i sprzęt mamy, jakie mamy. Dajcie mam mądrych ludzi do zarządzania kasą, wtedy młode, zdolne dziewczyny będą chciały być położnymi. My naprawdę nie siedzimy i nie pijemy kawy. Miewamy po sześć zabiegów operacyjnych dziennie. Na trzy osoby personelu, dwie położne plus lekarz, który ma też biegać na izbę przyjęć. Czasami są to proste zabiegi laparoskopowe, ale to nie zwalnia nas z odpowiedzialności za tzw. zerowe doby, kiedy może się pojawić komplikacja. Nawet po prostym zabiegu. Mamy więc te sześć kobiet po zabiegach plus 13 pacjentek na oddziale. Ogarniamy przygotowanie do zabiegu, tzw. premedykację, a tu w nocy przyjeżdża ciąża pozamaciczna, stan ostry. Dobrze, że mamy zgrany zespół, wiemy, że damy radę. Ufamy sobie. Dajcie nam w spokoju wykonywać pracę, płaćcie za nią uczciwie, dokupcie sprzętu, zróbcie remonty i wtedy zapraszamy NIK na kontrolę.

Beata Igielska
b.igielska@tygodnikprzeglad.pl

Na kobiety krzyczano, gdy dopytywały o swój stan lub płakały.

eprasa.pl fe65c2f2d1

Koniec z handlowaniem prawami kobiet

Nie chcemy kompromisu. Nie chcemy referendum. Nie negocjujemy naszych praw

Rozmawia Anna Stachowiak

Po opublikowaniu wyroku Trybunału Konstytucyjnego powraca temat referendum w sprawie aborcji. Teraz taki „plan ratunkowy" zapowiada Władysław Kosiniak-Kamysz. Referendum to dobry pomysł?

– Bardzo zły z bardzo wielu powodów. Po pierwsze, w sprawie aborcji nie powinno być referendum, bo to kwestia podstawowych praw człowieka – prawa do prywatności, zdrowia i życia. Aborcja to zabieg medyczny, nie kwestia światopoglądowa. Po drugie, w Polsce aborcja jest polityczna, nastąpi więc zmasowany atak propagandowy fundamentalistów, z którym już zresztą mamy do czynienia. Wynik referendum wcale nie jest oczywisty.

W referendum w Irlandii w 2018 r. 66% społeczeństwa zagłosowało za wykreśleniem z konstytucji poprawki mówiącej, że prawo do życia „dziecka nienarodzonego" jest równe prawu do życia kobiety w ciąży.

– Sytuacja w Irlandii była inna. Klimat polityczny sprzyjał zmianom, a referendum dotyczyło uchylenia VIII poprawki do konstytucji, przyjętej także w referendum w 1983 r. i wprowadzającej całkowity zakaz aborcji. Wyobraźmy sobie pytanie w referendum u nas: „Czy jest pan/pani za obroną »życia nienarodzonego«?". Dziś w Polsce referendum to bzdura – obawiają się go jedna i druga strona, a i tak nikt nie da pewności, że jego rezultaty zostaną wzięte pod uwagę. Klimat fundamentalistom nie sprzyja: 80% społeczeństwa jest przeciw zaostrzeniu ustawy, a ponad 60% za jej liberalizacją.

KRYSTYNA KACPURA
– dyrektorka Federacji na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny

Ponadto my mamy doświadczenie takiego referendum – przecież w latach 90. 1,5 mln osób wystąpiło przeciwko zmianie obowiązującej przed 1993 r. ustawy – dobrej ustawy. Tych obywatelskich opinii nikt nie wziął pod uwagę, w zamian zaproponowano nam polityczno-kościelny kompromis, który obowiązywał do 27 stycznia br., czyli do dnia, kiedy opublikowano wyrok trybunału i jego absurdalne uzasadnienie.

> Referendum obawiają się jedna i druga strona, a i tak nikt nie da pewności, że jego rezultaty zostaną wzięte pod uwagę.

Może klimat nie sprzyja konserwatystom, ale ustawę od 27 stycznia mamy drakońską. Co z kobietami, które miały wyznaczone zabiegi albo które czekają na wyniki badań?

– Federa, jak zawsze, wspiera i będzie wspierała kobiety. Organizujemy szeroki front z lekarzami, zarówno ginekologami, jak i psychiatrami, bo kobiety, które do nas się zgłaszają, są w bardzo złym stanie psychicznym. Często nie są w stanie nawet zadzwonić, dlatego odbieramy wiele telefonów od mężów i partnerów. Dzwonią, mówią: „Żona siedzi, patrzy w ścianę, momentami wybucha płaczem. Musiałem zawieźć dzieci do rodziców, bo nie wiedzą, co się dzieje". Dzwonią nie tylko kobiety już zakwalifikowane do zabiegu lub czekające na wyniki badań, ale również takie we wczesnej ciąży lub ją planujące. „W tym kraju nie da się mieć dzieci", mówią. Pytają, co bym zrobiła.

Co pani wtedy mówi?

– Nigdy nie doradzam w ten sposób. Mówię, jakie są możliwości. Pomożemy w dostępie do lekarzy, w badaniach prenatalnych, potem w interpretacji badań, bo obawiamy się, że nie będą one odpowiednio czytane, że kobieta nie będzie w pełni informowana, co się dzieje. Jeśli kobieta chce lub będzie chciała przerwać ciążę, pokierujemy dalej, damy jej rzetelną informację, gdzie może dokonać terminacji. Uruchomiłyśmy dodatkowe dyżury telefoniczne specjalistek. Od 27 stycznia i nasze ręce, i lekarzy, są związane, bo ta drakońska ustawa obowiązuje. Kobieta musi donosić ciążę z uszkodzonym płodem lub z wadami letalnymi. To tortury. Kobiety są spanikowane, lekarze przerażeni, że będą po nich przychodzić do szpitali i gabinetów i wyprowadzać w kajdankach.

Jakie opcje mają lekarze?

– Lekarze znaleźli się w pułapce. Dzwonili do nas i 22 października, i 27 stycznia, pytali: „Co robić? Za chwilę mam zabieg, właśnie ogłosili wyrok i uzasadnienie. Pacjentka jest w strasznym stanie, mówi, że coś sobie zrobi". Wtedy prosiłam, żeby wezwali psychiatrę lub zapisali to w karcie. Aborcja z powodu

eprasa.pl fe65c2f2d1

zagrożenia życia i zdrowia kobiety wciąż jest legalna.

Teraz jedynym wyjściem jest zabieg za granicą?

– I aborcja farmakologiczna. Na naszej stronie www.federa.org.pl podajemy wszystkie kontakty do Aborcji bez Granic, Cioci Czesi i innych organizacji, które mogą pomóc.

Wspomniała pani o badaniach prenatalnych. To kwestia czasu, kiedy one także zostaną zabronione?

– Dostęp do badań prenatalnych i tak nie był łatwy, choćby dlatego, że w ustawie znajdował się zapis o tym, że bezpłatne są dla kobiet po 35. roku życia. To badania, do których swobodny dostęp powinny mieć wszystkie kobiety, bez względu na wiek. Fundamentaliści uważają, że badania mają służyć ochronie zdrowia „dziecka poczętego" i że są przyczyną aborcji. Przyczyną aborcji nie są badania, tylko nieuleczalne wady płodu. Często – letalne. Już wcześniej było tak, że kobietom nie mówiono prawdy, przeciągano terminy badań, grano na czas, aby na zabieg było za późno. Albo odsyłano kobietę na dodatkowe badania, po dodatkowe zaświadczenia, po podpis partnera – wszystko po to, by nie zdążyła.

Te informacje można znaleźć w publikowanych co roku raportach Federy. Wynika z nich, że sytuacja jest naprawdę zła.

– Była zła, jest tragiczna. Jak pokazuje „Atlas antykoncepcji" opracowany przez grupę ekspertów i ekspertek z zakresu zdrowia reprodukcyjnego i opublikowany już po raz trzeci na zlecenie Europejskiego Forum Parlamentarnego ds. Populacji i Rozwoju (EPF), Polska jest na ostatnim miejscu w Europie, jeśli chodzi o dostęp do antykoncepcji. Nie ma edukacji seksualnej. Pigułka po jest dostępna wyłącznie na receptę i trudno ją zdobyć, bo niełatwo znaleźć lekarza, który nie zasłania się klauzulą sumienia. Problem jest nawet z dostępem do ginekologa, są całe gminy, gdzie nie ma takiego lekarza. Standardy opieki okołoporodowej kuleją. A nam się wmawia, że w Polsce wykonuje się tysiąc zabiegów terminacji ciąży. Wykonuje się ich ok. 150 tys., proszę państwa.

Wmawia się nam, że w Polsce wykonuje się tysiąc zabiegów terminacji ciąży. Wykonuje się ich ok. 150 tys.

Tysiąc aborcji, głównie z przesłanki embriopatologicznej, której właśnie się pozbyto, uznając ją za niekonstytucyjną, to statystyka rządowa. W Polsce nie ma aborcji ciąży z gwałtu?

– Promil kobiet zgłasza gwałt, to po pierwsze. Było wiele aborcji ciąż z gwałtu, ale kobiety wiedzą, w jakim kraju żyją, więc zajmują się sobą same. Zamawiają tabletki. Nie mają siły przechodzić przez całą procedurę, która jest potwornie stresująca. Te statystyki to czysta propaganda, nic więcej. W dodatku nieudolna.

W uzasadnieniu wyroku mowa m.in. o dobru dziecka, które uznaje się za ważniejsze od dobra kobiety w ciąży, o pomyśle kuratora dla owego „dziecka", a także o „eugenice liberalnej".

– To bełkot prawny i wiele nieścisłości. W konstytucji nie ma ani słowa o „ochronie życia od poczęcia". Odebrali kobietom podmiotowość. Arbitralnie uznali, że ważniejszy od kobiety jest płód. Pomysł kuratora dla płodu to koszmarna fantazja o nadzorze nad kobietą, co zresztą nosi takie same znamiona jak umieszczanie kobiet w hospicjach perinatalnych, by się nimi „opiekować". A wzmianki o „eugenice liberalnej" to po prostu jakieś dziwactwo językowe, które ma budzić oczywiste skojarzenia z nazizmem. To stary numer fundamentalistów, którzy zawłaszczają język owymi „dziećmi nienarodzonymi", „mordowanymi dziećmi" i aborcją „eugeniczną", choć nic takiego nie istnieje – mówimy o aborcji z przyczyn embriopatologicznych.

Mówi pani: oni. Czyli kto?

– Fundamentaliści przy wsparciu Kościoła. My, kobiety, od 1989 r. płacimy naszymi prawami za polityczne rozgrywki. Polscy politycy nie wierzyli i wciąż nie wierzą, że bez wsparcia Kościoła wygrają wybory, więc robią wszystko, by Kościół zadowolić. Pilnują ustawy aborcyjnej, żeby – broń Boże – nie zadziało się nic postępowego, czyli wedle światowych standardów normalnego. W 2016 r. zaproponowali nam ustawę koszmar, ale wówczas wyszłyśmy na ulice i powiedziałyśmy: nie! Teraz, dzięki wyrokowi pseudo-Trybunału Konstytucyjnego, ten koszmar to nasza codzienność.

Powrót do „kompromisu" nie wchodzi w grę?

– On nigdy nie działał. Ta ustawa była fikcją, opresyjną już na papierze, ale jeszcze bardziej w rzeczywistości. Nie była ani respektowana, co pokazują tułaczki kobiet od lekarza do lekarza, ani wykonywana, co pokazują śmieszne statystyki rządowe. Nie chcemy kompromisu. Nie negocjujemy naszych praw. A dyskusje, debaty już były, liczone w tysiącach. Były sprawy w Europejskim Trybunale Praw Człowieka w Strasburgu. Teraz chcemy pełni naszych praw. Chcemy dostępu do legalnej, bezpiecznej aborcji. Koniec z handlowaniem naszymi prawami. ■

Sytuacja kobiet była zła, jest tragiczna.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl fe65c2f2d1

Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Antyspołecznościowe media społecznościowe

Język ma moc kreowania rzeczywistości. Dobrym przykładem są tzw. media społecznościowe. Nazwanie ich w taki sposób powoduje, że automatycznie dostrzegamy w nich narzędzie budowania więzi społecznej. Gdy jednak uwolnimy się od czaru, jaki rzuca na nas język, zobaczymy to, co zobaczyć powinniśmy: media nazwane społecznościowymi są *de facto* antyspołecznościowe. Żeby to zrozumieć, musimy się zastanowić, co rozumiemy przez określenie „społecznościowe". To coś, co sprzyja budowaniu wspólnoty, byciu razem, wymianie poglądów, zbliżeniu perspektyw, nauce wzajemnego zrozumienia, empatii, nawiązaniu sympatii i wzbudzeniu poczucia solidarności. A co czynią media tak nazwane? Co jest ich ciemną stroną (bo mają wszak i jasną)? Przypomnijmy słynny fragment „Dzienników" Gombrowicza: „Poniedziałek – ja, wtorek – ja, środa – ja". Wspaniale pasuje do logiki działania mediów społecznościowych, służących przede wszystkim wzmacnianiu *ego* uczestników, zaspokajaniu narcystycznej potrzeby bycia dostrzeganym i podziwianym.

To one m.in. odpowiadają za „epidemię narcyzmu". Dane zgromadzone przez badaczy są przerażające. Jean Twenge, najwybitniejsza badaczka tego zjawiska i autorka książki pod tym właśnie tytułem, odnotowuje lawinowy wzrost postaw narcystycznych wśród młodzieży amerykańskiej w ciągu ostatnich lat. (Choć początek tego procesu, nie przypadkiem, zbiegł się z rządami Ronalda Reagana). Z kolei w książce „iGen. Dlaczego dzieciaki dorastające w sieci są mniej zbuntowane, bardziej tolerancyjne, mniej szczęśliwe – i zupełnie nieprzygotowane do dorosłości. I co to oznacza dla nas wszystkich" opisuje fatalne skutki uzależnienia od mediów społecznościowych (epidemia depresji i innych zaburzeń psychicznych).

Twenge i inni zauważają, że media te służą głównie kreowaniu wyidealizowanego obrazu samego siebie i swojego życia. Cel jest jeden: wzbudzić zazdrość. Kazać innym myśleć o własnym życiu jako mniej atrakcyjnym, przeciętnym, nudnym i jałowym. Takie bowiem musi ono się wydawać w porównaniu z liderami społecznościowej opinii, którzy starają się udowodnić sobie i innym, że prowadzą życie atrakcyjne, wyjątkowe, pełne wrażeń i przygód. Temu wszak służą wrzucane na Instagram fotki z wyjazdów zagranicznych, pozowane zdjęcia ukazujące nas piękniejszymi, niż jesteśmy, relacje ze spotkań towarzyskich, opisy zabaw i różnych przyjemności (nie wystarczy, że sami jesteśmy szczęśliwi, chodzi o to, aby przy okazji inni poczuli się nieszczęśliwi). Ton narzucają tzw. celebryci, znani z tego, że są znani (z reguły innych zasług nie mają). Potrafią umiejętnie podtrzymywać zainteresowanie swoją osobą, stając się wzorem dla tych, którzy marzą o byciu znanym w nagrodę za to, że po prostu się istnieje. W obliczu tak spreparowanego świata „sukcesu" życie wielu ludzi musi się jawić jako mało warte. Tym bardziej że już dawno oduczyliśmy się czerpać radość z tego, co stanowiło o niej przez wieki: uznania i miłości bliskich, przyjaźni, szacunku tych niewielu, na których zdaniu powinno nam naprawdę zależeć. W tej sytuacji odczucie zazdrości, zawiści i żalu prędzej czy później musi się pojawić, podobnie jak chęć upokorzenia tych, którym się zazdrości i którzy swoim puszeniem się nas upokarzają.

Wszystko to są uczucia, które niszczą naszą psychikę. Podobnie jak permanentna konkurencja, ciągłe porównywanie się z innymi, wyścig na lajkowanie, uznanie i uwagę. Lajki, waluta mediów społecznościowych, zamiast autentycznej przyjaźni przynoszą jedynie pozór uznania i chwilowe pocieszenie (nie jestem taki do niczego, skoro ktoś polubił mój komunikat). Prawdziwa przyjaźń, tak jak miłość, wymaga kontaktu twarzą w twarz; jesteśmy wszak istotami cielesnymi, zaprzyjaźniamy się i zakochujemy nie tylko z powodu powinowactwa dusz, ale także z powodu trudnych do uchwycenia sygnałów, które wysyłamy sobie nawzajem za pomocą naszego ciała (stąd mówienie, że pomiędzy pewnymi ludźmi jest chemia, a pomiędzy innymi jej nie ma). W internecie uzyskujemy jedynie namiastkę prawdziwego życia, pozór więzi i zrozumienia, cień przyjaźni. Prawda ta dociera czasami do użytkowników mediów społecznościowych, stąd ich, uchwycone w badaniach socjologicznych i psychologicznych, poczucie samotności, pomimo bogatego życia sieciowego. Zamiast autentycznej wspólnoty mamy zbiór samotnych ludzi rozpaczliwie poszukujących kontaktu, a uzyskujących jedynie konkurencję, zazdrość i rozczarowanie. Jednostek obsesyjnie skoncentrowanych na sobie i liczących na wymianę usług (ty polajkujesz mnie, a ja ciebie), a nie na autentyczne uznanie i bliskość.

Jak to wszystko ma się do Ronalda Reagana? Ano tak: jego rządy, podobnie jak rządy Margaret Thatcher w Wielkiej Brytanii, rozpoczęły epokę kapitalizmu, w której jednostka uzyskała status boga, jej interesy zostały wyniesione ponad interesy wspólnoty, ona sama zaś została skłoniona do tego, aby myśleć o sobie jako małym przedsiębiorstwie, którym trzeba umieć zarządzać, w ciągłej konkurencji z innymi. Najcenniejsza stała się uwaga innych, którą można spieniężyć (co czynią wspomniani celebryci). W zapomnienie popadły stare wartości: skromność, empatia, solidarność i bezinteresowność; tzw. media społecznościowe okazały się znakomitym narzędziem wprowadzania w życie wartości turbokapitalistycznych. Ich właściciele mogli zarobić krocie na wydobywaniu z ludzi tego, co w nich najgorsze. Dziś trzeba im pogratulować, ich zwycięstwo jest pełne. Tak jak nasza klęska.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl fe65c2f2d1

Kornel Wawrzyniak

Pokrzywdzeni ludzie zwracają się do kancelarii Wolski i Wspólnicy.

„Kasta" 2.0

TVP w służbie propagandy. Źli sędziowie krzywdzą dobry lud

Od poniedziałku do piątku o godz. 18.20 (powtórka nazajutrz o 11.25) widzowie TVP 1 mogą oglądać serial „Kasta". Określany mianem paradokumentu program zastąpił nadawany w tym samym czasie serial historyczny „Korona królów". „Kasta" jest luźno inspirowana programem o takim tytule, którego twórcom zarzucano manipulację faktami. Dlaczego postanowiono, aby pasmo interwencyjne miało paradokumentalną kontynuację?

Twórcy nowej „Kasty" (scenarzyści i reżyserzy zmieniają się zależnie od odcinka) bardzo się starają pokazać, że sędziowie to grupa uprzywilejowana, która niszczy wymiar sprawiedliwości. Z układem walczy dwójka prawników, która w każdym odcinku zajmuje się inną sprawą, ale zawsze dostajemy taki sam obraz – sędziowie są źli, mają konszachty z prokuratorami i biznesmenami, nadużywają władzy i krzywdzą szarych zjadaczy chleba, którzy stają się ofiarami systemu.

„Kasta" zadebiutowała 12 października 2020 r. Średnia oglądalność pierwszych czterech odcinków wyniosła 854 tys. osób. Portal Wirtualne Media podał, że emitowaną wcześniej „Koronę królów" oglądało średnio 993 tys. widzów. Spośród tzw. wielkiej czwórki TVP 1 zajmuje ostatnie miejsce, jeśli chodzi o oglądalność w tym czasie antenowym, przegrywa z „Ukrytą prawdą" TVN czy „Pierwszą miłością" Polsatu. Pomimo wsparcia produkcji kampanią reklamową oglądalność spadała z odcinka na odcinek. Według danych Nielsen Audience Measurement pierwszy odcinek miał widownię na poziomie 1,01 mln, a czwarty już tylko 744 tys. widzów.

Z planszy tytułowej dowiadujemy się, że pokazywane historie „oparte są na prawdziwych sprawach z polskich sądów". Serial jest paradokumentem. Ten gatunek mylony bywa z telenowelą dokumentalną. Różnica między nimi ma ogromne znaczenie – w paradokumencie aktorzy wcielają się w fikcyjne postacie, a historie są od początku do końca wyreżyserowane, nawet jeśli oparto je na faktach. Trudno więc oskarżać twórców programu o przeinaczanie faktów, bo zawsze mogą się bronić, że to fikcja, luźno nawiązująca do rzeczywistości. W telenoweli dokumentalnej występują prawdziwi ludzie, pod własnym imieniem i nazwiskiem, a kamera towarzyszy im bez większych ingerencji reżysera. Twórcy z TVP postanowili wykorzystać to zamieszanie pojęciowe, jednak, jak twierdzi medioznawca Wojciech Krzyżaniak, „serial nie wywiązuje się z założeń propagandowych, bo nie pokazuje chorego systemu, tylko ludzi, którzy wykorzystują swoją mocną pozycję. Nie ma tam w ogóle słowa o walce z systemem. Jedynym efektem jest wytwarzanie pustej nienawiści".

Jedynym efektem „Kasty" jest wytwarzanie pustej nienawiści.

Fabuła i tytuły odcinków nie pozostawiają złudzeń, w kogo uderzać ma serial: „Kupiona niewinność", „Opłata za wolność", „Agencja pod ochroną", „Diler wyroków". W jednym z epizodów sędzia, który prowadził pod wpływem alkoholu, używa swoich koneksji do zastraszenia, a nawet oskarżenia świadków wypadku drogowego. Nie bez znaczenia jest fakt, że pijany sędzia rozbija drogi samochód. To wszystko ma wzbudzać w odbiorcach poczucie niesprawiedliwości, i systemowej, i ekonomicznej.

– Z jednej strony ludzie źli i pełni przywar, z drugiej – dobrzy i nieskazitelni. Ta konwencja jest w „Kaście" bardzo widoczna i trochę ośmiesza ideę przekazu. Zero-jedynkowy podział świata widać zarówno w scenariuszu, jak i w grze aktorskiej – komentuje reżyser Konrad Szołajski.

– Sędziowie są jedną z tych grup, które od samego początku znalazły się na celowniku władzy. Stopień natężenia ataków zmienia się, ale sędziowie pozostają w czołówce – podkreśla Piotr Gąciarek, wiceprezes oddziału warszawskiego SSP Iustitia.

Ale nie tylko sędziowie są czarnymi owcami wymiaru sprawiedliwości. Także prokuratorzy. W jednym z odcinków gwałciciel dostaje wyrok siedmiu lat więzienia, ale chroniący go prokurator nie zostaje ukarany, nie ma nawet przedstawionych zarzutów.

Jednak „Kasta" traci swój wydźwięk przez fatalną realizację. – W tym serialu nie ma emocji ani prawdziwych ludzkich dramatów, wszystko jest zrobione po łebkach. Nawet w komentarzach na końcu twórcy nie wyjaśniają zawiłości, aby pokazać, że ta kasta gdzieś jest – ocenia Wojciech Krzyżaniak.

eprasa.pl fe65c2f2d1

„Kasta" dyskredytuje nie tylko środowisko prawnicze – serwowane jest tu całe menu propagandowej ideologii TVP. W premierowym odcinku prawnicy zajmują się sprawą zgwałconej w klubie nastolatki. Fabuła nawiązuje do sopockiego klubu Zatoka Sztuki, o którym dokument dla TVP nakręcił Sylwester Latkowski. A to nie wszystkie smaczki – już w pierwszych minutach dowiadujemy się, że matka zgwałconej dziewczyny nie bierze pod uwagę usunięcia ciąży z gwałtu, bo za nic nie będzie obwiniać dziecka. Bohater innego odcinka zwraca się do prawników, parafrazując słowa prezesa PiS: „Skazano nas, bo chce się nam wmówić, że białe jest czarne".

Rzeczywistość przedstawiana jest jednak z wielką naiwnością. – Dla inteligentniejszych odbiorców ta naiwność jest nieznośna, ale dla bardzo prostych ludzi, którzy odbierają treści dość bezrefleksyjnie, będzie to zachęta do negowania rzetelności sędziów. Gdy dodamy do tego kampanię bilbordową z ponoć ukradzioną kiełbasą, to wszystko wpisuje się w ten sam wzór propagandy służącej do uzasadnienia, dlaczego sędziów trzeba stłamsić – podsumowuje Szołajski.

Między styczniem a marcem 2020 r. w dni powszednie po godz. 21 pod tytułem „Kasta" TVP Info nadawała program interwencyjny. Jego gospodarzem był Miłosz Kłeczek. W programie pokazywano kontrowersyjne wyroki sądów i historie ludzi skrzywdzonych przez wymiar sprawiedliwości. Twórcom wielokrotnie zarzucano przeinaczanie faktów. Prezes szczecińskiego sądu okręgowego Maciej Strączyński, notabene jeden z nominatów ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry, udowodnił w lutym 2020 r., że autorzy programu sfałszowali dokument, by uderzyć w działanie sądu. Miesiąc później do Biura Rzecznika Praw Obywatelskich złożono skargę na nierzetelne przedstawienie innej sprawy.

„Kasta" w nowym wcieleniu, jako paradokument, nie jest zagrożona takimi oskarżeniami, nie musi trzymać się faktów. Niestety, wielu odbiorcom umyka to, że treść inspirowana aktami spraw sądowych wcale nie musi pokazywać, jak naprawdę działa polski wymiar sprawiedliwości. To daje propagandowej machinie dużo większe pole do popisu.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

Radar nie wybacza

Kornel Wawrzyniak

Rekordy na polskich drogach. Od początku 2021 r. fotoradary zarejestrowały ponad 110 tys. pojazdów, które przekroczyły prędkość. Pierwszy w tym roku rekord należy do fotoradaru przy Szosie Stargardzkiej w Szczecinie. Tylko w styczniu na zbyt szybkiej jeździe przyłapał on 1614 kierowców. Jeszcze skuteczniejszy okazał się tzw. odcinkowy pomiar prędkości, który 20 stycznia uruchomiono na autostradzie A1. Główny Inspektorat Transportu Drogowego podaje, że system zarejestrował ponad 27 tys. wykroczeń. Pomiar przynosi jednak zamierzone efekty. – Styl jazdy kierowców trochę się uspokoił. W porównaniu z tym, co było wcześniej, jest poprawa – podkreśla mł. asp. Kamil Szmidel z Komendy Wojewódzkiej Policji w Łodzi.

Prędkość na A1 mierzona jest na dwóch odcinkach. Krótszy, mniej więcej 16-kilometrowy, znajduje się między Tuszynem a Piotrkowem Trybunalskim. Dłuższy ma 41 km i ciągnie się od Kamieńska aż do początku obwodnicy Częstochowy. Na odcinku z Piotrkowa do Tuszyna w ciągu zaledwie 10 dni zarejestrowano 4211 pojazdów jadących z niedozwoloną prędkością, w drugą stronę aż 14 tys. Pozytywne jest to, że po uruchomieniu odcinkowego pomiaru liczba łamiących przepisy zmniejszyła się dziesięciokrotnie.

W 2020 r. rekord pobił fotoradar przy ul. Grójeckiej w Warszawie. Urządzenie przyczyniło się do wystawienia 18,5 tys. mandatów. W samej stolicy zarejestrowano ok. 330 tys. wykroczeń. Dr Karolina Wieczorek, p.o. zastępca głównego inspektora transportu drogowego, podkreśla, że to w województwie mazowieckim zarejestrowano najwięcej naruszeń przepisów. Na ul. Modlińskiej pirat rekordzista przekroczył prędkość o 121 km/godz.

Najwyższy mandat, jaki można dostać w Polsce za przekroczenie prędkości 50 km/godz., wynosi 500 zł. Do tego 10 pkt karnych. Jeśli stanie się to w terenie zabudowanym, policja może zatrzymać na trzy miesiące prawo jazdy.

Dla porównania: przekroczenie prędkości w terenie zabudowanym w Hiszpanii kosztuje 500 euro, w Austrii za przekroczenie prędkości o 50 km/godz. zapłacimy 2180 euro.

Niektórzy specjaliści od bezpieczeństwa drogowego opowiadają się za uzależnieniem mandatów od wysokości zarobków. Ten system stosowany jest już na świecie. W 2019 r. fiński hokeista Rasmus Ristolainen zapłacił 120 tys. euro za jazdę 81 km/godz. przy ograniczeniu do 40 km/godz. W Finlandii każdy kilometr ponad dozwoloną prędkość kosztuje dzienną pensję.

Fotoradar przy ul. Grójeckiej w Warszawie w 2020 r. przyczynił się do wystawienia 18,5 tys. mandatów.

Z danych GITD wynika, że w Polsce dopuszczalna prędkość przekraczana jest średnio o 21 km/godz. Od początku 2021 r. takich przekroczeń odnotowano 66 tys. Wszystkie fotoradary i urządzenia mobilne w zeszłym roku zarejestrowały 1,37 mln naruszeń obowiązujących przepisów. Dr Karolina Wieczorek podkreśla, że w porównaniu z rokiem 2019 liczba przekroczeń prędkości spadła o 15,5%, jednak przybyło kierowców, którzy jeżdżą powyżej 50 km/godz. w terenie zabudowanym.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl fe65c2f2d1

Podatek od miliarderów, nie od Kowalskich

Nie możemy mieć społeczeństwa, w którym garstka ludzi na górze zarabia na wzroście, a nikomu nic z tego nie zostaje

DR PAWEŁ BUKOWSKI
– ekonomista, badacz i wykładowca w Centre for Economic Performance, London School of Economics and Political Science (LSE) oraz w Instytucie Nauk Ekonomicznych PAN. Zajmuje się nierównościami ekonomicznymi i funkcjonowaniem rynków pracy. Związany z zespołem eksperckim Dobrobyt na Pokolenia.

Rozmawia Jakub Dymek

Co o współczesnym kapitalizmie mówi nam to, że w trakcie pandemii i wywołanego nią kryzysu wiele firm zwiększyło swoją wycenę o kilkaset miliardów dolarów, Jeff Bezos powiększył majątek o 100 mld, a na świecie w ogóle przybyło multimiliarderów?

– Nie wiem, czy mówi nam to coś nowego, bo nie jest wcale takim zaskoczeniem. Po pierwsze, w czasach zamknięcia urósł rynek zakupów przez internet, usługi oferowane przez platformy w rodzaju Amazona były często jedynymi dostępnymi, więc na pandemii zyskali giganci, których model działania był dopasowany do nowych okoliczności. Po drugie, w taki czy inny sposób część pieniędzy wydawanych w ramach programów pomocowych i zasiłków trafia do tych korporacji poprzez zwiększony popyt konsumentów. A po trzecie, średniozamożni i bogaci oszczędzają w czasie pandemii. Pieniądze, których nie wydają na życie towarzyskie, podróże i inne rzeczy, na które pozwoliliby sobie w normalnych okolicznościach, trafiają choćby na giełdę, a to podnosi ewaluację spółek. Zwłaszcza tych z sektora wysokich technologii, które zyskują także na nowej rzeczywistości społecznej. Ale trzeba też pamiętać, że część firm radzi sobie znacznie gorzej, np. duże sieci sklepów odzieżowych czy linie lotnicze.

Czyli pandemia spowodowała wielki transfer bogactwa od klasy średniej i państwa do największych światowych korporacji?

– Nie wszystkich, rzecz jasna, ale tych, które w tym nowym modelu się odnalazły. Moim zdaniem jednak szokujące mogą być raczej kwoty, o jakie wzbogacili się miliarderzy z Doliny Krzemowej – sto czy kilkadziesiąt miliardów dolarów w przypadku Jeffa Bezosa bądź Elona Muska – niż sam mechanizm, który tu zadziałał. Ten naprawdę można było przewidzieć.

Ci, którzy rok temu wieszczyli rewolucję gospodarczą i przemysłową, zmianę paradygmatu, wielkie przewartościowanie, zupełnie się pomylili?

– Zmiana będzie i możemy o niej dyskutować. Ale to nie jest kryzys systemu, kryzys kapitalizmu *per se.* Pandemia jest katastrofą zewnętrzną, nie wynika z działań gospodarki. Natomiast problem jest taki, że uwydatniła rzeczy, które już działały źle, choćby nierówności. Te istniejące pogłębiają się, ale pojawiają się nowe, np. wynikające z możliwości pracy zdalnej albo w dostępie do wysokiej jakości zdalnej edukacji. Nie chodzi więc teraz o to, żeby rzucać kamieniami w kapitalizm i Bezosa; należy wprowadzić rozwiązania, które cofną ów transfer majątku od biednych do najbogatszych. Pytanie brzmi zatem: jak spowodować, by te pieniądze wróciły do uboższej części społeczeństwa i zaczęły pracować na ożywienie gospodarcze po pandemii? Trzeba to wahadło pchnąć w drugą stronę. Na szczęście mamy wiele narzędzi, żeby to zrobić.

I pan często mówi, że rozwiązaniem, które należy wprowadzić, jest podatek majątkowy. Dlaczego?

– Żeby zrozumieć, dlaczego podatek majątkowy jest dobrym rozwiązaniem, musimy najpierw zrozumieć, jakie stoją przed nami wyzwania. Jesteśmy w kryzysie i będziemy w nim jeszcze kilka lat. Zaszczepienie ludności bardzo pomoże w walce

Podatek majątkowy dotyczyłby stosunkowo małej grupy najbardziej majętnych Polaków.

eprasa.pl fe65c2f2d1

W mobilnym punkcie poradnictwa w Warszawie potrzebujący mogli też otrzymać paczki żywnościowe.

z wirusem, ale nie wystarczy do odbudowy gospodarki. Co z tego, że otworzymy sklepy i restauracje, skoro ludzie nie będą w nich kupować? Kluczowe więc będzie zwiększenie i podtrzymanie popytu, np. poprzez utrzymanie transferów i pomocy dla najbardziej poszkodowanych przez pandemię. Ale jednocześnie pojawia się pytanie, jak to wszystko finansować. Zwiększanie tradycyjnych podatków dochodowych to trochę wylanie dziecka z kąpielą, ponieważ takie podatki zmniejszają popyt. Z powodu PIT mamy obecnie niższe dochody, więc będziemy też mniej wydawać. Natomiast opodatkowanie majątków ma znacznie mniejszy wpływ na popyt, ponieważ majątek to tak naprawdę zakumulowany przeszły dochód (a nie obecny). Nie ograniczamy zatem popytu, który jest potrzebny do gospodarczego odbicia.

Jak miałoby to wyglądać?

– Taki podatek majątkowy dotyczyłby stosunkowo małej grupy najbardziej majętnych Polaków. Na przykład opodatkowanie majątku netto (czyli po odliczeniu długów) powyżej 1 mln zł dotyczyłoby tylko 6% Polaków. Gdybyśmy zdecydowali się na próg 5 mln zł, dotknęłoby to 0,5% ludności. A że rośnie nam dług publiczny, to możemy go spłacać albo w ten sposób, albo poprzez inflację – czyli tak naprawdę również podatek od majątku, ale dużo bardziej dotkliwy dla mniej zamożnych.

Upraszczając więc sprawę, jednak potrzebujemy tego podatku od Bezosa, a nie od polskiego „Janusza biznesu"?

– W jakimś sensie już nie ma dyskusji, czy wprowadzić podatek majątkowy, czy nie – bo on istnieje w postaci spadającej wartości oszczędności klasy niższej i średniej w bankach. Pytanie, w kogo on powinien uderzyć: w osoby bogate czy biedne? Dziś pan Janusz albo pani Kowalska jest proporcjonalnie obciążona mocniej. A gdyby komuś zabrać 10 mln z miliarda, nie będzie to wcale takie dotkliwe.

W Polsce dziś jest to załatwiane tak, że covidowe straty dla budżetu próbuje się łatać odrębnymi, sektorowymi podatkami – jak nie cukrowym, to od reklam.

– Nie wiem, czy da się w tym znaleźć spójną myśl, czy mamy do czynienia raczej z improwizowanym wdrażaniem projektów, które po kolei się pojawiają, i próbowaniem wszystkiego, co się da. Abstrahując od pandemii, głównym problemem w Polsce jest fakt, że mamy degresywny system podatkowy – to znaczy, że bogaci płacą relatywnie mniej. Co gorsza, jest on również niesprawiedliwy, ponieważ taki sam dochód – jeśli pochodzi z biznesu albo z pracy na etat – może być opodatkowany inaczej, według różnych stawek podatku liniowego i skali podatkowej. Polska jest tu ewenementem, w kwestii podatków nasz system to kuriozum w skali światowej.

Ale czy opodatkowanie majątków w kraju bez miliarderów w rodzaju Bezosa, gdzie nie sposób się doszukać podobnych złotych gór co w Dolinie Krzemowej, rzeczywiście jest tak opłacalnym pomysłem?

– Z badań Michała Brzezińskiego, Katarzyny Sałach i Marcina Wrońskiego wiemy, że w Polsce 1% najbogatszych posiada ok. 20% majątku. To nie są skrajne nierówności, porównywalne z USA lub Rosją, ale nie są one też małe. Według niedawnych obliczeń Brzezińskiego podatek majątkowy w wysokości 1% od majątku powyżej 1 mln zł i 1,5% powyżej 5 mln mógłby nam dać przychód odpowiadający 1% PKB rocznie. Zakładając więc, że dług w trakcie pandemii wzrósł nam o 13 pkt proc., spłacilibyśmy go w ciągu 13 lat za pomocą tylko tego

Polska jest ewenementem w kwestii podatków, nasz system to kuriozum w skali światowej.

Zmarł nagle

Marek Maldis

dziennikarz radiowy i telewizyjny
Erudyta. Kompetentny dokumentalista.
Autor wielu filmów i programów.
W jednym z nich debiutowałem przed laty.
W marcu 2019 r. ukończył, jako 70-latek, maraton na Antarktydzie.
Niestety, nowych programów ani biegów już nie będzie.

Żegnaj, Redaktorze

Jerzy Domański

FOT. PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS, ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl fe65c2f2d1

podatku majątkowego. A pamiętajmy, że to nie będzie jedyna metoda spłaty zobowiązań.

Czy takie rozwiązania mają w ogóle sens na poziomie jednego kraju?

– Oczywiście, że lepiej wprowadzić podatek majątkowy od razu na poziomie całej Unii Europejskiej, by uniknąć przenoszenia fortun z kraju do kraju, co jest potencjalnie problemem. Ale nie możemy przejaskrawiać tego zagrożenia, bo łatwiej jest uciec z dochodami do raju podatkowego, niż przenieść willę z Sopotu do Szwajcarii, prawda? Regularne straszenie tym, że uciekną od nas milionerzy, opiera się na przesadzie. Trudno sobie wyobrazić, że wobec konieczności zapłacenia 1% podatku od majątku bogaci nagle sprzedadzą wszystkie swoje domy w Polsce, a firmy przeniosą do innych krajów. To nierealne.

Jeśli to więc takie proste, to czy główną przeszkodą jest po prostu opór polityczny przeciw podobnym rozwiązaniom?

– Co ciekawe, nie. Badania opinii publicznej na Zachodzie pokazują spore poparcie dla podatku majątkowego. Głównym problemem jest koszt wprowadzenia takiego rozwiązania. W dobie zbierania o nas danych przez wielkie koncerny technologiczne i powszechnego cyfrowego nadzoru państwo polskie nie ma pojęcia, jakim majątkiem dysponują Polacy. Szokujące, prawda? Nie mamy zatem podstawy, żeby taki podatek wprowadzić, dopóki administracja nie będzie w stanie go pobierać, opierając się na wiarygodnych liczbach. Potrzebowalibyśmy spisu powszechnego, który pozwoliłby oszacować majątek każdego Polaka. I to nie jest proste, ale też nie jest niemożliwe. Młoda II RP po I wojnie światowej, w latach 20., była w stanie coś takiego zrobić. Wprowadzono wtedy na pewien czas podatek majątkowy, poprzedził to trwający kilka miesięcy spis powszechny. Wiele państw Europy robiło w XX w. coś podobnego. To nie jest nierealne, choć rzeczywiście wymaga wysiłku.

Odejdźmy na chwilę od technicznych szczegółów pomiaru nierówności. Chciałbym zapytać, czy w ostatnich latach zmienił się pańskim zdaniem klimat w dyskusji o nich i czy wola wprowadzania odważniejszych, systemowych rozwiązań jest większa.

– Na Zachodzie klimat się nie zmienił. W tym sensie, że mówi się o tych problemach i rozwiązaniach od kilku dekad. I to w ekonomii głównego nurtu, zarówno na korytarzach akademii, jak i w instytucjach w rodzaju Międzynarodowego Funduszu Walutowego. „Nie możemy mieć społeczeństwa, w którym garstka ludzi na górze zarabia na wzroście, a nikomu nic z tego nie zostaje" – to dość powszechny pogląd.

Z jednej strony, jest argument etyczny przeciw tak nierównej dystrybucji dochodu, mówiący zwyczajnie, że jest ona niesprawiedliwa. Z drugiej, wiadomo, że długoterminowo wzrost jest możliwy tylko w równym społeczeństwie – nie jest tak, że musimy wybierać między społeczeństwem równym a doświadczającym rozwoju, dynamicznym. Odwrotnie, musimy mieć pierwsze, żeby mieć drugie. W społeczeństwach głęboko nierównych tracimy wiele talentów z biednych rodzin, demokracja słabnie, rośnie przestępczość, a potężne firmy ustawiają reguły gry pod siebie, niszcząc konkurencyjność rynków. Covid pokazał wyłącznie, że ta dyskusja trafnie diagnozuje problem, a kolejne nierówności – dotyczące miejsca zamieszkania, rasy, zdrowia, klasy, płci itd. – pogłębiają się wraz z kryzysem.

A w Polsce?

– W Polsce przez długi czas dominował nurt mówienia i myślenia o gospodarce, który na Zachodzie uznawany jest za pewną egzotykę. Na przykład powoływanie się na tzw. austriacką szkołę ekonomii, powszechne w Polsce, jest czymś, z czym ani razu nie spotkałem się w pracy naukowej za granicą. Korwinowskie poglądy, które w Polsce przez pewien czas wyznaczały jeden z głównych paradygmatów, są marginesem choćby w Anglii – nawet rządzonej przez konserwatystów. Ale i w Polsce pojawiają się jaskółki zmian. Częściej w głównym nurcie mówi się, że gospodarka nie działa tak prosto i jednoznacznie jak w neoliberalnych teoriach, a nierówności rzeczywiście mają znaczny wpływ na życie społeczeństwa. Mam nadzieję, że dokładnie w tym kierunku teraz będzie się to rozwijać. Przynajmniej o to zabiegamy razem z naszą grupą młodych polskich ekonomistów i ekonomistek z zagranicznych uczelni – Dobrobyt na Pokolenia.

Państwo polskie nie ma pojęcia, jakim majątkiem dysponują Polacy.

Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl
dymek.substack.com

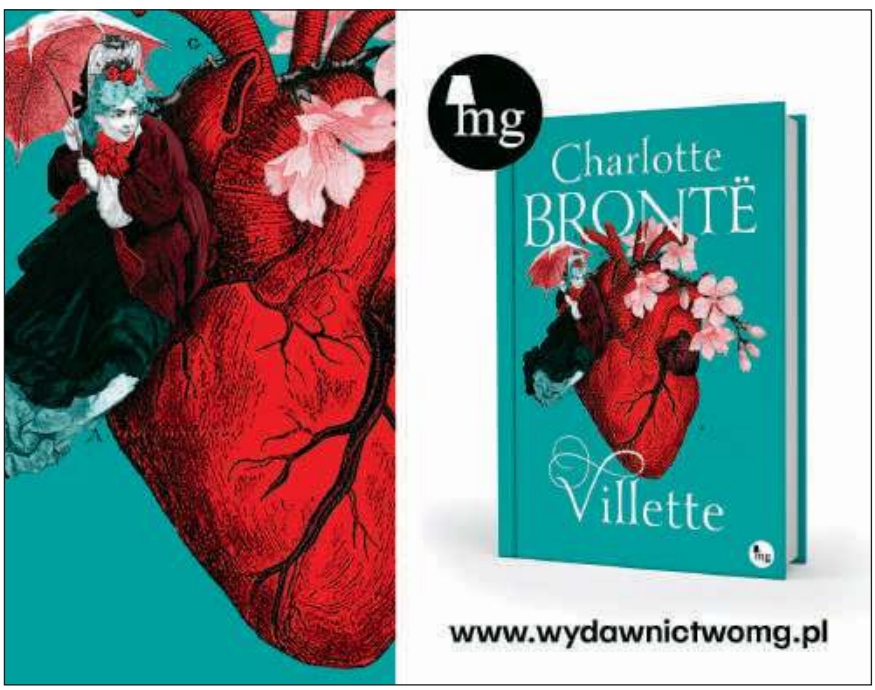

eprasa.pl fe65c2f2d1

Czy małe jest piękne?

Pracownicy mikrofirm zarabiają o jedną trzecią mniej niż osoby zatrudnione w budżetówce i większych przedsiębiorstwach

Andrzej Radzikowski

Bierz sprawy w swoje ręce, załóż firmę, bądź liderem rozwoju. Niech żyje wolny rynek, w końcu każdy człowiek kieruje się zasadą korzyści materialnej. Najnowszy raport GUS o mikrofirmach dowodzi, że ostatnim, który na taką korzyść może liczyć, jest pracownik.

Mikrofirmy (przedsiębiorstwa zatrudniające do dziewięciu pracowników) to znaczący segment gospodarki. Na koniec 2019 r. znalazło tam zatrudnienie 4,23 mln osób. To niemal tyle samo co w budżetówce (4,34 mln osób).

W 2019 r. mikrofirmy płaciły zatrudnionym średnio 3,3 tys. zł brutto, tymczasem w budżetówce można było zrobić średnio 5,11 tys. zł. Najlepszą kondycją portfeli cieszyli się jednak pracownicy w większych zakładach. Pod koniec 2019 r. zarabiali średnio 5,17 tys. zł brutto. W uproszczeniu oznacza to, że pracownicy mikrofirm zarabiają brutto tyle, ile osoby zatrudnione w budżetówce i większych przedsiębiorstwach dostają netto. Czyli o jedną trzecią mniej!

Ta rozbieżność jest różnie interpretowana. Część pracodawców uważa, że nie mają środków na podnoszenie wynagrodzeń. Za ten stan winią systematycznie zwiększaną płacę minimalną. Twierdzą, że to rynek i konkurencja powinny regulować poziom wynagrodzeń, a nie rozporządzenia rządu.

Twarde dane dowodzą jednak, że w 2019 r. zyski brutto mikrofirm stanowiły 14% ich przychodów ogółem. Rok wcześniej – 13,2%. W liczbach bezwzględnych to, bagatela, 24 mld zł więcej. Przez jeden rok! W ciągu pięciu lat, mimo corocznych podwyżek płacy minimalnej, zyski urosły aż o 53%. Czyli o 20% więcej niż płaca minimalna. Upada zatem teza o obniżaniu rentowności mikrofirm poprzez systematyczny wzrost płacy minimalnej. Co więcej, z dużą dozą prawdopodobieństwa można przyjąć, że gdyby nie ustawowy wzrost płacy minimalnej, to pomimo zwiększającej się zyskowności małych firm wynagrodzenie pracowników rosłoby tylko nieznacznie.

Biorąc pod uwagę rażącą różnicę między średnią płacą pracowników w mikrofirmach a wynagrodzeniami zatrudnionych w dużych przedsiębiorstwach, można stwierdzić, że ci pierwsi są największymi beneficjentami urzędowej płacy minimalnej (od tego roku jest to 2,8 tys. zł brutto).

Osobną, ale równie ważną kwestią jest strategia budowania konkurencyjności mikrofirm. Powyższe dane wskazują, że opiera się ona na niskich płacach i niskich kosztach pracy, a nie na innowacyjności. To szczególnie istotne, gdy uświadomimy sobie, że kluczową barierą rozwoju społeczno-gospodarczego Polski jest tzw. pułapka średniego dochodu. Wyjściem z tej pułapki jest przestawienie gospodarki na tory konkurowania innowacyjnością. Wszystko jednak wskazuje, że zrobią to nie mikro- ani małe przedsiębiorstwa, ale duże firmy. Postawię w tym miejscu być może przewrotne pytanie: czy to nie oznacza, że zamiast promować mikrofirmy, powinniśmy raczej postawić na rozwój dużych przedsiębiorstw? I to nie tylko z powodu troski o interesy pracowników, ale także z myślą o przyszłości polskiej gospodarki.

Trzeba też zadać pytanie, dlaczego pracownik w dużej firmie zarabia na tym samym stanowisku znacznie więcej niż jego odpowiednik w mikroprzedsiębiorstwie. Z czego to wynika? Czy jest uczciwe? Czy małe firmy są rzeczywistym motorem rozwoju gospodarczego? I równie ważne – czy przyczyniają się do postępu cywilizacyjnego, odpowiedzialnie chroniąc prawa człowieka, obywatela, pracownika?

Chciałbym tutaj przytoczyć fragment interesującej wypowiedzi w kwestii wynagrodzeń: „Sprawiedliwa zapłata bierze pod uwagę w pierwszym rzędzie i przede wszystkim podmiot, to znaczy pracownika. Przyznaje mu rolę wspólnika i współpracownika w procesie produkcji i wynagradza go za to, czym on jest w tym procesie, a nie tylko za to, co wyprodukował. Trzeba w niej brać pod uwagę, oczywiście, członków rodziny pracownika i ich prawa po to, aby mogli we wspólnocie żyć w sposób godziwy i w ten sposób posiadali należyte warunki dla własnego rozwoju i dla wzajemnej pomocy. Zapłata robotnika musi być taka, ażeby on i jego rodzina mogli korzystać z dobrodziejstw kultury i dawać im również możliwość przyczyniania się z kolei do podnoszenia kultury kraju i narodu”.

Konkurencyjność mikrofirm opiera się na niskich płacach i niskich kosztach pracy, a nie na innowacyjności.

Wbrew pozorom słowa te nie pochodzą od XIX-wiecznych socjalistycznych utopistów. Ich autorem jest polski papież, Jan Paweł II. Jako pracownik i szef centrali związkowej w pełni utożsamiam się z tymi słowami. Wydaje się zasadne, aby to przesłanie znalazło oddźwięk na gruncie stosunków gospodarczo-społecznych w Polsce. Dlatego oczekiwałbym od naszych partnerów w Radzie Dialogu Społecznego – pracodawców i strony rządowej – szczerej, merytorycznej i konstruktywnej debaty poświęconej sytuacji pracowników zatrudnionych w mikrofirmach. Dla OPZZ jedną z opcji rozwiązania problemu jest rozwój branżowych układów zbiorowych pracy. Trzeba o tym porozmawiać, bo wiele wskazuje na to, że małe nie zawsze jest piękne.

Andrzej Radzikowski jest przewodniczącym OPZZ

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl fe65c2f2d1

Ile zostało z supermocarstwa

Joe Biden zapowiedział, że Ameryka wróci do przewodzenia społeczności międzynarodowej. Co to oznacza?

Mateusz Mazzini

Prezydent Joe Biden i jego drużyna – od lewej Antony Blinken, Kamala Harris, Nancy McEldowney i Jake Sullivan.

Szybki rzut oka na pierwsze decyzje personalne nowego lokatora Białego Domu może wywołać uczucie *déjà vu*, zwłaszcza jeśli chodzi o politykę zagraniczną. Joe Biden, sam stojąc wiernie u boku Baracka Obamy przez osiem lat, był w swoich wiceprezydenckich czasach obarczony wieloma obowiązkami dyplomatycznymi. Angażował się przede wszystkim w sprawy związane z tymi regionami, w których bezpośrednia obecność jego szefa nie była akurat wymagana – Europą Południową czy Ameryką Łacińską. Był przy tym doskonałym realizatorem strategii całego zespołu, bo trzeba przyznać, że w latach 2008-2016 zadania w amerykańskiej polityce zagranicznej były rozłożone na wiele gwiazd dyplomacji. Po miesiącu od zmiany warty w Waszyngtonie widać, że tym razem nie będzie inaczej.

W poprzedniej administracji demokratów Departamentowi Stanu przewodzili najpierw Hillary Clinton, potem John Kerry, a duetowi Obama-Biden dodatkowo doradzali laureatka Pulitzera Samantha Power, architekt zbliżenia z Kubą Benjamin Rhodes, znająca na wylot meandry oenzetowskich procedur Susan Rice, a nawet Ronan Farrow, wybitny reporter „New Yorkera", znany z ujawnienia skandali seksualnych z udziałem Harveya Weinsteina, prywatnie syn Woody'ego Allena. Ich opinie ubierał w słowa owiany już w Waszyngtonie legendą zespół do spraw komunikacji, któremu przewodził wieloletni gwiazdor stacji CNN David Axelrod. W skład zespołu wchodzili Jonathan Favreau, Jon Lovett i Dan Pfeiffer, dziś gwiazdy bijącego rekordy popularności w progresywnej części Ameryki podcastu „Pod Save America".

I choć nic dwa razy się nie zdarza, Biden sprawia wrażenie, jakby chciał tej tezie zaprzeczyć. Jego drużyna dyplomatyczna być może nie jest tak nasycona gwiazdami jak chociażby pierwszy korpus dyplomatyczny Obamy, ale widać w niej bardzo wiele znajomych nazwisk. Sekretarzem stanu został Antony Blinken – ambitny, doświadczony, choć nie zawodowy dyplomata, modelowy produkt amerykańskiego establishmentu Wschodniego Wybrzeża. Wychowany w inteligenckiej rodzinie, w której matka była krytyczką sztuki, ojciec zaś nieskąpiącym pieniędzy na sztukę filantropem, bardzo mocno wierzy w ideały uznawane dziś przez wielu za archaiczne, takie jak prymat liberalnych norm w porządku międzynarodowym, odpowiedzialność supermocarstw za ochronę praw człowieka i wzmacnianie organizacji międzynarodowych, by przewodziły demokratycznemu światu. W dodatku Blinken po rozwodzie rodziców wyjechał z matką do Paryża, gdzie spędził resztę dzieciństwa i nastoletniość, rozumie więc doskonale realia prowadzenia polityki w Europie, gdzie Ameryka tradycyjnie odgrywała ważną rolę, jednocześnie biorąc pod uwagę często sprzeczne interesy najważniejszych graczy na kontynencie.

W Departamencie Stanu otoczył się innymi weteranami z czasów Obamy. Znajdziemy tam Victorię Nuland, bliską współpracowniczkę Bidena z czasów senackich, Jake'a Sullivana czy Wendy Sherman, z polityką zagraniczną Białego Domu związaną jeszcze od czasów Billa Clintona. Radą Bezpieczeństwa Narodowego pokierują z kolei Jake Sullivan i Jon Finer, ekswspółpracownicy Hillary Clinton z jej lat na czele amerykańskiej dyplomacji. Wróci także John Kerry, jako specjalny wysłannik rządu do spraw polityki klimatycznej. Twarzą

FOT. STATE DEPARTMENT/RON PRZYSUCHA

eprasa.pl fe65c2f2d1

ich wszystkich w relacjach z prasą została Jen Psaki, nowa rzeczniczka prasowa Białego Domu, zawodowo uformowana – jakżeby inaczej – przez Davida Axelroda. Jeśli więc nie jest to wierna kopia zespołu Obamy, to przynajmniej jej młodsza wersja.

Nie należy jednak zakładać w ciemno, że polityka zagraniczna administracji Joego Bidena będzie powrotem do tego, co już było. Czterech lat Donalda Trumpa i wszystkich – złych, ale też nielicznych dobrych – skutków jego działań międzynarodowych nie da się wymazać wymianą tabliczek na drzwiach gabinetów czy kilkoma dobrze napisanymi przemówieniami. Wprawdzie Biden zapowiadał już wielokrotnie, czy to w publicznych wystąpieniach, czy w opublikowanym przez magazyn „Foreign Affairs" eseju, że „Ameryka musi wrócić do przewodzenia społeczności międzynarodowej", ale łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Od czasów Obamy świat mocno przyśpieszył, w wielu miejscach układ sił zupełnie się zmienił, a sama Ameryka jest znacznie słabiej przygotowana do roli supermocarstwa niż w jakimkolwiek momencie po II wojnie światowej. Biden i jego gwiazdorska ekipa pchają się do pierwszego szeregu, ale muszą uważać, by nie okazał się on pierwszym frontem nowego globalnego konfliktu politycznego.

Przykładem być może najlepiej ilustrującym dylematy, z jakimi przez najbliższe lata będą się zmagać urzędnicy Białego Domu, jest kwestia stosunków z Meksykiem i Ameryką Centralną. Trump potencjalnych partnerów w tym regionie antagonizował na potęgę, nie tylko poprzez rasistowskie sformułowania pod adresem Latynosów, ale przede wszystkim przez swoją antyimigracyjną politykę wobec krajów Południa. Biden musi się zmierzyć z problemem, i to szybko, bo masowa migracja będzie jedynie przybierać na sile. Już w pierwszych tygodniach jego urzędowania w Gwatemali uformowała się tzw. karawana, licząca prawie 10 tys. osób, głównie mieszkańców Hondurasu, próbując przedostać się na północ, do Meksyku, a potem do USA. W przeciwieństwie do poprzednika nowy prezydent nie zamierza zamykać im drogi wielkim murem na granicy, zresztą wstrzymał przekazywanie do Pentagonu środków na jego budowę. Wyraźnie dał jednak do zrozumienia, że priorytet w jego polityce imigracyjnej będą mieli ci, którzy na terenie USA są teraz – dla nich otwarta zostanie nowa ścieżka do zalegalizowania pobytu i otrzymania obywatelstwa. I właśnie według tego schematu najprawdopodobniej będzie przebiegać kadencja Bidena. Ameryka zechce wrócić na pozycję globalnego lidera, ale najpierw musi uporządkować sprawy wewnątrz własnych granic.

Zwłaszcza że coraz bliżej jej granic pojawiają się wyraźne dowody na rosnące wpływy Chin. Amerykę Łacińską Waszyngton zaniedbuje od dłuższego czasu. Ostatnim prezydentem, który miał na nią pomysł (nie najlepszy niestety), był George W. Bush. Biden nie zamierza regionu lekceważyć, sam zna go relatywnie dobrze – jako wiceprezydent był tam aż 16 razy. Jednak tym razem nie odwiedzi go już jako punktu odniesienia dla całego kontynentu. Głównym partnerem ekonomicznym tej części świata są teraz Chiny, a prezydent największego kraju, Brazylii, Bidenem otwarcie gardzi. Kiedy ten zapowiedział powołanie nowego funduszu do walki z pożarami Amazonii, Jair Bolsonaro odparł, że „kiedy ślina jest nieskuteczna, trzeba użyć prochu". Amerykanie będą zatem starali się budować na Południu przyczółki, każdy kraj traktując raczej jednostkowo. W Wenezueli nadal uznawać będą Juana Guaidó za prawowitego lidera, choć nie należy się spodziewać publicznych gróźb pod adresem Nicolása Madura jak w poprzednich latach.

Przede wszystkim USA muszą sobie poradzić z napływem chińskiego kapitału i wzrostem miękkiej siły Pekinu. Pierwszą okazję przespały, bo kontynent zasilą szczepionki przeciw COVID-19 głównie chińskiej i rosyjskiej, a nie amerykańskiej produkcji. Kolejnych szans może nie być wiele.

Podobnie będzie w Azji, gdzie Biden będzie starał się powtórzyć „pacyficzny piwot" Obamy. Skupi się na rywalizacji z Chinami, ale raczej poprzez wzmacnianie sojuszników w regionie niż bezpośrednią konfrontację z Pekinem. Już powołał 15-osobową grupę roboczą do opracowania nowej polityki wobec Państwa Środka. Nie będzie ona specjalnie się różnić od tej z czasów Trumpa. W pierwszej rozmowie telefonicznej z Xi Jinpingiem Biden wyraził „zaniepokojenie" łamaniem wolności obywatelskich w Hongkongu i nieczystymi zagraniami Chin w handlu międzynarodowym. Wiadomo też, że nie osieroci Korei Południowej, w której stacjonuje 35 tys. amerykańskich żołnierzy i która jest kluczem do utrzymania względnej kontroli nad nuklearnymi ambicjami sąsiada z północy.

Z Europą łączyć go będzie wspólnota interesów globalnych, dzielić zaś wiele trudnych szczegółów. Bruksela i Waszyngton zgadzają się co do konieczności walki z katastrofą klimatyczną, różnią się jednak w interesach gospodarczych. Unia nie toleruje fiskalnej frywolności amerykańskich gigantów technologicznych, których chce ukarać nowym podatkiem. Lobbyści za oceanem będą z pewnością naciskać, aby Biden do tego nie dopuścił. Różnice trzeba będzie jakoś przezwyciężyć, bo właśnie oś Europa-USA ma być przeciwwagą dla globalnej ekspansji Chin. Amerykanie nie obniżą także poprzeczki zaangażowania innych członków w rozwój NATO – 2% wydatków na obronność i ani promila mniej. Do tego dochodzi uważna obserwacja tąpnięć w putinowskiej Rosji i powstrzymanie światowej renuklearyzacji. Może więc ludzie są ci sami, co za czasów Obamy, ale warunki już zupełnie inne. Karnawału w dyplomacji nie będzie.

Skutków czterech lat rządów Donalda Trumpa nie da się wymazać kilkoma dobrymi przemówieniami.

Przede wszystkim USA muszą sobie poradzić z napływem chińskiego kapitału i wzrostem miękkiej siły Pekinu.

m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl fe65c2f2d1

Nowa nadzieja czy mniejsze zło?

Rządzącemu od niemal 12 lat Izraelem Beniaminowi Netanjahu wyrasta poważny konkurent

Jakub Katulski

Izraelczycy po raz czwarty w ciągu dwóch lat będą musieli pójść do urn, żeby wybrać swoich przedstawicieli parlamentarnych. Poprzednie wybory odbyły się w marcu 2020 r. i wyłoniły zwycięzcę w postaci partii Likud Beniamina Netanjahu. Na tym jednak się nie skończyło, bo zdobycie 36 mandatów w 120-osobowym Knesecie nie pozwoliło na samodzielne stanowienie władzy. Zwłaszcza że opozycyjni Niebiesko-Biali prowadzeni przez Beniego Ganca nie tylko zdobyli 33 mandaty, ale również uzyskali poparcie dotychczasowego koalicjanta Netanjahu – Awigdora Liebermana i jego partii Nasz Dom Izrael.

Poparcia Niebiesko-Białym udzielili także posłowie Partii Pracy i Zjednoczonej Listy Arabskiej. Dzięki temu i kilku innym głosom to Gancowi prezydent Reuwen Riwlin powierzył misję stworzenia koalicji rządowej. Nie zakończyło to bynajmniej impasu politycznego, w którym od długiego czasu pogrążony był Izrael. Mimo przedwyborczej obietnicy Ganca, że Netanjahu, na którym ciążą zarzuty korupcyjne i oskarżenia o nadużycie władzy, nie wejdzie do nowego rządu, po pojawieniu się w kraju pierwszych przypadków koronawirusa obaj politycy się porozumieli i postanowili stworzyć rząd jedności narodowej. W maju powstała koalicja, która zakładała, że Netanjahu będzie premierem do listopada 2021 r., po czym odda fotel szefa rządu Gancowi. Zdaniem wielu obserwatorów stało się oczywiste, że Beni Ganc nigdy premierem nie zostanie.

W tej sytuacji rozpadło się ugrupowanie Niebiesko-Białych, powstałe z myślą o odsunięciu Netanjahu od władzy i postawieniu go przed sądem. Dla głównych koalicjantów Ganca nowe porozumienie okazało się nieakceptowalne i od Niebiesko-Białych odłączyli się posłowie centroprawicowej partii Jest Przyszłość prowadzonej przez Jaira Lapida.

Koalicja okazała się nietrwała i na początku grudnia ub.r. parlament podjął decyzję o samorozwiązaniu. Wpływ na to miał z pewnością stały konflikt między Gancem i Netanjahu, a także czynione przez Bibiego próby renegocjacji umowy. Zamiast oddać fotel premiera w listopadzie 2021 r., chciał on przesunąć ten termin o kolejne sześć miesięcy. Ogłoszono więc, że 23 marca Izraelczycy pójdą do urn, choć przeciw temu rozwiązaniu opowiadali się posłowie Likudu i przedstawiciele religijnych partii żydowskich, takich jak Szas czy Zjednoczony Judaizm Tory.

Należy się spodziewać, że wybory zakończą się zwycięstwem Netanjahu. Wszelkie sondaże pokazują, że Likud zdobędzie 30 lub więcej mandatów. Ganc i Niebiesko-Biali najprawdopodobniej nie przekroczą progu wyborczego w wysokości 3,25% i znajdą się na marginesie. Nie oznacza to jednak, że Bibi może spać spokojnie, bo na horyzoncie pojawił się konkurent, mogący wprowadzić niemałe zamieszanie.

Z dziennikarstwa do prokuratury

Jeszcze w grudniu Likud opuścił Gideon Saar, prawicowy polityk słynący z poparcia dla żydowskiego osadnictwa na Zachodnim Brzegu, niechęci do powstania niepodległego państwa Palestyńczyków i sprzeciwiający się wpuszczaniu do Izraela azylantów z Afryki. Nie odszedł z macierzystej partii na emeryturę. Postanowił sformować nowe ugrupowanie i rzucić rękawicę Bibiemu, który fotel premiera zajmuje już od niemal 12 lat (choć i w latach 90., między rokiem 1996 a 1999, był premierem). Saar jest dzisiaj przez wielu odbierany jako nadzieja na zmianę. Nawet wyborcom, którzy dotychczas głosowali na Niebiesko-Białych czy inne ugrupowania kojarzone z centrum lub centrolewicą, jawi się jako kusząca opcja. Wygląda na to, że ważniejsze stały się nastroje przeciwne urzędującemu Bibiemu niż wybór kandydata wedle prezentowanych przez niego poglądów.

Gideon Saar nie jest dobrze znany poza granicami kraju. Ale nie jest też człowiekiem znikąd. Jego kariera polityczna zaczęła się, już kiedy był uczniem w liceum w Tel Awiwie. Dołączył wtedy do młodzieżówki prawicowej partii Odrodzenie, która sprzeciwiała się m.in. wycofaniu Izraela z półwyspu Synaj po podpisaniu porozumienia pokojowego z Egiptem.

Gideon Saar słynie z twardego stanowiska wobec Palestyńczyków, odmawiając im prawa do własnej państwowości.

Jak większość młodych Izraelczyków Saar odbył służbę wojskową w cieszącej się poważaniem elitarnej brygadzie Golani. Po jej zakończeniu rozpoczął naukę na Uniwersytecie w Tel Awiwie, by z wyróżnieniem ukończyć politologię. Zainteresowanie polityką sprawiło, że został dziennikarzem i mimo prawicowych poglądów otrzymał pracę w skłaniającej się wówczas ku lewicy gazecie „Ha-Olam ha-Ze" (Ten Świat), prowadzonej przez Uriego Awneriego, niemal legendarnego dziennikarza i korespondenta, który w 1982 r. – prawdopodobnie jako pierwszy Izraelczyk – spotkał się w Bejrucie z Jasirem Arafatem. Karierę reporterską Saar kontynuował później w dzienniku „Chadaszot" (Wiadomości), założonym przez grupę wydawniczą Ha-Arec.

eprasa.pl fe65c2f2d1

Gideon Saar, odchodząc z Likudu, rzucił rękawicę Benjaminowi Netanjahu.

W międzyczasie ukończył też studia prawnicze na Uniwersytecie w Tel Awiwie i rozpoczął pracę w prokuraturze okręgowej, by w 1995 r. zostać asystentem prokuratora generalnego Michaela ben Jaira. Niedługo później, podczas swojej pierwszej kadencji, premier Netanjahu mianował Saara sekretarzem rządu. W tej samej roli obsadził go w 2001 r. Ariel Szaron, który popadł w niełaskę u izraelskiej prawicy za decyzję o całkowitym wycofaniu wojska i cywilów ze Strefy Gazy. Jednym z wiodących głosów sprzeciwu wobec decyzji premiera był właśnie głos Gideona Saara. Szaron wtedy się nie ugiął, ale sytuacja zmusiła go do opuszczenia Likudu i założenia wraz z Cipi Liwni nowej partii – Kadima (Naprzód).

Jastrząb dla uchodźców i Palestyńczyków

W kolejnych kadencjach Netanjahu Saar otrzymał teki ministra edukacji i ministra spraw wewnętrznych. To wtedy zasłynął najbardziej kontrowersyjnymi decyzjami, np. walką z przybywającymi do Izraela uchodźcami z Afryki, która zaowocowała konfliktem z Sądem Najwyższym. Za czasów Saara uruchomiono ośrodek dla uchodźców znany jako Cholot lub więzienie Saharonim. Minister rozporządzeniem zdecydował o wysłaniu kilku tysięcy osób do tego ośrodka, co doprowadziło do strajku głodowego kilkuset Erytrejczyków szukających schronienia w Izraelu. Dopiero Sąd Najwyższy uznał, że osadzanie uchodźców na długi czas bez procesu jest nielegalne i godzi w podstawowe prawa człowieka.

Saar bynajmniej nie zmienił zdania; nawet odchodząc ze stanowiska ministra i składając mandat poselski w końcu 2014 r., mówił, że nie akceptuje wyroku sądu, a kraj powinien mieć możliwość umieszczania w odosobnieniu osób nielegalnie przekraczających granicę. Mimo jego starań ośrodek Cholot został zamknięty w 2018 r. Do tego czasu w ciągu pięciu lat osadzono w nim 13 tys. ludzi.

Gideon Saar słynie też z twardego stanowiska wobec Palestyńczyków, odmawiając im prawa do własnej państwowości. Dzięki temu jest popularny na izraelskiej prawicy i w ugrupowaniach lobbujących na rzecz rozwoju osadnictwa na Zachodnim Brzegu Jordanu, terytorium, które w świetle prawa międzynarodowego jest okupowane i ma w przyszłości stać się państwem palestyńskim.

To podejście stało się szczególnie widoczne, kiedy w grudniu 2019 r. Saar rywalizował z Netanjahu o fotel szefa Likudu i krytykował premiera za wstrzymywanie rozbudowy istniejących żydowskich osiedli czy niewystarczającą liczbę zezwoleń na nowe ośrodki. Jego zdaniem tzw. rozwiązanie dwupaństwowe, do którego Izrael i Palestyńczycy zobowiązali się w ramach porozumień z Oslo, nie jest jedyną drogą do pokoju. Alternatywą miałoby być powstanie autonomicznego palestyńskiego regionu w Jordanii, bo, jak powiedział podczas konferencji prasowej, „między rzeką Jordan a Morzem Śródziemnym nie może być innego państwa niż Izrael".

Dlatego nikogo nie zaskoczyła jego krytyka tzw. umowy stulecia, ogłoszonego na początku ubiegłego roku przez prezydenta Donalda Trumpa i Jareda Kushnera nowego planu pokojowego uwzględniającego przebieg granic między Izraelem a Palestyną. Premier Netanjahu potwierdził, że Izrael akceptuje projekt, ale dla Palestyńczyków

FOT. AMIR COHEN/REUTERS/FORUM

eprasa.pl fe65c2f2d1

zaproponowana koncepcja państwa bez kontroli nad własnymi granicami zewnętrznymi, bez ciągłości terytorialnej i bez armii, która mogłaby zagwarantować integralność tego, co pozostanie z Zachodniego Brzegu, była nie do przyjęcia. Saar wtedy stwierdził, że jedyne, co było do zaakceptowania w tym planie, to aneksja Judei i Samarii, którą Netanjahu od dekady przyciąga środowiska prawicowe.

Gra na emocjach

Tym samym Saar może zagrozić Netanjahu, gromadząc wokół siebie te ugrupowania, które uważają politykę Bibiego za impas. Dokładnie zdaje sobie sprawę, jak wielu Izraelczyków jest zmęczonych tym marazmem, i odzwierciedla to w nazwie własnej partii – Tikwa Chadasza, czyli Nowa Nadzieja. To nawiązanie do pierwszej części „Gwiezdnych Wojen" George'a Lucasa, ponoć niezamierzone, wyraźnie pokazuje, że polityk chce grać na emocjach ludzi mających dość Netanjahu.

To Saar zaproponował karanie pracodawców zwalniających ciężarne kobiety czy zdelegalizowanie testów kosmetyków na zwierzętach.

Już zresztą wyraźnie zaznaczył, że jego rząd powstanie bez udziału Bibiego. Dzięki swoim poglądom może zyskać przychylność zarówno partii, które dotychczas były koalicjantami Likudu, jak i ugrupowań opozycyjnych. Choć sondaże sugerują, że zdobędzie ok. 15 mandatów, kluczowa okaże się powyborcza matematyka koalicyjna i jego osobista dyplomacja. A tutaj Saar może odnieść sukces także dzięki temu, że z uwagi na doświadczenie dziennikarskie cieszy się sympatią mediów. W przeciwieństwie do Netanjahu nie broni dostępu do siebie i chętnie rozmawia nawet z tymi reporterami, z którymi się nie zgadza. Tym, którzy są przyzwyczajeni do słuchania izraelskiego premiera, nazywającego „roznosicielami zarazy" uczestników protestów przeciwko jego hegemonii i nadużyciom, Saar wydaje się pozytywną zmianą. Zwłaszcza kiedy przypomną sobie, że właśnie on zaproponował, by w Izraelu karano pracodawców zwalniających ciężarne kobiety czy zdelegalizowano testy kosmetyków na zwierzętach.

Wygląda na to, że jasno komunikujący swoją wizję Izraela były polityk Likudu, który do tego świetnie wypada przed kamerami, potrafi być na tyle przekonujący, aby nawet lewica i umiarkowani Izraelczycy oczekujący zakończenia konfliktu z Palestyńczykami wybrali to, co dzisiaj jawi się jako mniejsze zło. Jedynie czas pokaże, czy Saarowi uda się trwale porwać wyborców i polityków.

Jakub Katulski

eprasa.pl fe65c2f2d1

Do przeprosin daleko

Francuzi nie chcą okazać skruchy za okres kolonializmu i wojny w Algierii

Tomasz Skowronek

Prezydent Francji 20 stycznia tego roku przyjął rekomendacje w sprawie pojednania z Algierczykami i Francuzami pochodzenia algierskiego ujęte w raporcie sporządzonym przez historyka Benjamina Storę. Dokument proponuje m.in. wzmocnienie szkolnego nauczania o wojnie, wsparcie pracy historyków zajmujących się tym okresem i udostępnianie archiwów wojennych. Francuzi nie chcą jednak okazać skruchy ani przeprosić Algierczyków za okres kolonializmu i wojny, która pochłonęła 180 tys. ofiar z obu stron.

Żaden inny przywódca Francji nie wykonał tylu gestów wobec Algierii co Emmanuel Macron.

Zniknięcie Maurice'a Audina

Każdy, kto kiedyś odwiedzi Algier, z pewnością trafi na plac Maurice'a Audina. Na pierwszy rzut oka to miejsce dość nijakie, otoczone księgarniami, postojami taksówek i przystankami autobusowymi, popularne wśród studentów pobliskiego uniwersytetu, którzy przychodzą tutaj, aby posiedzieć na ławkach, rozmawiać i palić papierosy. Plac znajduje się u zbiegu boulevard Mohamed V i rue Didouche Mourad, dwóch najbardziej ruchliwych ulic w mieście, przez co zawsze kłębi się tu tłum.

Wiele bulwarów i ulic stolicy nazwanych zostało imionami słynnych rewolucjonistów i bohaterów, którzy walczyli o niepodległość Algierii przeciwko francuskim kolonizatorom w latach 1954-1962. Jednym z nich był Maurice Audin, 25-letni Francuz, uzdolniony matematyk z algierskiego uniwersytetu. Należał do Algierskiej Partii Komunistycznej i podobnie jak inni jej członkowie był zwolennikiem algierskich nacjonalistów (Front de Libération Nationale – FLN). Audin „zniknął" w 1957 r. W rzeczywistości został uprowadzony, torturowany i zabity przez własnych rodaków podczas bitwy o Algier, kiedy dowodzone przez gen. Jacques'a Massau francuskie wojsko otoczyło miasto. W 1963 r. jego imieniem nazwano plac w centrum Algieru.

Do tej pory francuska wersja wydarzeń była taka, że młody człowiek uniknął aresztowania i uciekł, prawdopodobnie do Tunezji, a później po prostu przepadł. Dopiero po 60 latach, 13 września 2018 r., prezydent Emmanuel Macron przyznał, że za śmierć Audina bezpośrednio odpowiedzialne są francuskie władze wojskowe. Po raz pierwszy Pałac Elizejski przyznał wówczas, że państwo francuskie sankcjonowało stosowanie tortur podczas wojny w Algierii.

Od tego czasu gest Macrona porównywano do zachowania Jacques'a Chiraca, który w 1995 r. oświadczył, że Francja odegrała haniebną rolę w deportacji 76 tys. Żydów do nazistowskich obozów śmierci podczas II wojny światowej. Było to wyznanie, które zasadniczo zmieniło sposób, w jaki Francuzi postrzegali swoją historię – i jak oceniała ich reszta świata.

Równie haniebną rolę Francuzi odegrali w Algierii. Stosowali różne techniki tortur, zależnie od okoliczności i domniemanego zagrożenia ze strony podejrzanego. Udokumentowane źródła podają, że najpopularniejszą metodą było wykorzystanie *gégène* – urządzenia zaprojektowanego przy użyciu części ze starego telefonu z korbką. Generator elektryczny podłączony był kolejno do dwóch baterii z suchymi ogniwami, dzięki czemu przyrząd mógł służyć do aplikowania elektrowstrząsów. *Gégène* przyczepiano do ciała (często do genitaliów i ucha) i powodowano potężny wstrząs. Inne techniki obejmowały tortury wodne – np. wkładanie węża w usta, w odbytnicę – ale też wbijanie muzułmańskim kobietom potłuczonych butelek w pochwę. 132 lata francuskich rządów kolonialnych, zakończone brutalną ośmioletnią wojną, w czasie której zbrodnie na cywilach popełniały obie strony, pozostawiły po sobie trwałe dziedzictwo napiętych stosunków między dwoma narodami.

Od początku kadencji Emmanuel Macron za jeden z celów urzędowania obrał odbudowę stosunków z tym największym państwem afrykańskim. Część światowych

eprasa.pl fe65c2f2d1

mediów sugeruje nawet, że leczenie ran po kolonialnej przeszłości – zaraz po zwalczaniu pandemii, zmianie stosunku do islamu i walce z terroryzmem – stanie się największym wyzwaniem dla aktualnie urzędującego prezydenta.

Już w lutym 2017 r., podczas wizyty w Algierze, jeszcze jako kandydat na prezydenta, Macron mówił o francuskiej kolonizacji w Algierii jako o „zbrodni przeciwko ludzkości". „Tej przeszłości musimy spojrzeć w twarz", przyznał. Jego deklaracja wywołała wściekłość prawicy i była szeroko komentowana we francuskich mediach.

„Dla Macrona »pojednanie wspomnień« jest niezbędne do odbudowania przyszłości stosunków francusko-algierskich. To był motyw przewodni jego podróży do Algierii, podczas której rozmawiał z kilkoma algierskimi urzędnikami, w tym z premierem Abdelmalkiem Sellalem. Nie będąc częścią pokolenia, które znało wojnę w Algierii, chce zmienić relacje pomiędzy dwoma narodami, stąd radykalny charakter jego uwag", komentował francuski dziennik „Le Monde".

Kilka miesięcy po tych słowach, w wywiadzie dla „Le Point", obecny przywódca Francji zaprezentował już bardziej wyważone stanowisko: „Tak, w Algierii były tortury, ale także pojawienie się państwa, bogactwa, klasy średniej itd. – to rzeczywistość kolonizacji. Były elementy cywilizacji i elementy barbarzyństwa".

Pogodzenie wspomnień

Mimo to prezydentura Macrona naznaczona jest pewnymi gestami wobec dawnej kolonii. Przykładowo nadzorował on odesłanie do ojczyzny czaszek 24 algierskich bojowników ruchu oporu, których ścięto podczas francuskiego podboju w XIX w.; ich szczątki przechowywano jako trofea wojenne. „Bez wątpienia gest Emmanuela Macrona, poprzez silną wagę symboliczną, wzmocni więzi przyjaźni między dwoma narodami i posłuży jako katalizator współpracy algiersko-francuskiej w interesie dwóch krajów", pisał wówczas algierski dziennik „Liberté".

Jak zauważa historyk Pascal Blanchard, żaden inny przywódca Francji nie wykonał tylu gestów wobec Algierii: „Przed Macronem mieliśmy siedmiu prezydentów, którzy stosowali w tej sprawie niezdecydowaną politykę, tęsknili za tą historią lub newet sami byli w nią zaangażowani, np. François Mitterrand. W czasie wojny algierskiej pełnił funkcję ministra spraw wewnętrznych, ministra sprawiedliwości, a wcześniej ministra ds. kolonii".

Przeprosiny Macrona za sprawę Audina, zwrócenie czaszek czy przyznanie, że kolonializm był błędem, oznaczają, że nadszedł czas, aby zacząć mówić prawdę o części francuskiej historii, o której wielu Francuzów chciałoby zapomnieć.

W lipcu ub.r. Macron poprosił słynnego eksperta Benjamina Storę o „uczciwy i dokładny spis" tego, jak Francja radziła sobie z kolonialną historią i wojną algierską. Wybór nie był przypadkowy. Stora pochodzi z algiersko-żydowskiej rodziny, która przeniosła się do Francji po odzyskaniu przez Algierię niepodległości w 1962 r. Uważany jest za osobę wyważoną – kogoś, kto bierze pod uwagę obie strony konfliktu. Sam historyk wielokrotnie powtarzał w wywiadach, że nie da się zrozumieć Francji bez poznania historii Algierii.

Raport Story na temat kolonizacji i wojny algierskiej został przekazany Macronowi 20 stycznia; ma on na celu pogodzenie wspomnień po obu stronach Morza Śródziemnego. Stora sugeruje większą troskę o upamiętnianie ofiar z obu krajów. Obozy internowania, które zostały założone na terytorium Francji, miałyby się stać miejscami pamięci. Stora opowiada się również za ściślejszą współpracą, w tym ułatwianiem podróżowania między oboma krajami *harkis*, czyli Arabom/muzułmanom, którzy w czasie wojny o Algierię walczyli po stronie francuskiej. W tej formacji służyło ok. 150 tys. Algierczyków. Ich położenie po wojnie było fatalne – w swoim kraju uchodzili za zdrajców, ich rodziny były prześladowane, a Francuzi też o nich nie zadbali – ci, którym udało się wyjechać, trafili do obozów, w których przez długi czas, nawet 20 lat, musieli żyć w najbardziej prymitywnych warunkach. Minęło sporo czasu, zanim dostali mieszkania socjalne, szansę na pracę i mogli zacząć żyć w miarę normalnie.

Dopiero po 60 latach Emmanuel Macron przyznał, że państwo francuskie sankcjonowało stosowanie tortur podczas wojny w Algierii.

Dokument proponuje także wzmocnienie szkolnego nauczania o wojnie, wsparcie pracy historyków zajmujących się tym okresem i udostępnianie archiwów wojennych. Sztandarową propozycją jest utworzenie komisji Pamięć i Prawda, która miałaby się zajmować pielęgnowaniem faktów historycznych związanych zarówno z Francją, jak i Algierią. Chodzi przede wszystkim o podkreślenie tego, co oba państwa dokonały we współpracy. Miałoby to pomóc ocieplić relacje francusko-algierskie. Poza tym Stora postuluje zbudować pomnik algierskiemu bojownikowi o wolność Abd al-Kadirowi, a jego miecz odesłać do Algierii.

Sprawa francusko-francuska

Tym, czego jednak brakuje w raporcie, są przeprosiny. Paryż chce zwrócić uwagę na trudne fakty

W nowym numerze tygodnika „NIE"
telefon Adama Bielana odbiera pani prostytutka.

eprasa.pl fe65c2f2d1

Ten algierski więzień zmarł po przesłuchaniu przez francuskiego oficera, płk. Marcela Bigearda, i jego ludzi. Algieria, 1956 r.

historyczne związane z wojną algierską i zamierza je uznać, a mimo to nie planuje przeprosić Algierczyków. „Historia kolonialna Francji w Algierii jest traumą, która nadal kształtuje współczesną Francję – zauważa „New York Times" i pisze dalej: – Miliony francuskich mieszkańców, którzy w różnym stopniu mają powiązania z Algierią, mają rozbieżne poglądy na temat historii kolonialnej i wojny".

„Musimy potępić system kolonialny, który był nie do obrony i – jak proponuje Emmanuel Macron – »odsłonić wszystkie karty« tej tragicznej i złożonej historii. Ale Francja nie była nazistowskimi Niemcami. Nie musi przepraszać. Musi zmierzyć się ze swoją historią, poszukać i przyjąć prawdę o faktach oraz rozważyć wszystkie cierpienia: cierpienia algierskich nacjonalistów, zdradzonych *harkis* (arabskich żołnierzy walczących u boku Francuzów w Algierii podczas wojny przeciw FLN), nękanych przez Francję *pied-noir* (francuskich osadników mieszkających w Algierii), tysięcy zaginionych, nie mówiąc już o poborowych. Ale Algieria powinna zrobić to samo – mówił w wywiadzie dla „Paris Match" historyk Georges-Marc Benamou. – Niestety, nie mam nadziei, że tak się stanie. Dla władz algierskich pamięć o wojnie jest filarem reżimu, sposobem na legitymizację władzy. Francja musi zapoczątkować ruch, wywrzeć presję, aby została powiedziana prawda, i pomóc wzmocnić już istniejące więzi między naszymi narodami, pisarzami, historykami".

Przywódcy byłych potęg kolonialnych często unikają tego rodzaju przeprosin, obawiając się krytyki ze strony wyborców, którzy nie widzą powodu, dla którego mieliby odpowiadać za czyny przodków. Rządy obawiają się również, że oficjalne wyrazy skruchy utorują drogę do bardziej konkretnych i kosztownych żądań ze strony byłych kolonii.

Przywódcy byłych potęg kolonialnych unikają przeprosin, obawiając się, że utorują one drogę do kosztownych żądań ze strony byłych kolonii.

Historyk Mohamed el-Korso nie podziela tej opinii i na łamach „Liberté" oświadcza: „Myślę, że aby osiągnąć prawdziwy, zdrowy i spokojny dialog, który byłby w stanie posunąć coś naprzód, Francja musiałaby jasno i szczerze przyznać, że doszło do zbrodni przeciwko ludzkości. Powinna zrobić ten sam krok, który Niemcy zrobiły wobec Francji, przyznając się do zbrodni w czasie II wojny światowej. Myślę, że szkoda, że Francja, która przepraszała Żydów, nie przeprasza Algierczyków".

Historia kolonizacji i wojny nie jest opowiadana w Algierze w ten sam sposób co w Paryżu. Jednak nawet we Francji nie ma jednolitego opisu znaczenia tego okresu. „We Francji niektórzy są entuzjastycznie nastawieni do 20 zaleceń zawartych w raporcie Benjamina Story, inni są zirytowani nie tylko odmową przeprosin i skruchy, ale przede wszystkim próbą upolitycznienia historii, forsowania własnej jej wersji. Przeprosiny i skrucha to sprawa francusko-francuska", mówi francuska dziennikarka zajmująca się islamem, Nadia Henni-Moulaï, zwracając uwagę na to, że we Francji ciągle mieszka sporo Algierczyków oraz potomków *harkis* i *pied-noir*.

We francuskim sporze o to, jak upamiętnić kwestię algierską, nie chodzi tylko o samą historię, lecz także o teraźniejszość. Skargi związane z historią kolonializmu oraz napięcia z Francuzami pochodzenia algierskiego i północnoafrykańskiego już bowiem zaważyły na spójności narodowej Francji. Były również wykorzystywane przez terrorystów jako narzędzie radykalizacji. Należy też pamiętać, że ok. 7 mln Francuzów ciągle ma związki z Algierią.

Mimo że w prasie francuskiej i algierskiej pojawia się wiele wątpliwości co do ewentualnego pojednania, prorządowy algierski dziennik „L'Expression" zauważa, że i tak widać postęp: „Wydaje się, że relacje między Algierią i Francją wchodzą w nową fazę". Z ostrożnym optymizmem przewiduje, że „pogodzenie wspomnień nada nowy impuls stosunkom algiersko-francuskim".

Na razie Emmanuel Macron planuje dokonanie następnych symbolicznych kroków. Pałac Elizejski już potwierdził, że prezydent weźmie udział w trzech ważnych obchodach: narodowego dnia *harkis* (25 września), rocznicy stłumienia demonstracji Algierczyków z 17 października 1961 r. i przypadającej 19 marca 2022 r. 60. rocznicy porozumienia z Evian, które zakończyło wojnę między Francją a Algierią.

Tomasz Skowronek

FOT. EAST NEWS, AFP/EAST NEWS

eprasa.pl fe65c2f2d1

HIPOKRYZJA obrońców demokracji

Arbitrom elegancji przeszkadzają przemoc i agresja. Niby od kiedy?

Ignacy Dudkiewicz

Jeśli napis na murach budzi więcej sprzeciwu niż krycie przestępców, a wykrzyczenie wulgaryzmu jest bardziej krytykowane niż wyśmiewanie cech od człowieka niezależnych, to znaczy, że nasze społeczeństwo ma wykrzywione rozumienie przemocy, szczególnie zaś jest ślepe na przemoc systemową.

Nasze społeczeństwo ma wykrzywione rozumienie przemocy, szczególnie ślepe jest na przemoc systemową.

Pamiętam protesty w obronie niezależności polskiego systemu sądownictwa. Chodziłem na nie. Na te przeciw przejmowaniu Trybunału Konstytucyjnego także. Uważałem, że tak trzeba, miałem na to czas oraz możliwość ku temu, choć wcale dobrze się na nich nie czułem. Dlaczego? Między innymi dlatego, że – wbrew pozornej grzeczności i mieszczańskiemu uładzeniu – były to protesty skrywające agresję i uprzedzenia.

Przezroczysta dyskryminacja

Dlatego dziś, gdy słyszę utyskiwania co poniektórych uczestników tamtych protestów na formę manifestacji po decyzji Trybunału Konstytucyjnego w sprawie dopuszczalności aborcji, nie umiem ich zrozumieć. Wulgaryzmy przeszkadzają? Brzydkie słowo ucho kole? Nie podoba się, że uczestniczki się nie cenzurują?

Gorsze rzeczy uchodziły wtedy uwadze tych arbitrów elegancji. Niezauważone latały słowa, które uderzały nie tylko w przeciwników politycznych, ale też – rykoszetem – w niewinnych ludzi. Niekiedy w tych, którzy stali tuż obok dzisiejszych strażników pięknej polszczyzny, gdy ci śmiali się z rzucanych ze sceny żarcików. W ludzi, którzy nie rozumieli, dlaczego tak chętnie skandowane są właśnie takie, a nie inne hasła.

Konkrety? Wielu z Was, oburzonych strasznych mieszczan, nie przeszkadzało, gdy w kolejnych przemówieniach ten obrońca demokracji czy ów bohater Solidarności wyśmiewał niski wzrost Jarosława Kaczyńskiego (wiecie, że Lech Wałęsa czy Adam Małysz mają całe dwa centymetry więcej od prezesa PiS?). Jakby to była jakakolwiek ujma, jakby to świadczyło o czymkolwiek. Jakby to nie miało budzić konsternacji w ludziach niskiego wzrostu stojących na zimnie razem z Wami.

Wielu z Was nie miało nic przeciwko, gdy ze sceny wyśmiewano jego singielstwo, bawiono się w domorosłych psychologów, kpiono z jego domniemanej abstynencji seksualnej – bez zważania na to, jak przy tych żartach czują się osoby niebędące w związkach. A singlem można być z tysiąca i jednego powodu: z wyboru (i jest to w porządku), z powodu tragedii (i nie wolno z tego kpić), bo tak się życie ułożyło wbrew woli tej osoby (co często wiąże się z samotnością), z braku czasu (tak, tak), z powodu złych doświadczeń z poprzedniego związku (szydzenie z tego nie pomaga poradzić sobie z nimi). Z podobnie wielu powodów można nie chcieć, nie móc lub nie mieć okazji uprawiać seksu.

Dziś, gdy na każde „jebać PiS" przypada kilka oburzonych tweetów, nie umiem nie pamiętać braku tak wielkiego oburzenia na wypowiedzi sprowadzające krytykę polityki Kaczyńskiego do imputowania mu choroby psychicznej. Słowa takie jak świr, wariat czy obłąkany są znacznie poważniejszym przekroczeniem granic niż ten czy inny wulgaryzm. Hasło „wypierdalać" jest prostym, choć, owszem, mocnym komunikatem wyrażającym dezaprobatę dla posunięć władzy i wzywającym do jej zmiany. Krytykowanie kogoś przy użyciu sformułowań odnoszących się do zdrowia psychicznego jest prawdziwie szkodliwym chamstwem – krzywdzącym osoby chore psychicznie, utrwalającym negatywne skojarzenia, posługującym się sformułowaniami, które należy wyrzucić na językowy śmietnik historii znacznie szybciej niż to czy inne przekleństwo, celnie lub nie użyte.

Wielu osobom przeszkadzają wulgarne słowa, a nie przeszkadza granie na uprzedzeniach religijnych i etnicznych.

Także dziś wielu osobom przeszkadzają słowa na j, w czy k, natomiast nie przeszkadza granie, nawet nieświadome, na uprzedzeniach religijnych i etnicznych. Tym wszak jest krytykowanie decyzji władz oraz wspierania ich przez hierarchów kościelnych poprzez budowanie negatywnych konotacji

eprasa.pl fe65c2f2d1

z mniejszościową i cierpiącą dyskryminację grupą wyznaniową w Polsce. Tym jest mówienie o „PiSlamie" czy „katolickim szarijacie" w kraju po antymuzułmańskiej w retoryce nagonce na uchodźców, w którym grupą etniczną budzącą największą niechęć społeczną są Arabowie (często po prostu utożsamiani z muzułmanami).

Co zatem jest większym problemem? Tak wrośnięte w świadomość, że dla części społeczeństwa – w tym dla części liberalnych elit opiniotwórczych i politycznych – przezroczyste uprzedzenia wobec osób żyjących inaczej niż w stałych heteroseksualnych związkach, chorujących psychicznie, niskich, muzułmanów, nieuprawiających seksu? Czy to, że ktoś postanowił użyć hasła „wypierdalać" (słowa, które nie przeszkadzało, gdy używał go Himilsbach czy Tuwim)? Dajcież spokój, serio.

Zniszczony mur lub życie dziecka

Nie tylko niedawno nawróceni na grzeczność i kindersztubę obrońcy demokracji wykazują się w tej sprawie hipokryzją i wybiórczym wzrokiem, pozwalającym dostrzec brzydkie słowo, ale wykluczający język w zdaniu bez przekleństwa – już nie. Trudno przejść obojętnie także wobec tego, co wyczyniają z tematem przemocy prawica i Kościół. Ci, którzy oburzają się na napisy na murach jako akt niemalże ostatecznej agresji, nie są wcale bardziej przekonujący. To często ci sami ludzie, którzy bronili uczestników Marszu Niepodległości, umniejszali znaczenie nawet takich sytuacji (łaskawie pomińmy skandowane hasła) jak kopanie kobiet na moście Poniatowskiego, podpalenie mieszkania czy demolowanie miasta. Każdy ślad spreju na ścianie potrafią dziś nagłośnić ci, którzy usprawiedliwiali atak na Marsz Równości w Białymstoku i do dziś wyśmiewają informacje o bombie (potwierdzone wyrokami sądów!) na analogicznym wydarzeniu w Lublinie. Którzy nie widzieli niczego złego w mówieniu o „zarazie", że „to nie ludzie", o „daniu sobie spokoju z prawami człowieka". Akty fizycznej agresji wobec konkretnych osób, np. księży – a i takie niekiedy się zdarzały w pierwszych dniach protestów – należy jasno skrytykować. Da się również zrozumieć, dlaczego tak wiele osób boli malowanie po murach kościołów czy innych budynków. Ale krótka refleksja wystarczy, by uznać, że udaremnione przez służby akty terroryzmu (czym innym jest wnoszenie bomby na manifestację?) są poważniejszą przemocą niż pomazanie ściany symbolizującej w oczach wielu dominację kulturową i społeczną określonego światopoglądu i instytucji. Jeśli tego nie rozumiecie, dajcież spokój, serio.

Aha, warto dodać, że także podczas mającej wiele oblicz nagonki na dyskryminowaną mniejszość niektórzy oburzeni dziś liberałowie uważali, że nie należy stawać w jej obronie, bo to „temat zastępczy", którego podnoszenie „służy władzy", a nawet tańce pod pałacem uznano za groźną prowokację.

Żyjemy więc w kraju, w którym wielodniowe burze medialne

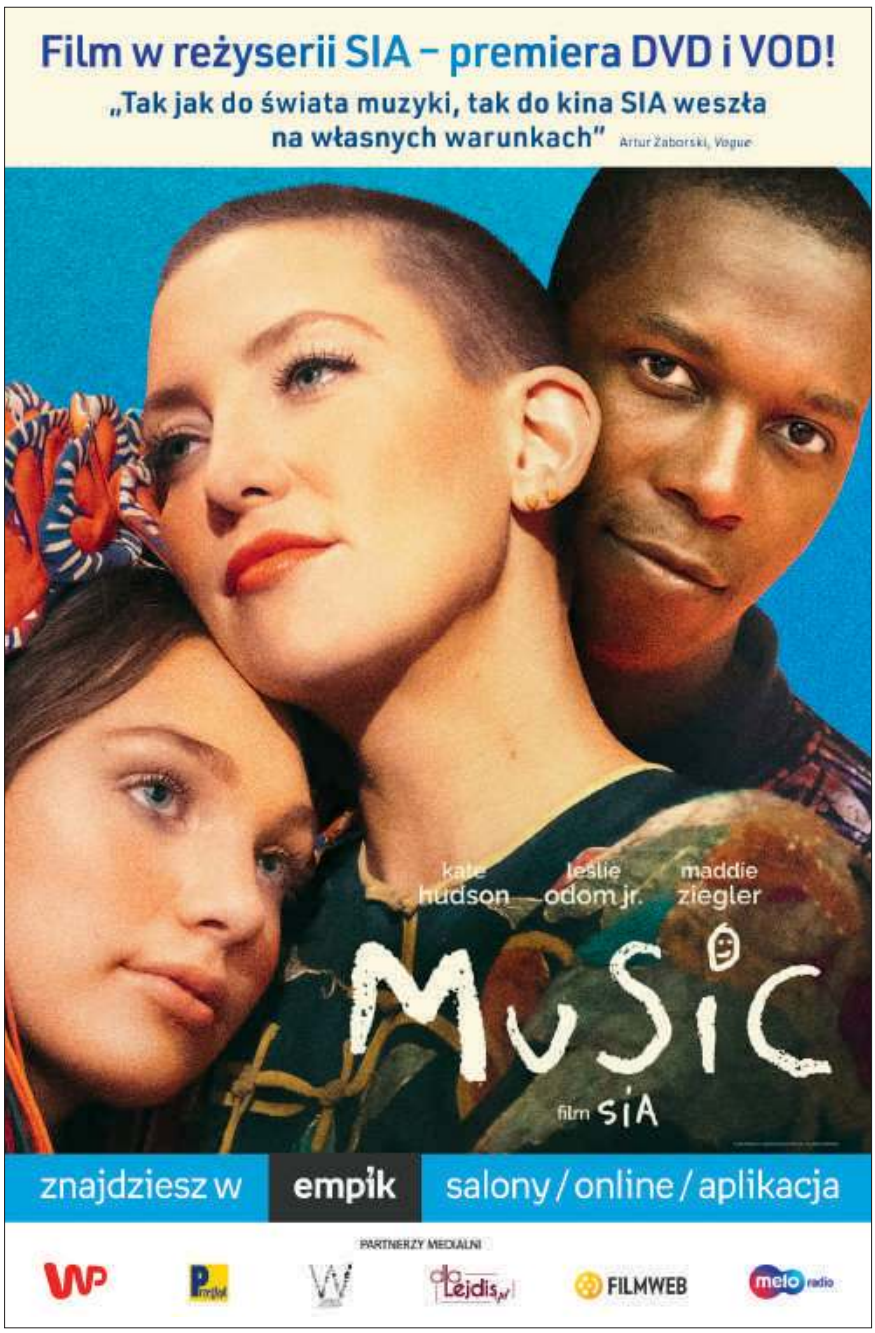

eprasa.pl fe65c2f2d1

i polityczne wywołuje użycie brzydkich słów na demonstracji czy ubrudzenie muru, natomiast wciąż do odpowiedzialności nie zostali pociągnięci ludzie, którzy kryli lub nie reagowali na gwałcenie dzieci. Myślicie, że piszę o Kościele? Jasne, także o nim. Ale przecież to mechanizm, który działa nie tylko w tym przypadku. To mechanizm, który pozwalał przez dekady polować na dzieci Wojciechowi Kroloppowi. Który potrafi wybielić przestępców seksualnych w imię ich artystycznych dokonań, kryje tych, którzy molestują kobiety (niekoniecznie dzieci), jeśli są odpowiednio umocowani, znają odpowiednich ludzi lub wyreżyserowali dobre przedstawienie. Systemowe – doniesienia z całego świata oraz przypadki ujawnione w Polsce nie pozostawiają co do tego wątpliwości – krycie przestępstw seksualnych w Kościele katolickim jest wyrzutem sumienia największym, ale nie jedynym. Jest wyrzutem sumienia dla wszystkich sił politycznych po trochu, z których żadna nie potrafiła serio wziąć tego na prokuratorski i policyjny warsztat. Ale też dla środowiska medialnego z wielu stron, które przez lata nie było gotowe (a po części wciąż nie jest) nazywać po imieniu kryjących gwałcicieli dzieci i które oddawało im łamy. Robiły to media grzmiące o „prawdzie" i „patriotyzmie", ale też wiele mediów lubiących opowiadać o „europejskości" i „nowoczesności". To wreszcie wyrzut sumienia dla samego Kościoła, którego hierarchowie powinni mieć (choć nie liczę na to) tyle rozumu i godności człowieka, by nie krzyczeć o prześladowaniu naszej (tak, jestem katolikiem) wspólnoty tak długo, jak długo odpowiedzialni za krzywdę dzieci nie poniosą odpowiedzialności.

Niedawno nawróceni na grzeczność i kindersztubę obrońcy demokracji dostrzegają brzydkie słowo, ale wykluczający język w zdaniu bez przekleństwa – już nie.

Z jednej strony zbrukany mur. Z drugiej – zniszczone życie dziecka. Dajcie spokój z tym czepianiem się przekleństw, serio.

Żelazna przemoc ukryta

To wszystko przykłady przemocy w pewnym stopniu publicznej, przynajmniej po części ujawnionej. A przecież jeszcze większy problem mamy z rozumieniem zjawiska przemocy systemowej. Tej dziejącej się w zetknięciu bezbronnej na ogół jednostki z wielokroć bezduszną przemocą państwa. Albo z „żelaznymi" (często w formie kajdan lub kastetu) zasadami rynku.

Co bardziej oburzało strasznych mieszczan widzących wszystko osobno? Wyrwana kostka brukowa czy wieloletnia praktyka płacenia po parę złotych na rękę za godzinę pracy? Wyrzucanie ludzi na bruk bez prawa do zasiłku czy graffiti w bramie? Brak dostępnych mieszkań komunalnych i socjalnych czy człowiek w kryzysie bezdomności, który ma czelność siedzieć na ławce w centrum miasta, zamiast – no właśnie – „wypierdalać" na peryferia, jak sugerowałoby mu wielu obywateli, a nawet, choć w uładzonych słowach, radnych tego czy innego miasta? Rozbita szyba czy brak dostępu do lekarzy? Spalona w Lesie Kabackim działaczka lokatorska i działania czyścicieli kamienic czy palona opona w trakcie protestu związkowego?

Żyjemy w kraju, w którym ginie największa liczba pieszych w Unii Europejskiej, ponad 40 tys. ludzi rocznie umiera z powodu zanieczyszczenia powietrza, dostęp do opieki psychiatrycznej to iluzja. W kraju, który jest w czołówce pod względem samobójstw nastolatków, w którym miliony ludzi nie mają możliwości skorzystania z usług publicznych z powodu uwiądu komunikacji publicznej, a ochrona zdrowia w czasie pandemii ledwo zipie (personelowi pielęgniarskiemu czy ratowniczemu płaci się żenujące – przemocowo żenujące – pieniądze). Przemoc nas otacza, czyha na nas zewsząd. Bo to wszystko właśnie jest przemocą. Jasne, mniej widoczną niż erupcje jej bezpośredniej odmiany (w tej lub innej formie). Mniej „fotogeniczną". Trudniej wytłumaczalną. Mniej klikalną.

Prawdziwszą jednak i poważniejszą, zdecydowanie bardziej niż to, że ktoś brzydko krzyknie do mających władzę i dominację polityczną, ekonomiczną czy kulturową, by już sobie poszli. Tych, którzy powinni sobie pójść, by przemoc przenikająca nasze życie społeczne zmalała, jest bowiem znacznie więcej. I właśnie dlatego są w stanie z pozycji siły odwracać uwagę od przemocy ukrytej, próbując dyscyplinować wszystkich tych, którzy sięgną po choć trochę radykalniejszy sposób wyrażenia swoich racji niż śpiewanie „Murów".

Ignacy Dudkiewicz jest filozofem, bioetykiem, publicystą i działaczem społecznym. Redaktorem naczelnym „Magazynu Kontakt" (www.magazynkontakt.pl), czasopisma lewicy katolickiej

Podaje się do publicznej wiadomości, że na podstawie uchwały nr 2 Zgromadzenia Fundatorów z dnia 4 listopada 2020 r. wszczęta została likwidacja fundacji „FRZIPS" Fundacji Reorientacji Zawodowej i Pomocy Społecznej z siedzibą w Warszawie (dalej jako Fundacja).
Likwidatorem Fundacji ustanowiony został Cyprian Ciemny.
Wzywa się wszystkich uprawnionych do składania ewentualnych roszczeń w stosunku do Fundacji do dnia 5 marca 2021 r.
Roszczenia należy zgłaszać:
na adres Fundacji: ul. Krochmalna 32a/4, 00-864 Warszawa,
lub
na adres Likwidatora: ul. Słonecznej Polany 12, 05-077 Warszawa.
Wedle ustaleń Likwidatora Fundacja nie posiada zobowiązań finansowych.

eprasa.pl fe65c2f2d1

Oko w oko

Tomasz Jastrun

Prawda i kłamstwo

Już chyba po raz trzeci z radością czytam pierwszy tom dzienników Sandora Máraia, a jakbym czytał po raz pierwszy. Wszystko dzięki nędznej pamięci, to jedna z nielicznych zalet mej ułomności. Ten pierwszy tom zresztą najciekawszy z pięciu, które ukazały się w Polsce. Trwa wojna, pisarz ma ponad 40 lat, mieszka w Budapeszcie, jest już cenionym prozaikiem. Węgrzy mają swój własny autorytaryzm, biorą udział w wojnie po stronie Niemiec, a strzałokrzyżowcy, radykalne faszystowskie ugrupowanie, dokonują masowych mordów. Żona Máraia jest żydowskiego pochodzenia, więc pisarz musi ją ukrywać. To ma być dziennik intelektualny, dziennik ducha, ale sytuacja zmusza pisarza, by zajął się też „mięsem życia". I właśnie wtedy dziennik jest najlepszy. Przez cały czas Márai pasuje się z myślą, jak to możliwe, że jego kraj stanął po stronie zła i stał się sojusznikiem Hitlera. Prawda i kłamstwo, uczciwość i podłość, zło i dobro są emocjonalnymi biegunami, które tworzą napięcie, to daje tym dziennikom niezwykły moralny wymiar. Co by pisał o współczesnych Węgrzech? Czy dzisiaj fenomen Orbána nie ma tych samych źródeł co węgierski faszyzm? Ładne zdanie: „Kto zdoła zapalić światło w tych ciemnych głowach?". Miliony ludzi na Węgrzech i w Polsce mają teraz w głowach ciemno, a na dodatek gotuje się w nich gulasz i bigos. I aktualna refleksja: „Wielka idea narodu była przez nich używana jak maczuga, dostawał nią każdy, kto odważał się myśleć o przyszłości Węgier inaczej niż oni, przekonani o wiarygodności swojego chrześcijaństwa i patriotyzmu. Nawet aptekarz, pisarz, lekarz, uczony czy inżynier mógł być przez nich uznany jedynie wówczas, gdy był narodowym aptekarzem, pisarzem czy lekarzem". Pasuje do nas jak ulał.

•

Strajk mediów. Gdy rankiem zamilkły telewizja i radio, poczuliśmy w ustach podobny smak jak o świcie stanu wojennego. Czułem dyskomfort, że nie mogę obejrzeć meczu Igi Świątek, nie było TVN 24 i „Faktów", Onetu ani Wirtualnej Polski. Za to media reżimowe zabrały się ochoczo do opluwania mediów wolnych. O Boże, jak oni kłamią, znowu jak w stanie wojennym. Podatek od reklam, jak wiadomo, zarżnie większość liberalnych mediów. Pomysł jest przebiegły, znowu gra się na złych emocjach, na zazdrości i zawiści. Państwo jawi się jako wcielenie Janosika i Robin Hooda, obrabuje bogatych i da biednym. I do czerni pisowskiej to trafia. Kto lubi reklamy, przeklęte reklamy – opodatkować je.

•

Komuniści wiedzieli, że bez elity ich władza będzie ułomna i niepełna, dlatego najpierw uwodzili, kupowali i zastraszali intelektualistów, co w dużej mierze im się udało. Kiedy nastała polityczna odwilż, część elity odwróciła się od władzy, chociaż łączyło się to z utratą przywilejów. Teraz elita jest niemal w całości wroga PiS, to nie jest letnie uczucie. Stąd pomysł prezesa na stworzenie własnej elity, skoro starej nie da się już zmienić, tak jest zarażona liberalizmem. To zamiar sformatowania polskiej duszy na nowo, dlatego tak ważne są szkoły. Temu też służy przejmowanie kolejnych instytucji kulturalnych, nawet muzeów. Już jakiś czas temu dyrektorem Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski w Warszawie został Piotr Bernatowicz. Obiecywał: „Nastąpi istotna zmiana kryterium doboru artystów". I dalej takie zdania: „Odważny, bezkompromisowy namysł nad sztuką współczesną, rozhermetyzowanie środowiska sztuki współczesnej (świata sztuki), włączenie artystów i nurtów marginalizowanych z przyczyn ideologicznych zaowocuje oryginalnym programem działania instytucji". Dzięki temu CSW odzyska „rangę i głos w dyskusjach artystycznych, zamiast bezrefleksyjnie rezonować mody i trendy przychodzące z zewnątrz". Znowu ten podział na narodowe, swojskie, plemienne i obce. I ten salon warszawski i pominięci, ci narodowi.

Prezes chce stworzyć własną elitę. Temu też służy przejmowanie kolejnych instytucji kulturalnych.

Gdziekolwiek spojrzeć, widać podobny proces. W „Nowych Książkach" na okładce pojawiło się nadgryzione przez pychę oblicze Bronisława Wildsteina. Ten nieszczęśnik jest opętany sobą, nawet jeśli zdolny, to tylko trochę. Część jego akcesu do PiS to przekonanie, że salon go odtrącił. Jest W. wedle pisma jednym z najwybitniejszych polskich pisarzy, a przy okazji wybitnym myślicielem, ba! filozofem. Nie dostał Nagrody Nobla tylko dlatego, że Akademia Szwedzka jest lewacka. Co się stało „Nowym Książkom"? Sprawdzam, od jakiegoś czasu jest nowy szef z nadania pisowskiego i wszystko jasne. Ale przecież pracuje w piśmie nadal wielu porządnych ludzi, uczciwie wykonują swoją pracę. I czują się w nowej sytuacji fatalnie, jakby nagle pracowali w reżimowym piśmie. Wracają dylematy jak w stanie wojennym. A po tym wszystkim czeka nas deratyzacja. Jak ją robić w ramach demokracji? Karkołomne zadanie.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl fe65c2f2d1

Zaryzykuj wszystko

My po prostu gramy inaczej niż cała reszta teatralnego świata

GRZEGORZ JARZYNA
– dyrektor artystyczny TR Warszawa

Rozmawia Tomasz Miłkowski

Ponad 20 lat temu, od czasu „Bzika tropikalnego", związał się pan z TR Warszawa, wtedy jeszcze Rozmaitościami. Powtarzał pan, że zadecydowała o tym siła tego miejsca. Co takiego pan w nim odnalazł?

– To był czas, kiedy instytucje kultury, szczególnie teatry, znalazły się w głębokim kryzysie. W początkowych latach transformacji po 1989 r., po pierwszych przemianach politycznych i reformach gospodarczych, publiczność przestała chodzić do teatru. To był trudny i wymagający czas.

Kiedy przyjechałem do Warszawy, by wyreżyserować „Bzika tropikalnego", byłem jeszcze studentem trzeciego roku reżyserii krakowskiej PWST. Urzekła mnie magia Teatru Rozmaitości. Na Marszałkowskiej 8 spotkałem niesamowity zespół aktorski, działający na zupełnie innych zasadach niż pozostałe etatowe zespoły teatralne w Polsce. Byłem przyzwyczajony do pracy w Starym Teatrze w Krakowie, gdzie podczas studiów wielokrotnie asystowałem reżyserom i przyglądałem się pracy w tradycyjnym teatrze repertuarowym. W Warszawie był to mały zespół, wywodzący się z teatru eksperymentalnego Szwedzka 2/4. Atmosfera twórczej pracy, pełnej pasji i zaangażowania, całkowicie mnie uwiodła.

Krystian Lupa powiedział po premierze „Bzika", że odnalazł pan swoją wioskę plemienną. Może więc bardziej chodziło o ludzi niż o miejsce?

– Teatr budują nie mury, tylko ludzie. Jednak architektura tego teatru jest również niezwykła. W budynku przy Marszałkowskiej 8 jest bardzo mało miejsca, ciasne pomieszczenia, wąskie korytarze. Na backstage'u ciągle trzeba schylać głowę, żeby się nie uderzyć. Po latach mogę powiedzieć, że ta garażowa architektura miała wpływ na formowanie zespołu TR Warszawa. Modernistyczna kamienica, w której mieści się nasz teatr, została wybudowana w 1939 r. i oddana do użytkowania praktycznie kilka miesięcy przed wybuchem wojny. Zaprojektowana pod ziemią scena miała służyć mieszkankom i mieszkańcom okolicznych domów jako schron na wypadek bombardowania. Na scenie architekt umieścił słupy podtrzymujące całą konstrukcję budynku. W końcu lat 30. było to bardzo nowoczesne rozwiązanie, ale teatralnie ograniczało i determinowało przestrzeń.

W jaki sposób?

– Paradoksalnie te niekomfortowe warunki pracy wpływały na dobrą atmosferę w zespole, sprzyjały budowaniu bliskich, szczerych więzi. Im jest ciaśniej, tym szybciej w procesie twórczym dochodzi do wyjaśnienia wszystkich kwestii spornych. Na początku naszą artystyczną wspólnotę nazywaliśmy rodziną, później plemieniem. Ta niezwykła atmosfera wpłynęła na podjęcie decyzji i przyjęcie propozycji od zespołu, bym został dyrektorem artystycznym teatru. Rzeczywiście miałem poczucie, że odnalazłem swoje miejsce, ludzi, z którymi możemy coś ważnego wspólnie kreować. I nie ogranicza nas przestrzeń.

Przez te wszystkie lata, nie opuszczając starej siedziby na Marszałkowskiej, wciąż podejmował pan próby odnalezienia innego miejsca, gdzie mógłby pojawić się teatr. Skąd te uporczywe poszukiwania?

– Mam naturalną potrzebę eksploracji. Być może stąd te poszukiwania wszelkich form ekspresji artystycznych, które były dla mnie ważne, szczególnie w kontekście budowania relacji międzyludzkich.

eprasa.pl fe65c2f2d1

W tamtym czasie osiągnęliśmy sukces na skalę światową i zbudowaliśmy markę, renomę nie tylko na świecie, ale też w Polsce. Po siedmiu latach miałem poczucie pewnego spełnienia. Poczułem wtedy, że dobrze jest się zwrócić w kierunku początku, cofnąć czas i zobaczyć siebie z okresu, kiedy byłem studentem reżyserii, który chciałby dotknąć i doświadczyć przygody, jaką jest teatr. Na studiach wszyscy starsi koledzy i koleżanki mówili, że teatr repertuarowy to koszmar, pracowali w różnych teatrach, ale wracali na studia, dlatego że tęsknili za atmosferą, wolnością pracy twórczej i wspólnotą, jaką tam tworzyliśmy. Miałem dużo szczęścia, jeszcze na studiach odnalazłem w Warszawie ludzi i swój świat. Dlatego miałem poczucie zaciągniętego kredytu od losu. Stąd pomysł, by zapraszać do pracy młodych ludzi, osoby, które nigdy dotąd nie miały szansy na pracę w teatrach instytucjonalnych. Tak powstały Teren Warszawa, Nowa Dramaturgia TR, Teren TR i Linia nowych talentów, którą obecnie rozwijamy w TR Warszawa i będziemy ją kontynuować w nowym budynku na placu Defilad.

Do tej pory realizowaliście spektakle w nietypowych miejscach.

– Pojawialiśmy się w różnych lokalizacjach w przestrzeni Warszawy. Stworzyliśmy spektakl na Dworcu Centralnym czy w darkroomie w kultowym teraz klubie Le Madame. Zawsze ograniczał nas budżet, ale idea polegała na tym, by wybrane miejsce, w którym powstawał dany projekt, samo w sobie było już scenografią, kontekstem spektaklu. W „Zaryzykuj wszystko" w mojej reżyserii wykorzystaliśmy to, co się dzieje za przeszklonymi ścianami hali Dworca Centralnego.

Terenowe doświadczenia miały bardzo duży wpływ na projektowanie nowej przestrzeni – nowej siedziby TR Warszawa przy placu Defilad. Chociażby wspomniane przeszklenia hali dworcowej znajdują odzwierciedlenie w nowym budynku autorstwa pracowni Thomas Phifer and Partners. Przeszklone przestrzenie pozwolą na to, by przechodnie mogli oglądać nas z zewnątrz, nawet podczas prób czy w trakcie spektakli.

Jakie nadzieje i plany wiąże pan z tą przeprowadzką?

– Przyświeca nam myśl, że chcemy pozostawić po sobie trwały sygnał, kiedy nas już nie będzie na świecie, ślad – bazę dla sztuki w centrum stolicy. To obecnie dla mnie najważniejszy cel – zadanie artystyczne i życiowe. Wspólnie z zespołem TR Warszawa chcemy doprowadzić do powstania nowoczesnego budynku teatralnego, który będzie służył Warszawie i Polsce prawdopodobnie przez kilka wieków, będzie teatrem dla przyszłości. To nasza misja i odpowiedzialność zarówno wobec Warszawy, jej mieszkanek i mieszkańców, jak i obywatelek i obywateli tego kraju. Myślę też, że projekt ten wart jest poświęcenia całego życia i pracy wielu ludzi. Nie chodzi tylko o korzyści związane z wielokrotnie większą przestrzenią i liczbą miejsc na widowni. Przyświeca nam rozwój sztuki teatralnej na dużą skalę, z szeroką dostępnością dla mieszkanek i mieszkańców tego miasta oraz dla gości odwiedzających stolicę.

Obecnie jesteśmy teatrem artystycznym i elitarnym. Upowszechnienie tej sztuki na dużą skalę wpływa na rozwój społeczeństwa obywatelskiego i nowoczesnych metropolii na całym świecie. Jestem przekonany, że temu miastu należy się odpowiednia, nowoczesna przestrzeń, w której będzie dochodzić do wymiany myśli, idei i refleksji.

Garażowa architektura teatru miała wpływ na formowanie zespołu TR Warszawa.

TR miał opinię teatru pokoleniowego, który otworzył drzwi dla młodych widzów i artystów. Jeśliby tak miało być, dzisiaj TR byłby teatrem pokolenia 50-latków.

– Renomę tego teatru stworzyła grupa młodych artystek i artystów z roczników 60. i 70. Ale od samego początku jesteśmy przeciwnikami wszelkich podziałów związanych z płcią, orientacją, religią czy wiekiem. Jesteśmy teatrem transpokoleniowym. Od wielu lat regularnie realizujemy naszą strategię w obszarze rozwoju nowych talentów. Co roku zapraszamy do współpracy ekipy twórców i twórczyń, którzy jeszcze w trakcie studiów zaczynają artystyczną przygodę i w TR Warszawa realizują pierwsze spektakle. Dlatego powołaliśmy program Debiut TR, w ramach którego rokrocznie na Forum Młodej Reżyserii w Krakowie wybieramy studentki i studentów szkół teatralnych, którzy w następnym sezonie realizują w TR swoje projekty. Dbamy o to, by młodym twórcom i twórczyniom wchodzącym na ścieżkę rozwoju artystycznego dać dobre narzędzia, by to był dobry, ugruntowany start.

Teatr przy Marszałkowskiej stał się inkubatorem młodych dramaturgów i reżyserów. To też pewien paradoks, ponieważ po objęciu przez pana dyrekcji panowała opinia, że programowo to teatr wychylony na Zachód, wyżej ceniący doświadczenia zachodnich sąsiadów niż rodzimą twórczość. Niekoniecznie to prawda, choć „niemieckie" odblaski w estetyce spektakli TR dałoby się wskazać. Czy można zatem mówić o szkole dramaturgicznej i reżyserskiej TR?

– To takie podsumowania, na które trochę za wcześnie. Trzeba jednak zdać sobie sprawę, że polski teatr z początkiem lat 90. pogrążał się w zapaści. Przed 1989 r. pełnił on niezwykle ważną funkcję. Posługiwał się kodem politycznym, język artystyczny opierał się na dużej liczbie aluzji. Po transformacji ustrojowej okazało się, że wiele tematów nie znajduje już miejsca w aktualnych repertuarach. W tych warunkach nasza rola nie wynikała z jakichś kalkulacji. Po prostu postawiliśmy na rozwój polskiej dramaturgii, na pogłębianie problematyki, która do tej pory w Polsce nie była poruszana. W tamtym czasie polska dramaturgia – poza paroma wyjątkami – w zasadzie zamierała. Zapraszaliśmy młodych twórców i twórczynie, umożliwiając im realizację sztuk na scenie. To programowe działanie pozwoliło pod koniec lat 90. na rozszerzenie pewnego rodzaju rynku dla polskiego dramatu, nowe otwarcie dla najnowszej polskiej dramaturgii. Czerpaliśmy wzorce z Zachodu, głównie z Anglii i z Niemiec, często jeździliśmy i pracowaliśmy na Zachodzie. Mówiąc „my", mam na myśli siebie i Krzysztofa Warlikowskiego, z którym pracowaliśmy w Teatrze Rozmaitości. Stąd wziął się nasz fokus na rozwój nowych technologii w teatrze, poszukiwanie nowego języka opowiadania, a za nimi poszła zmiana pokoleniowa.

eprasa.pl fe65c2f2d1

Eugeniusz Kurzawa
Spis treści
66 postaci, które...
Wilkanowo – Zielona Góra 2020

„Nie jestem ani znany, ani ważny, ot, prowincjonalny poeta wywodzący się z małego miasta nad Obrą. Jednak zdarzyło mi się w życiu otrzeć o kilkanaście ciekawych postaci, niekiedy zamienić z nimi parę zdań, wspólnie podróżować lub biesiadować", pisze Eugeniusz Kurzawa, I dodaje: „Są to (…) osoby, z którymi czuję się związany emocjonalnie, ważne dla mnie z powodów artystycznych i życiowych, nierzadko sławne, ale też istotne dla kultury polskiej, a w kilku wypadkach nawet światowej". Wśród przywoływanych nazwisk znalazły się takie postacie jak: Andrzej Strumiłło, Walery Pisarek, Ewa Lipska, Tadeusz Różewicz, Hanna Krall, Jerzy Urban, Ryszard Kapuściński, Krzysztof Teodor Toeplitz, Kira Gałczyńska, Urszula Dudziak, Joanna Rawik, Jerzy Bralczyk czy Jerzy Waldorff. Zapiski nie są chronologiczne, nie zawsze też dotyczą, zdaniem samego autora, spraw ważnych. Po prostu utrwala je tak, jak zachowały się w pamięci.

Działalność Polskiego Towarzystwa Walki z Kalectwem w służbie osób z niepełnosprawnością w latach 1960-2020. Księga Jubileuszowa
Wydawnictwo Polskie Towarzystwo Walki z Kalectwem, Warszawa 2020

Monografia pod redakcją naukową Henryka Waszkowskiego składa się z tekstów wybitnych autorów i praktyków, członków naczelnych i terenowych władz TWK. Jest hołdem i podziękowaniem dla wszystkich ludzi zaangażowanych w działalność Towarzystwa i poświęcających się pracy z osobami dotkniętymi niepełnosprawnością.

Kiedy mowa o nowej dramaturgii, nie sposób nie wspomnieć tekstów Doroty Masłowskiej, których realizacje w TR stały się czymś więcej niż tylko głośnymi premierami. „Między nami dobrze jest" to gorzka, ironiczna diagnoza.

– Z mojej perspektywy dla teatru ciekawe są osobowości, które przychodzą trochę z innego świata; obierają nieznane dotąd kierunki. Taką osobą była Dorota Masłowska, która na początku powiedziała, że nie cierpi teatru, bo wtedy był on dla niej synonimem „udawania" świata. Mam wrażenie, że z czasem dostrzegła w teatrze wiele pozytywnych aspektów, które wcześniej krytykowała. Dla mnie jej wypowiedzi są coraz głębsze. Myślę, że Dorota coraz bardziej dotyka również tego fenomenu kontaktu żywego człowieka z człowiekiem na scenie oraz bezpośredniej emocji związanej z odbiorem przez publiczność.

TR i pan sam jako reżyser słyniecie z umiejętności pracy z aktorami starszych generacji. Przykładem było zaangażowanie do zespołu Danuty Szaflarskiej. Jak doszło do tak niezwykłego porozumienia?

– Od początku w tym zespole panował duch Szwedzkiej 2/4, polegający na odmiennych niż w innych zespołach sposobach myślenia. Wykluczenie ze względu na wiek czy płeć nie wchodziło tu w grę. Jeśli na to szerzej spojrzeć i realizować pewną strategię, to tak samo wartościowi są dla nas aktor/aktorka tuż po studiach i aktor/aktorka w wieku 90 lat. Dla naszego zespołu istotne jest, czy ta osoba ma chęć, pasję i chce z nami pracować.

W przypadku Danuty Szaflarskiej liczyła się także jej umiejętność bycia w zespole i budowania relacji. Była dla nas jakimś aniołem o niezwykłej otwartości na współczesność. Wniosła wielki etos pracy w teatrze i na pewno pozostawiła po sobie przekonanie, że musi być ona wykonywana według pewnych zasad moralnych, etycznych, wręcz artystycznych. Przekonywała nas, że ze względu na sztukę, na naszą misję powinniśmy się zachowywać tak, a nie inaczej. Dała nam wszystkim siłę. Zarażała nas energią, pasją, niezwykłą miłością do teatru i do ludzi teatru.

Dowodem, jak ważne jest skupianie wokół teatru różnych generacji i tym samym doświadczeń, był kluczowy w mojej opinii spektakl TR – „Uroczystość" w pańskiej reżyserii. Jak udało się panu zachęcić do współpracy tak różniących się artystów?

– Kiedy dostałem propozycję bycia liderem artystycznym TR Warszawa, umówiliśmy się z zespołem, że współpracujemy z aktorami i aktorkami zewnętrznymi. Tworzymy wokół teatru żywą, twórczą wspólnotę. Nasz zespół zresztą zawsze był bardzo różnorodny. Dbaliśmy o to, by każda/każdy, kto z nami współpracuje, czuł/czuła się częścią tego zespołu. Ze wszystkimi, z którymi pracowałem nad „Uroczystością", wcześniej się znałem lub zetknąłem i pracowałem albo budowałem jakieś relacje. Wyjątkiem była Danuta Szaflarska, którą właśnie wtedy się zafascynowałem. Po którymś spektaklu przedstawiłem się, rozmawialiśmy i zaprosiłem ją do współpracy przy „Uroczystości". Odpowiedziała, że już jest na emeryturze i właściwie jest poza czasem swojej aktywności zawodowej. To stwierdzenie mnie uderzyło. Przed momentem widziałem na scenie żywiołową aktorkę, która chwilę później mówi, że czas pracy w teatrze już się dla niej skończył. Właśnie wtedy powiedziałem Danusi, że marzę, by taka osoba jak ona była w naszym zespole. Od tej rozmowy i „Uroczystości" zaczęła się nasza cudowna wspólna przygoda.

Wiele spektakli TR wchodzi w bliską komitywę z kinem, to poniekąd teatralne repliki filmowych pierwowzorów. Czy to efekt fascynacji kinem i popkulturą, czy może przekonania, że film i teatr mogą wchodzić w żywy dialog?

– Film, ta młodsza córka teatru, wprowadzał bardzo dużo ciekawych rozwiązań, innych narracji i tematów. Chociażby podział na trzy plany równoległe, suspens, metajęzyk, narracje Orsona Wellesa, Alfreda Hitchcocka, Davida Lyncha, Quentina Tarantino, Larsa von Triera czy Jorgosa Lanthimosa były i są bardzo inspirujące dla współczesnego teatru. Oryginalny język, dramaturgia i zaskakujący sposób prowadzenia narracji ciągle inspirują mnie przy tworzeniu nowego dzieła teatralnego. Działały te wszystkie mieszanki różnych inspiracji, np. sposobu myślenia o świetle punktowym *versus* szeroki plan i operowanie poprzez światło różnymi planami, użycie muzyki jako narzędzia oddającego wewnętrzną narrację

eprasa.pl fe65c2f2d1

Inni ludzie

danej sceny, ale też tworzenia w teatrze całych ścieżek dźwiękowych. To był ten nowy język, który przyciągał młodych ludzi traktujących wyjście do teatru jak wyjście do kina.

Trzeba dodać, że kiedy studiowałem, obowiązywał inny trend w myśleniu o sposobie grania aktorek i aktorów. Kreacja aktorska wiązała się z szerokim gestem. To, co w Teatrze Rozmaitości (dziś TR Warszawa) zostało wprowadzone, jeśli chodzi o grę aktorską, było też zaczerpnięte z życia, ale to film był inspiracją. Aktorki i aktorzy, grając, wyrażają przede wszystkim prawdę taką, jaką widzimy na ulicy. To rodzaj dążenia do prawdziwego grania. Niektórzy mogą nazwać ten styl realistycznym, jego kwintesencją jest wydobycie pewnej esencji, prawdy. Ta stylistyka i szkoła grania charakterystyczna dla zespołu z Marszałkowskiej 8 stała się rozpoznawalna na całym świecie. My po prostu gramy inaczej niż cała reszta teatralnego świata.

TR trzyma się w zasadzie z dala od polityki, choć język sztuki krytycznej przenika do wielu przedstawień. „Inni ludzie" oparci na tekście Doroty Masłowskiej to przecież bolesna diagnoza naszego tu i teraz. TR czasem bawi się z widzami, a czasem chce widzem potrząsnąć?

– Nigdy nie staraliśmy się na siłę wypracować własnego stylu. Styl TR Warszawa powstał samoistnie; brał się z dużej wolności twórczej, doboru ważnych społecznie tematów i wartości artystyczno-etycznych, które od zawsze nam przyświecają. Tworząc program, szukaliśmy w twórcach i twórczyniach oryginalności, tego, czego jeszcze nie widzieliśmy w teatrze.

Przyjęta w zespole zasada wolności i krytyczne zaangażowanie sprawdziły się i zadziałały. Taka jest rola naszego teatru. Tylko krytyczny dyskurs przyczynia się do rozwoju naszej świadomości obywatelskiej. Nie chcemy być teatrem politycznie zaangażowanym, jesteśmy i chcemy być teatrem krytycznym wobec zjawisk, które zachodzą w społeczeństwie, także krytycznym wobec działań władz, wobec naszych postaw, naszego myślenia, przemian kultury i przemian dziejowych, wreszcie wobec antropocentrycznych działań człowieka w stosunku do planety.

„Inni ludzie" są spektaklem mocno krytycznym. To rodzaj podróży, którą jak zawsze w swojej twórczości proponuje Dorota Masłowska; krytyka poprzez śmiech i absurd. W tekście właściwie nie ma postaci pozytywnej, każda w jakimś sensie pokazana jest w negatywnym świetle. Ważne, by zbliżyć się do każdego bohatera i każdej bohaterki poprzez pokazanie całego kontekstu – gdzie się urodzili, w jakim środowisku i w jakich warunkach dorastali, co wpłynęło na ich obecne postawy życiowe. W „Innych ludziach" widzimy przekrój społeczeństwa, nie ma tu warstwy uprzywilejowanej. Szalenie istotne jest dla mnie wywołanie empatii – rodzaju zrozumienia dla pewnych postaw czy decyzji. W zasadzie mamy do czynienia z antybohaterami i antybohaterkami, a tych lubimy, trochę rozumiemy albo przynajmniej im współczujemy. I ta mieszanka właśnie jest dla mnie bardzo istotnym zabiegiem reżyserskim w „Innych ludziach".

Bardzo krytycznie zaangażowanym spektaklem, wybiegającym poza tu i teraz, będzie – czekająca na premierę z udziałem publiczności na widowni – „2020: Burza".

Tomasz Miłkowski

KONKURS DZIENNIKARSKI

„Kultura w pandemii – pandemia w kulturze"

Stowarzyszenie Autorów ZAiKS, Towarzystwo Dziennikarskie i Fundacja Collegium Civitas ogłaszają konkurs na reportaż i/lub tekst publicystyczny pod hasłem „Kultura w pandemii – pandemia w kulturze".

Konkurs jest otwarty, każdy uczestnik może startować w jednej lub w obu kategoriach. Zgłaszać można tylko teksty dotychczas nigdzie niepublikowane. Teksty powinny zawierać nie więcej niż 14 tys. znaków (ze spacjami).

Można je nadsyłać do 15 maja 2021 r. na adres: konkurs@civitas.edu.pl.

Jury będzie pracować w składzie: Ryszard Bańkowicz (przewodniczący) i Rafał Skąpski z ZAiKS, Elżbieta Sawicka i Cezary Łazarewicz z Towarzystwa Dziennikarskiego oraz Jacek Żakowski z Collegium Civitas. Sekretarzem (bez prawa głosu) jest Jacek Rakowiecki z Fundacji Collegium Civitas.

Wyniki konkursu zostaną ogłoszone 15 czerwca 2021 r.

Nagrody:

I nagroda w obu kategoriach – 15 tys. zł,
dwie II nagrody w obu kategoriach – po 8 tys. zł,
trzy wyróżnienia w obu kategoriach – po 2 tys. zł.
Jury może zdecydować o innym podziale nagród.

Regulamin i dodatkowe informacje można znaleźć na stronach:
www.zaiks.org.pl, www.towarzystwodziennikarskie.pl i www.civitas.edu.pl.

FOT. PAT MIC, MARCIN OLIVA SOTO

eprasa.pl fe65c2f2d1

1

2

Powrót Bauhausu

5

„Nowy europejski Bauhaus" to ogłoszona przez szefową Komisji Europejskiej Ursulę von der Leyen inicjatywa nawiązująca do dokonań niemieckiej szkoły architektonicznej założonej w 1919 r. przez Waltera Gropiusa. Zaprojektowane przez twórców Bauhausu budynki i wyposażenie mieszkań do dziś cieszą oczy stylem i funkcjonalnością. Współczesny Bauhaus ma być kolegium doradczym złożonym z architektów, projektantów, planistów i artystów, wspierającym polityków w przekształcaniu europejskich miast w bardziej zielone i przyjazne. Niestety, do tego szacownego grona nie został zaproszony żaden Polak.

(rp)

FOT. AKG/EAST NEWS(5),BEW, DOMENA PUBLICZNA.

eprasa.pl fe65c2f2d1

1. Studium wnętrza. Meble z wiśniowego drewna z żółtymi osłonami. Walter Gropius, 1927.
2., 5. Utrecht, Schröder House, projekt Gerrita Rietvelda, 1924.
3. Segmenty kołowe. Laszlo Moholy-Nagy, 1921.
4. Fotel Barcelona zaprojektowany przez Miesa van der Rohego, 1929.
6. Wysoka ampułka, Gyula Pap, 1923.
7. Wnętrze budynku będącego siedzibą Bauhausu w Dessau.

eprasa.pl fe65c2f2d1

ZASŁUCHAJ SIĘ

Karol Rathaus Ensemble
Karol Rathaus, Piano Trios
DUX

W opisie płyty, na której zarejestrowano dwa utwory kameralne Karola Rathausa, pojawia się kilkakrotnie stwierdzenie, że był muzycznym geniuszem. W istocie dwa nagrane tria są bardzo ciekawą, żywą i zróżnicowaną muzyką, która zdradza duży talent autora. Dziwić się więc należy, dlaczego tak mało wiemy o polskim kompozytorze, który robił karierę w USA. Gdyby żył dziś, nasze media wspominałyby o nim często, ale że był to twórca emigracyjny, a jego twórczość przypadła na czasy wojny i okres powojenny… Owe tria nie zostały nawet wydane, muzycy wykonali je po prostu z rękopisów samego kompozytora. Ale gdy się ich posłucha, to w końcowych częściach „Serenady na skrzypce, wiolonczelę i fortepian" i w „Triu na klarnet, skrzypce i fortepian" pojawiają się polskie motywy. Piękne, dyskretne, wyrafinowane. Pierwszy raz nagrane.

Bronisław Tumiłowicz

NA EKRANACH

HELMUT NEWTON. PIĘKNO I BESTIA
reż. Gero von Boehm, prod. USA, już w kinach

Kiedy Anna Wintour, naczelna „Vogue'a", zamawiała u Helmuta Newtona zdjęcia, wiedziała, że dostanie coś, co nazywała stoperem w magazynie: fotografię, która zapadnie w pamięć, stanie się ikoniczna. Gdy inni fotografowie podkreślali piękno i delikatność kobiecego ciała, Newton pokazywał jego siłę i dominację. – Patrzył na nas przez obiektyw tak, jak Leni Riefenstahl patrzyła w swoich filmach na mężczyzn – mówi w znakomitym dokumencie Gero von Boehma aktorka Isabella Rossellini. Kobieta newtonowska stawała się dominą, mroczną, nieprzystępną, budzącą grozę. Tak pokazał Grace Jones, Marianne Faithfull, a nawet Catherine Deneuve. Dziś częściej niż o rewolucji, jaką wywołały wymierzone w mieszczańską wrażliwość zdjęcia Newtona, dyskutuje się o tym, czy był mizoginem i uprzedmiotawiał modelki. Film podnosi ten wątek, ale nie opowiada się po żadnej ze stron. Tchórzostwo? Nie. Zamiast ciskać kamieniami, reżyser oddaje głos kobietom. I na podstawie tego, co mówią, pomaga zrozumieć kontekst jego prac i fenomen ich autora.

Artur Zaborski

KURTYNA W GÓRĘ

OJCIEC I SYN

Niezwykły monodram powstał na podstawie wspomnień Stanislovasa Rubinovasa, litewskiego aktora i reżysera, założyciela Teatru Kameralnego w Kownie. Dopiero z nich jego syn Aleksandras Rubinovas, również aktor i reżyser, dowiedział się o dramatycznych przeżyciach ojca i jego matki w latach wojny. Ich żydowskie pochodzenie, fala prześladowań i pogromów sprawiły, że musieli ukrywać się w lesie, żebrać, znajdując schronienie w ziemiankach. W ukryciu matka edukowała chłopca, opowiadała o sztuce i literaturze, nie pomijając niemieckich artystów. To była ich odtrutka na nienawiść.

O tych tragicznych czasach opowiada ten skromny spektakl, w którym aktor obywa się bez rekwizytów i dekoracji. Najsilniejsze wrażenie wywiera finał, kiedy Rubinovas (syn w roli ocalonego ojca) przedziera się przez zaśnieżone połacie Litwy i Białorusi z ogromnym lustrem, darem dla swojego wybawcy, który udzielał im schronienia i zawsze marzył o lustrze, a nie było go na nie stać. Rubinovas zaprezentował monodram w Lublinie, w Domu Kultury Węglin, gdzie Mateusz Nowak zaprasza twórców monodramu z całej Europy. Spektakl został zarejestrowany i nadal dostępny jest na YouTubie.

Tomasz Miłkowski

„Mój ojciec" według wspomnień Stanislovasa Rubinovasa, reżyseria Aleksandras Rubinovas, premiera online 31 grudnia 2020

MIĘDZY OKŁADKAMI

Diane Setterfield
Trzynasta opowieść
tłum. Magdalena Słysz
Albatros, Warszawa 2021

To jedna z tych książek, które potrafią wywołać konflikt sumienia, między dorosłym głosem rozsądku a dziecięcym głodem czytelniczym: jeszcze tylko do końca rozdziału, chociaż doczytam stronę… Dwór na wrzosowiskach, wypalone ruiny z ich ponurymi sekretami, przemykające niekiedy postacie z pogranicza świata duchów wprowadzają w nastrój powieści gotyckiej, ale przede wszystkim to historia o uleganiu magii opowieści. Umiejętnie dobrane słowa rzucają czar – list, który bohaterka dostaje od sławnej a tajemniczej pisarki, jest kuszeniem zapalonej czytelniczki: przyjedź, to dowiesz się, co dalej. Więcej, ty jedna usłyszysz prawdę. Dlaczego akurat żyjąca wśród książek autorka paru esejów biograficznych zasłużyła na szczerość kogoś, kto udzielanie wywiadów przemienił w majstersztyk mistyfikacji? I dlaczego obie kobiety się ukrywają – jedna w antykwariacie, druga za kunsztem pisarskim? Diane Setterfield też jest czarodziejką słowa. A miejsce na półce powinna znaleźć obok „Dziwnych losów Jane Eyre".

Aleksandra Pańko

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl fe65c2f2d1

Tak, ale

Agnieszka Wolny-Hamkało

Jasne, że M. nie ma

Mimo negatywnej opinii wydanej przez doktora Szekspira, który jasno (i wielokrotnie) stwierdził, że jest M. panną zwodniczą i groźną śmiertelnie – laska nadal celebruje jakieś pogańskie święta! Kolaborując w połowie lutego z kapitalizmem, telewizją oraz sklepem Rekwizyty i dekoracje. Mimo również negatywnej opinii wydanej przez doktora Flauberta, opisującego z prawdziwym oddaniem smutne opętanie pani Bovary – M. nadal buszuje po świecie, nawiedzając bez ładu i składu Bogu ducha winnych obywateli (którzy tracą przez nią majątek, rozsądek i zdrowie). Nikogo przed M. nie ostrzegła „Lalka" Bolesława Prusa, przez którą wciąż maszeruje zgnębiony Wokulski, niosąc przed sobą wielkie, czerwone, odmrożone ręce. Na nic wołania ducha Anny Kareniny na kolejowych torach („Patrzcie, jakam udręczona!"). Ani nawet śmierdzące lawendą „Wichrowe wzgórza", wśród których ciemnowłosa Catherine dostała tyle miłości, że dosłownie się zrzygała (czemu towarzyszyła bladość i gorączka).

Nikt, kto był zakochany, z Safoną nie będzie się spierał.

Co przyszło z miłości Tomaszowi z „Nieznośniej lekkości bytu", mimo że tak się starał? Co jego Teresie, co jego kochankom – tylko popiół pozostał pod jedwabną halką. Nie lepiej wypada w tym przeglądzie dżentelmen z Paryża – stuknięty Humbert Humbert. Strach nawet donosić na M. w takich kontekstach – 12-letnia Lolita zwinnie się wymyka (na szczęście). Dziwne, że M. nie zaszkodził Goethe (jaki sztab botów, jakie farmy trolli musi hodować M.), grożąc samobójstwem i ku przestrodze wypuszczając na świat nie tylko mroczne i gotyckie wiersze, ale też cierpienia (cudze). Ta zła passa w powieściach, farsowy humor, te gesty, obelgi, które słali pod jej adresem ludzie, utraciwszy wszystko – nie przeszkadzają Miłości się szczerzyć i obchodzić swoje – jako się rzekło – pogańskie święto (w połowie lutego). Na ten czas ukrywa swoje dwuznaczności w mechanizmach komercji, w rzewnych piosenkach, balonach za 4 zł.

Trudno powiedzieć coś odkrywczego o M., skoro już Platon maglował ją w „Fajdrosie", najpierw świadcząc przeciw niej, potem kreując mowę przebłagalną (najlepszą na mieście!) za wcześniejsze bluźnierstwa przeciw Erosowi. I jakby z offu chwalił jej kosztowne gierki: „Wedle świadectwa starożytnych piękniejsze jest szaleństwo od rozsądku, bo tamto od boga pochodzi, a ten jest od ludzi". Egipcjanie „pisali" o niej łodygą sitowia, trzcinowym piórkiem. Opowieści (o niej) wykuwano też w kamieniu, czasem barwiono farbą. W „Fajdrosie" Platon wypominał jej błędy, rachował rozkosze. Z naszej perspektywy możemy śmiało powiedzieć, że jak nikt łączy ona tzw. kulturę wysoką i niską (przepraszam za ten trefny podział): od ulicznych teatrów po suity Bacha, od hitów disco po puszysty barok, od wierszy Yeatsa po rym Częstochowy. Powiedzmy wprost: jest 4 879 678 koncepcji Miłości, jedna prawdziwsza od drugiej.

Tego dnia (14 lutego) odnotowałam: mój pies wyłowił z rzeki rybę – była wielka i kołysała mu się w pysku jak miękka gumowa pałka. Chyba była już martwa, kiedy na chwilę położył ją na śniegu, zerkając z miłością. Nie chciał jej ani porzucić (nad nami kołowały mewy), ani oddać pani. Patrzył długo i patrzył rzewnymi oczami, a mnie się przypomniała Safona, jej „słodko-gorzki eros" i notka Anne Carson: „Nikt, kto był zakochany, z Safoną nie będzie się spierał".

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl fe65c2f2d1

Kafejka internetowa pod Everestem

Na wysokości 5364 m n.p.m., jest internet – to trzeba docenić

Magda Lassota

Odkąd trwają rotacje i tyle osób wyszło w górę, internet przyspieszył. Bo ogólnie działa źle. Wiele osób narzeka, ja też, bo mam zobowiązania. Na początku nie ma internetu w ogóle, później działa słabo lub pojawia się i znika. To bardzo frustruje. Gdy już jest lepiej, narzekamy na ceny. Ceny internetu są kosmiczne: 1 GB – 50 dol., 2 GB – 75 dol., 5 GB – 45 dol., 10 GB – 200 dol.

Everest Link, firma, która od kilku lat udostępnia w bazie internet, jest monopolistą i w związku z tym ustala ceny według własnego widzimisię. Jednak pod najwyższą górą świata, na wysokości 5364 m n.p.m., jest internet – to trzeba docenić. Ja doceniam również to, że namiot internetowy jest zaraz koło obozu Imagine.

To najwyżej położona kafejka internetowa świata. Mieści się po drugiej stronie wzniesienia, które oddziela nasz obóz od głównej drogi, zaraz przy szpitalu polowym, na prawo od niego. Na szczycie wzniesienia, które nazywam górką

Surez w namiocie internetowym.

Namiot internetowy.

eprasa.pl fe65c2f2d1

internetową, stoi główna antena w EBC. Rozpościera się stąd świetny widok na całą bazę. To właśnie stąd robię nocne zdjęcia.

W ciepłe dni, gdy przyjemnie świeci słońce, ludzie rozsiadają się wokół niebieskiego namiotu na wielkich kamieniach i szukają lepszego zasięgu. Im dalej od niego, tym trudniej jest połączyć się z domem. Kiedy jest zimno, ci, którzy dobrze się znają z chłopakami od internetu, Surezem i Pasangiem, mogą przycupnąć w przedsionku lub wejść do środka. Ja w namiocie internetowym jestem niemal codziennie. Nawet kiedy jest ciepło, często chowam się tam, żeby porozmawiać z Surezem albo żeby nie wystawiać już rąk na słońce, żeby zamiast na kamieniu, usiąść wygodnie na materacu i w spokoju korzystać z internetu w telefonie. (…)

W namiocie internetowym zawsze jest Surez. Pracuje z łóżka. Pod plecami układa poduszki, żeby mieć podparcie, siedzi w ciepłej puchowej kurtce, a gdy temperatura spada, do połowy ciała naciąga śpiwór i kładzie sobie komputer na kolanach. Na zewnątrz wychodzi tylko na posiłki i do toalety. Cały czas kontroluje siłę sygnału, sprawdza, czy któraś z anten się nie popsuła, kontaktuje się z centralą w Katmandu. No i sprzedaje dostęp do internetu. U niego można kupić karty zdrapki. Pod szarym polem do zdrapania kryją się nazwa użytkownika i hasło. Trzeba je wpisać w telefonie za każdym razem, gdy łączy się z siecią. Nie wolno tej karty zgubić, a najlepiej zapisać dane lub zrobić im zdjęcie.

Surez jest kierownikiem technicznym, Pasang – kierownikiem terenowym. Pasang stawia w agencjach anteny zwiększające siłę sygnału, montuje osobiste rutery, potem kontroluje sprzęt. Dlatego nie spędza tyle czasu w namiocie, ile Surez. To on pali w środku i robi największy bałagan.

Surez na co dzień mieszka w Katmandu, ma żonę i małe dziecko. Tęskni, ale nic z tym nie może zrobić. Firma deleguje go do pracy w bazie co roku od sześciu lat. Będzie tu do końca maja. Pasang jest młodszy, ma modne okrągłe okulary, zafarbowaną na blond grzywkę, ubiera się w dżinsy i adidasy. Mieszka w Namcze Bazar. Lubi być w bazie. Nie ma żony ani dzieci, nie ma do kogo tęsknić. (…)

Mingma każdemu członkowi wyprawy zapewnił największy pakiet internetowy, ten z 10 GB. Za nasz kontakt ze światem zapłacił kilka tysięcy dolarów.

Gdy mój pakiet się kończy, kolejny muszę kupić już sama. 200 dol. pożyczam od Mingmy. Nie chcę wydawać swoich, bo będą mi jeszcze potrzebne. Pieniądze oddam mu później, w Katmandu. Z kieszeni puchowej kurtki Mingma wyciąga olbrzymi plik banknotów, odlicza 20 tys. rupii nepalskich, wręcza mi, a w pliku nawet nie widać różnicy.

Więcej już nie wydam na internet, zresztą i tak nie byłoby mnie stać. Gdy skończą mi się gigabajty, Surez będzie dawał mi swój internet firmowy, a na odchodne dostanę od niego jeszcze kartę zdrapkę, która będzie działać też poza bazą.

•

Kiedy nie ma naszych wspinaczy, panuje spokój. Wtedy odpoczywam. Więcej czasu spędzam w naszym obozie, robię zdjęcia, nadrabiam zaległości w pisaniu, notuję, kogo, gdzie i kiedy muszę jeszcze odwiedzić.

Nadal źle sypiam. Dźwięk lawin nie powinien mnie już ruszać, a jednak budzę się przy każdym większym hałasie. Przez to niespanie, przez wysokość, doskwierające zimno, jestem coraz słabsza. Rano wstaję i kręci mi się w głowie, przemierzając bazę, coraz bardziej powłóczę nogami, łatwo dostaję zadyszki, mimo że już powinnam być świetnie zaaklimatyzowana. (…) Pora się wybrać do lekarzy, tym razem nie towarzysko.

Skarżę się, że zamiast coraz lepiej, czuję się coraz gorzej, i bardzo mnie to martwi. Dee zadaje mi szereg pytań i z grubsza mnie bada. Mierzy temperaturę, ciśnienie, sprawdza podstawowe odruchy, zagląda w oczy, gardło i uszy. Mówi, że nic mi nie jest, ale powinnam sobie zrobić przerwę, zejść niżej (…).

Zawsze mam jakiś powód, żeby nie opuszczać bazy. Pod nieobecność wspinaczy więcej czasu spędzam z naszymi szerpami. Poza Mingmą i Dawą Gyalje, którzy zostali z teamami, wszyscy zeszli do obozu. W ostatnich dniach często chodzili z depozytami, coraz wyżej wynosili namioty, tlen, jedzenie, żeby trzy wyższe obozy były przygotowane na rotacje. Od dwóch dni odpoczywają, a dziś w nocy znów wyjdą. W trakcie wyprawy pokonają Icefall kilkanaście razy. Nie kryją, że w jakimś stopniu się go boją. Dobrze pamiętają tragedię z 2014 r., ale i bez tego wspomnienia trudno jest nie bać się tego miejsca. Obiecuję, że gdy będą w górze, codziennie – jak robią to buddyści – trzy razy okrążę stupę zgodnie z ruchem wskazówek zegara, żeby bezpiecznie zeszli do bazy.

Namioty szerpów rozrzucone są po zboczu wzniesienia schodzącego do naszego obozu. Najwyżej rozbity znajduje się na szczycie górki internetowej, zaraz przy antenie, najniższe stoją naprzeciw mes, po drugiej stronie dużej lodowej kałuży – bajora wypełnionego lodem. Żeby dostać się do mes, można ją albo obejść, albo przejść wąską ścieżką ułożoną z kamieni. Szerpowie śpią po dwóch w namiotach igloo. Pośrodku obok siebie leżą dwa materace, po bokach ubrania, sprzęty, najpotrzebniejsze rzeczy. Te, którym nie zaszkodzi mróz, można zostawić w całkiem przestronnym przedsionku. Teraz szerpowie mają czas na porządki w namiotach, sprzęcie, na kąpiele i pranie. Wokół namiotów na rozgrzanych kamieniach suszą się ubrania, wietrzą czerwone kombinezony.

Najwięcej rozmawiam z Dawą Tenzingiem Sherpą. Tak jest właściwie od samego początku. Dawa bardzo dobrze mówi po angielsku i już któregoś z pierwszych dni podszedł do mnie i powiedział, że zna jedną Polkę, Magdę właśnie. Może więc spędza ze mną czas trochę z sentymentu, ale i tak mam wrażenie, że po prostu

Everest Link, firma, która udostępnia w bazie internet, jest monopolistą i ustala ceny według własnego widzimisię.

W ciepłe dni ludzie rozsiadają się wokół namiotu i szukają lepszego zasięgu. Im dalej od niego, tym trudniej połączyć się z domem.

eprasa.pl fe65c2f2d1

Szerpowie suszą pranie na kamieniach.

Szerpa Dendi.

mnie lubi. Mnie także miło spędza się z nim czas. Gdy zajdę do kuchni, zawsze wyjdzie z mesy, uśmiechnie się, zapyta, co słychać, czy może chciałabym się czegoś napić.

Ja się cieszę, że go tutaj poznałam, on wolałby być zupełnie gdzie indziej. Dawa pochodzi z Rolwaling, ma żonę i dwójkę dzieci. Nie chce, żeby się wspinały. On wspina się już 20 lat – połowę swojego życia – na Evereście stanął 11 razy. Ale Dawa nie lubi się wspinać, boi się, wolałby robić coś innego, ale nic nie poradzi, taka praca – w Nepalu trudno o lepiej płatną. Jego o trzy lata młodszy brat, Kilu, robi to samo, w tym roku też pracuje u Mingmy. Obaj jak na Nepalczyków są bardzo wysocy, wyżsi ode mnie, obaj są szczupli. Dawa wygląda dużo poważniej, Kilu – dość młodzieżowo. Włosy obcięte krótko przy skórze, w uchu złoty kolczyk, po bazie chodzi w dżinsach, na bluzkę z długim rękawem często wkłada T-shirt. Na Everest zaczął się wspinać w 2002 r., na szczycie stanął dziewięć razy. Podobnie jak Dawa, wspina się też na inne ośmiotysięczniki. Praca jest ciężka, ale ją lubi, bo co innego mógłby robić? Po sezonie obaj wyjeżdżają do Norwegii i tam też pracują jako przewodnicy. Wspinają się z klientami na lodowce, a czasem pracują po prostu jako pomoc hotelowa. Rzadko są w domu, niewiele czasu spędzają z rodzinami. Kobiety Szerpów są do tego przyzwyczajone.

Po południu długo jest dobra pogoda, o 16.00 nadal świeci słońce, jest ciepło, co zdarza się rzadko. Postanawiam wykorzystać tę okazję i pytam Dawę, czy mogłabym zrobić zdjęcie jemu, innym szerpom i kucharzom. Zgadza się, pozostali tak samo. Rozstawiam studio między mesą szerpów a kuchnią, pod foliowym zadaszeniem. Czarne tło przyczepiam do sznurka rozciągniętego między dwoma namiotami, stawiam przed nim składany taboret i proszę szerpów do zdjęcia. Pierwszy jest Dawa, po nim kolejni. Trochę się wygłupiają, trochę śmieją z siebie nawzajem, przedrzeźniają, naśladują poważne miny modela na krześle, próbują go rozśmieszyć. Potem sami siadają na taborecie i już się nie śmieją, bo pozowanie jest jednak dość stresujące. Gdy kończymy zdjęcia, zwijam studio. Wracam do mojej mesy, włączam komputer. Zdjęcia mam zapisane na dwóch kartach pamięci w aparacie, ale przerzucam je też na dwa dyski zewnętrzne.

Po kolacji znów idę do szerpów, bo zaprosili mnie do siebie. Po lewej stronie stołu od wejścia siedzi Kilu, Ang Jambu, Nima i, na samym końcu, Tamting. Po prawej Dendi, ja siadam obok niego, dalej koło mnie są Dawa i Pemba. W mesie nie ma ogrzewania, ale między chłopakami nie jest mi zimno. Opowiadają o pracy. O trudzie, o ryzyku, o strachu. Mówimy o Icefallu, o tragediach na Evereście. O agencjach, dla których pracowali wcześniej i w których zarabiali gorzej niż teraz, mimo że klienci płacili dużo więcej niż u Mingmy. O nie zawsze sprawiedliwym traktowaniu. Dobrze pracuje im się z Mingmą, są zadowoleni. Za rok też chcieliby pracować u niego.

Najsilniejszy z grupy, mimo niewielkiego wzrostu i całkiem sporego brzuszka, jest Tamting Sherpa. Ma okrągłą twarz, pod dolną wargą kilkanaście czarnych włosów, tworzących tycią kozią bródkę. W oczach ma spokój, a wokół oczu delikatne kurze łapki, od uśmiechania się. Tamting ma żonę i dwójkę dzieci, podobnie jak Dawa pochodzi z Rolwaling. Wspinać zaczął się 22 lata temu, w wieku 23 lat. Pierwsze było K2, ale wtedy nie udało się zdobyć szczytu. Pierwszy raz na Everest wszedł w 1998 r., od tamtej pory na dachu świata stanął 12 razy. Z klientami wspina się na większość pozostałych ośmiotysięczników. W tym roku prosto po Evereście jedzie pod K2, potem pod Broad Peak. Lubi się wspinać, ale przewiduje, że za pięć lat nie będzie już w stanie tego robić. Wtedy może uda mu się otworzyć jakiś mały interes w Katmandu.

Nima, który szedł z nami do bazy, wygląda na zmęczonego, ma bardzo przekrwione oczy, pożółkłą twarz, chodzi zgarbiony. Mingma mówi, że Nima ma problem z alkoholem. Że wielu szerpów pije za dużo. Ponoć to przez zimno. Mnie się wydaje, że może to ze strachu przed górą. Że ten strach widać w ich oczach. Nima ma 36 lat, mieszka w wiosce Thame z żoną i dwoma synami. Nie chce, żeby synowie się wspinali. Zależy mu, żeby zapewnić im lepszą edukację, bezpieczeństwo, przyszłość. Możliwość wyboru. Do tej pory Nima miał

FOT. MAGDA LASSOTA

eprasa.pl fe65c2f2d1

stuprocentową skuteczność na Evereście – na dziewięć prób dziewięć razy stanął na szczycie.

Dendi jest najwyższy ze wszystkich naszych szerpów. Chudy, o pociągłej twarzy i lekko przygarbiony, przypomina mi Lucky Luke'a. Dużo pali, w kieszeni zawsze ma paczkę papierosów, a pod kurtką zapalniczkę przymocowaną taśmą klejącą do żółtego sznurka na szyi. Na tym samym sznurku zaraz nad zapalniczką przymocowany jest balsam do ust firmy Himalaya. Dendi, podobnie jak Kilu, ubiera się dość młodzieżowo: nosi T-shirty w różne wzory, kolorową bufkę, czapeczkę z daszkiem i kolorowe okulary przeciwsłoneczne. Dendi jest u szerpów DJ-em. Zna zagraniczne hity, które lecą teraz w radiu na całym świecie. Puszcza je z telefonu, który przez bluetooth jest połączony z małym głośniczkiem. Muzykę słychać w całym obozie. Dendi ma żonę, jednego syna i też nie chciałby, żeby chłopak musiał iść w jego ślady. Wspina się od 10 lat, na Evereście był siedem razy. Lubi swoją pracę, na pytanie, czy wolałby robić coś innego, nie potrafi odpowiedzieć – nigdy nie miał możliwości wyboru. Mówi, że zazwyczaj się nie boi, czasem tylko nachodzą go złe myśli. Stara się je odganiać. Ocenia, że będzie się wspinać do pięćdziesiątki. To jeszcze osiem lat.

Nima miał stuprocentową skuteczność na Evereście – na dziewięć prób dziewięć razy stanął na szczycie.

Ang Jambu i Pemba zawsze trzymają się razem, śpią w jednym namiocie, razem przychodzą do mesy, wychodzą z niej, gdy jest czas i ładna pogoda, razem wygrzewają się w słońcu przed swoim igloo. Niechętnie pozują do zdjęć.

– Takich brzydkich twarzy nie ma co fotografować – mówi Pemba, zerkając spod swojej wielkiej futrzanej czapki.

Nie bardzo chcą też rozmawiać o sobie. W porządku, rozumiem. Nie zamierzam naciskać.

Dawa podaje mi metalowy kubek, nalewa do niego rum. Cisza, wszyscy przyglądają się i czekają, jak zareaguję. Podnoszę kubek do ust, po zapachu już wiem, że mi nie posmakuje. Zamykam oczy, wstrzymuję oddech, wypijam malutki łyczek i zaraz się krzywię. Wszyscy się śmieją. Pijemy i rozmawiamy dalej. (…) Tego wieczoru dużo słuchamy muzyki, głównie piosenek o miłości, dużo się śmiejemy, głównie z naszych wspinaczy. Udaje mi się zapomnieć, że jestem zmęczona, że nie zawsze jest mi tu dobrze. Tego wieczoru lepiej poznaję tę drugą stronę everestowskiego medalu. Idę spać późno. W nocy nie obudzi mnie żadna lawina.

Fragmenty książki Magdy Lassoty *W cieniu Everestu*, SQN, Kraków 2020

eprasa.pl fe65c2f2d1

Bartosz Rumieńczyk
Korespondencja z Włoch

Uszy słyszą jedno, oczy widzą drugie

Na Sycylii przyjazd setek migrantów nie robił na nikim wrażenia, jakby stali się niewidzialni

Migranci oczekują na rejs na Sycylię, marina na Lampedusie, sierpień 2020 r.

Zrezygnowani po godzinie krążenia wokół Campobello di Mazara na Sycylii zaczepiamy staruszka, który rowerem mija nasze wlokące się niepewnie auto, i na migi tłumaczymy, kogo szukamy. – *Ragazzi neri?* – pokazuje na swoją twarz, pytając, czy szukamy ciemnoskórych mężczyzn. – *Si!* – To jedźcie za mną.

1. *Ragazzi neri* to imigranci, często nielegalni i często niechciani. Ich podróż zaczyna się w Afryce lub w Azji. Europa zauważa ich, dopiero gdy gumowe pontony przybijają do brzegów. Tak było wczesną jesienią ubiegłego roku na Lampedusie, gdy w środku szalejącej pandemii na wyspie ogłoszono stan wyjątkowy. Burmistrz obawiał się, że wakacyjny kurort, tak popularny wśród samych Włochów, zamieni się w drugie Lesbos.

Niedługo przed wprowadzeniem stanu wyjątkowego wyspę odwiedził były szef włoskiego MSW Matteo Salvini, niegdyś twarz włoskiej polityki antyimigracyjnej. Grzmiał, przestrzegając rodaków przed zagrożeniem, jakim mają być migranci, i przed koronawirusem, który mieli przynieść. Przekaz podjęły antyimigranckie media, również w Polsce.

TVP w dramatycznych relacjach z wyspy, a później z Rzymu, mówiła, że Lampedusa pęka w szwach. I faktycznie ośrodek dla imigrantów, tzw. *hot spot*, przewidziany na ok. 90 osób, musiał w tych dniach ich pomieścić około tysiąca. Ludzie spali pod gołym niebem, na porozkładanych na ziemi materacach i kartonach, po zakupy wychodzili przez dziurę w siatce, a z miasta, gdy zbyt długo zasiedzieli się na murku pod sklepem, byli przeganiani przez policję, bo Lampedusa pękała w szwach także z innego powodu, czego TVP już nie zauważała.

Wreszcie zniesiono restrykcje, a lokalna branża turystyczna zaczęła wstawać z kolan. Wieczorami trudno było o wolny stolik przy głównym deptaku Via Roma, podobnie jak trudno było znaleźć włoskiego turystę, który przejmowałby się obostrzeniami sanitarnymi. Na kontynencie za brak maseczki groziły wysokie mandaty, na wyspie nawet policjanci nosili je po włosku – na łokciach. Wydaje się więc, że jeśli istniało jakiekolwiek zagrożenie epidemiczne, to przyszło tu z Europy, nie z Afryki.

Ostatecznie Lampedusa nie zamieniła się w Lesbos – liczbę ludzi w ośrodku zmniejszono, przewożąc ich na Sycylię. Mówił nam o tym nieoficjalnie pracownik Fronteksu, z którym rozmawialiśmy przed wejściem do ośrodka. Widzieliśmy też załadunek migrantów na statek wycieczkowy, co cieszyło się sporym zainteresowaniem zarówno mediów, jak i turystów, którzy wracali tym samym rejsem. Ale już na Sycylii przyjazd setek osób nie robił na nikim wrażenia. Jakby przybysze stali się niewidzialni, a szum medialny zostawili za sobą na Lampedusie.

2. Zjeżdżamy z głównej drogi i parkujemy auto, tam gdzie wskazał nam staruszek. Polana wydaje się opustoszała. Nieopodal stoi dostawczak, a wokół rozsypane są ni to domki, ni to szałasy. W głębi słyszymy głosy.

– Dzień dobry, jak się pan miewa? – zagajamy z oddali. Mężczyzna zaprasza nas do siebie. Przynosi plastikowe krzesła, rękawem przeciera z kurzu stolik. Siadamy w cieniu rozłożystego drzewa i zerkamy na jego domostwo – rozsypujący się barakowóz. Prosi, by nie robić mu zdjęć ani nie pisać, jak ma na imię; będziemy go nazywać Ibrahim. Do Włoch dotarł w 2011 r. z Gwinei, tak samo jak ci, którzy docierają dziś – łodzią, przez Lampedusę.

– Wtedy *hot spot* także był przepełniony. Żeby się nas pozbyć, dali nam pozwolenia na pracę i wypuścili – wspomina. – A gdy pozwolenie wygasło, trzeba było się starać o przedłużenie. Jak ktoś miał pieniądze i dokumenty, mógł próbować coś załatwić. Ja akurat nie miałem.

Dziś obóz jest opustoszały i przypomina wysypisko śmieci. Ibrahim wyjaśnia, że większość mieszkańców wyruszyła w inne części wyspy za pracą. Pytamy, do kogo należy furgonetka, ale Ibrahim udaje, że nie rozumie, mimo że mówi płynnym angielskim, a potem zmienia temat.

3. Opowiadając o warunkach pracy na włoskich polach, Yvan Sagnet sięga po telefon i pokazuje zdjęcia. Okolica jak slamsy: domy z kartonu, z plastiku, bez bieżącej wody. Auta, którymi ludzie są dowożeni na plantacje, często nie mają szyb, jak dostawczak, który stoi pod Campobello di Mazara.

– To funkcjonuje na zasadzie łańcuszka, głuchego telefonu. Ktoś słyszał gdzieś o pracy i przekazuje informacje innym. Czasem płynący do Europy wiedzą od razu, na które plantacje jechać. Zresztą to działa nie tylko wśród ludzi, którzy płyną do Europy. Na włoskich plantacjach pracują również mieszkańcy Europy Wschodniej i Środkowej, także Polacy – wyjaśnia Sagnet.

On sam przyjechał z Kamerunu do Europy na studia, więc z punktu widzenia obowiązującego prawa legalnie. Był stypendystą jednego z turyńskich uniwersytetów. Podczas wakacyjnej przerwy, jak wielu młodych ludzi na całym świecie, potrzebował

eprasa.pl fe65c2f2d1

dorobić. Na włoskich plantacjach poznał, czym jest system *caporalato* – nielegalnego pośrednictwa pracy, które bardziej przypomina mafię czy wręcz współczesne niewolnictwo.

– Praca po 10-12 godzin za 2-3 euro za godzinę. Z tej pensji pracownicy płacą: 5 euro za transport, 3,50 za bułkę, 1,5 euro za wodę, prowiant muszą kupić od *caporale*, bo w pracy nie ma przerw na pójście do sklepu, a wyjazd do pracy jest nad ranem, powrót w nocy – wylicza. – W sumie z dziennej stawki odpada połowa.

Caporali wynajmowani są przez samych plantatorów. Czasem rekrutują się ze społeczności migranckiej, z koczowisk, bywa, że nawet z ośrodków dla migrantów.

4. Sagnet był świadomy swojego uprzywilejowania. – W każdej chwili mogłem rzucić tę pracę, wyjechać z getta i wrócić do Turynu, gdzie studiowałem.

Ale zamiast uciec, postanowił działać. – Bardzo trudno było namówić ludzi na protest – opowiada. Tak naprawdę nie miał nic do stracenia. Był studentem, był „legalny", miał papiery. A papiery to wszystko, jak się ich nie ma, nie ma się nic. Zostaje tylko strach, niemoc i zgoda na każdą ewentualność pozwalającą przetrwać. Gdyby nie Yvan Sagnet, być może nie pisalibyśmy dziś o *caporalato*. Stał się twarzą walki ze współczesnym niewolnictwem we Włoszech, a jego organizacja No Cap, w luźnym tłumaczeniu „wolni od *caporalato*", rozdaje certyfikaty firmom, które zatrudniają pracowników zgodnie z prawem i zasadami etyki.

Ale to nie znaczy, że system został pokonany.

5. Statek z migrantami przybija na Sycylię wieczorem i rano. W Porto Empedocle stoją też uziemione jednostki organizacji pozarządowych, którym Europa za wszelką cenę chce utrudniać ratowanie ludzi na morzu: „Sea-Watch 3" i „Ocean Viking". Oficjalnie: statki nie spełniają norm technicznych.

Czasem ludzie, którzy płyną do Europy, wiedzą od razu, na które plantacje jechać.

Migranci są przejmowani przez miejscowy Czerwony Krzyż, a następnie pakowani do autokarów. Nadzorujący operację policjanci bez entuzjazmu zerkają na nasze legitymacje prasowe. Oprócz nas jest tu dwóch lokalnych reporterów, którzy po obfotografowaniu miejsca wracają do redakcji. Mężczyzna, który stoi przy wesołym miasteczku, mówi: – Trzeba ich wysłać do Niemiec, to bogaty kraj, niech im pomaga.

Wyjazd z Porto Empedocle zajmuje dobrych kilka godzin. Ośrodek dla imigrantów znajduje się ok. 50 km stąd. Przejazd konwoju kilku autokarów i towarzyszących im radiowozów przebiega sprawnie. Policja wstrzymuje po drodze ruch, aby nie było przestojów na rondach i skrzyżowaniach oraz by żadne auto nie rozbiło zwartej kolumny. Na miejscu cisza i spokój. Przed bramą czeka kilku Bengalczyków, by złożyć podanie o przedłużenie zgody na pobyt. Aż trudno uwierzyć, że ten ośrodek wzbudził tak wielkie emocje w mediach, gdy donoszono o ucieczce grupki mężczyzn, którzy mogli być nosicielami koronawirusa.

Ale z ośrodków ludzie „uciekają" regularnie, czyli, mówiąc mniej sensacyjnie, wypadają z systemu, trafiają na plantacje wprost w ręce *caporali* i znów stają się niewidzialni.

6. W ośrodku dla migrantów w sycylijskiej Vittorii rozmawiamy z tymi, którzy czekają na decyzję, co dalej się z nimi stanie. Ośrodek prowadzony jest przez Kościół ewangelicki, który oferuje nocleg, pomoc prawną i naukę języka.

Edwin pochodzi z Nigerii, ma niewiele ponad 20 lat. Opowiada, że dostał ochronę międzynarodową po półtora roku oczekiwania. Gdy mówimy, że to bardzo długo, zaczyna się śmiać, bo jego koledzy czekają po dwa, trzy lata.

Co robić w tym czasie? Czy można pracować w oczekiwaniu na papiery? – Tak, pracowałem i teraz też pracuję. Ja całe życie pracuję – mówi. I dodaje, że we Włoszech, jeśli tylko się chce, można pracę znaleźć. – Bardzo łatwo jest tu o pracę w rolnictwie.

O pracę łatwo, ale nie jest to praca łatwa, bo trzeba spędzać długie godziny w polu, w upale, często w południe, gdy słońce wyciska siódme poty. – Większego wyboru nie ma, albo idziesz pracować w pole, albo nie pracujesz wcale – komentuje Edwin.

Pytamy o warunki zatrudnienia i przede wszystkim o umowę, co jest kluczowe dla migrantów. – To już zależy od pracodawcy, ja najczęściej umowę miałem, ale moi koledzy mieli różnie – wyjaśnia. – Gdy mam umowę, znam swoje prawa. Poza tym, jeśli mam umowę, mogę potem wykazać w urzędzie, że pracowałem. To działa na plus dla migranta, łatwiej może dostać zgodę na pobyt, gdy wykaże, że płaci podatki zgodnie z prawem. A gdy pracujemy bez umowy, to tak naprawdę nikt nie wie,

eprasa.pl fe65c2f2d1

Obozowisko pod Campobello di Mazara na Sycylii.

że pracujemy, a w urzędach traktują nas jak bezrobotnych migrantów, którzy snują się całymi dniami po ulicach i nic z tym nie robią. Jednak wielu moich kolegów musi pracować bez umowy. Ktoś powinien zrobić z tym porządek!

7. Ktoś powinien zrobić z tym porządek – zdaje się wtórować teczka pełna papierów, którą pokazuje nam Ahmed w obozie w Cassibile. Jest tu nawet nazwisko kierowcy i numer rejestracyjny auta, które potrąciło Ahmeda. W normalnych warunkach mógłby iść na policję, ale nie ma najważniejszego – pozwolenia na pobyt ani paszportu. Jest tu nielegalnie, a że kuleje, nie bardzo nadaje się do pracy. Zresztą teraz w okolicy niełatwo o zatrudnienie, o czym opowiada razem z Imo i dwójką znajomych. Siedzimy w cieniu, łuskamy migdały i słuchamy, jak działa *caporalato* w praktyce.

Imo: – Praca jest za głodową stawkę, bez umowy i bez ubezpieczenia. I jest wtedy, kiedy plantator potrzebuje.

To schemat wyzysku na plantacjach w całej Europie. O tym samym opowiadają migranci w Mar de Plástico, hiszpańskim zagłębiu szklarniowym w Almerii, skąd pochodzą m.in. pomidory. Włoskie uprawiane są tak samo.

– A co, jeśli plantator nie ma dla was pracy?

– Nikogo nie interesuje, co wtedy z nami się dzieje – mówi Imo, co tłumaczy, dlaczego obozowiska pustoszeją. Ludzie migrują dalej, tam, gdzie aktualnie trwają zbiory.

Yvan Sagnet, założyciel organizacji No Cap.

– A policja? Nie robi wam problemów?

Mężczyźni wybuchają takim samym śmiechem, jakim śmiał się Ibrahim z Campobello di Mazara. Wszyscy wiedzą, że są tu nielegalnie, ale nikomu to nie przeszkadza, bo wszystkim po prostu się opłaca.

8. Gdy pytamy Yvana Sagneta, czy w system *caporalato* zaangażowana jest włoska mafia, zaprzecza i mówi, że mafia to nie faceci w drogich garniturach z pistoletami, ale wielki biznes, który dyktuje ludziom swoje warunki.

– Plantator musi sprzedać pomidory po jak najniższej cenie. Jeśli zażyczy sobie więcej, nie sprzeda produktu, bo cenę dyktuje odbiorca. Trzeba ciąć koszty produkcji. Paliwo drożeje, wszystko drożeje – a cena pomidora musi być niska, więc plantator oszczędza na pracowniku. Im mniej może mu zapłacić, tym lepiej – wyjaśnia.

Kim jest odbiorca? Sagnet wymienia nazwy sieci handlowych, które rozpoznajemy bez pomocy tłumacza, bo doskonale znamy je z Polski, ale prosi, by w tym miejscu go nie cytować.

– Wielkie sieci mogą sobie pozwolić na wojny cenowe, bo mają mocną pozycję na rynku – dopowiada Lisa Persiani z firmy La Vita Bio. – Oczekują, że plantatorzy oddadzą im produkt za półdarmo, więc ci muszą sięgnąć po pracowników, którzy będą robić za półdarmo. *Caporali* słyszą zatem: znajdźcie mi 10, 15, 50 pracowników. I nic więcej plantatorów nie interesuje – opisuje system.

La Vita Bio to firma rodzinna, działa w sektorze żywności ekologicznej i jak tłumaczy sama Persiani, nie jest konkurencją dla wielkich graczy, chce być dla nich alternatywą. Persiani wierzy w zmianę świadomości konsumenta, w to, że będzie gotów zapłacić nieco więcej za towar i zdrowy, i etycznie wyprodukowany. Jest dumna, że firma, w której pracuje, ma certyfikat No Cap. Ale to jedyna taka firma na całej Sycylii.

9. W zmianę świadomości konsumenta, ale także w uświadamianie pracowników na plantacjach, wierzy też Yvan Sagnet. Jego protest doprowadził do zmiany legislacyjnej – tuż po nim wydano pierwsze prawo uderzające w *caporalato*, a w 2016 r. system został uznany za przestępstwo. Ale o tym, że to stanowczo za mało, mówią historie migrantów.

10. Imo z Senegalu: – Nawet jakbym chciał wrócić do domu, to nie mam jak. Nie mam ani pieniędzy, ani dokumentów.

Edwin z Nigerii: – Doświadczyłem rasizmu we Włoszech, ale myślę, że to zjawisko jest obecne wszędzie. W Vittorii raczej nie wychodzę z ośrodka, pilnuję się, chodzę do pracy, potem siedzę w ośrodku.

Ibrahim z Gwinei: – Czasem dzwonię do domu i mówię, gdzie mieszkam, ale mi nie wierzą. Bo uszy słyszą jedno, ale oczy widzą drugie.

Bartosz Rumieńczyk
Współpraca i zdjęcia Anna Mikulska

eprasa.pl fe65c2f2d1

Domowy trening – czy to działa?

Żeby ćwiczyć, nie trzeba siłowni

Robiąc przysiad, pamiętaj, aby linia kolan nie przekraczała linii palców stóp.

Paula Leśniewska

Trenuj w domu! Ćwicz w domu bez sprzętu! – krzyczą nagłówki blogów sportowych. Co to właściwie znaczy? Czy domowe ćwiczenia są w stanie zastąpić siłownię?

Malwina Dmowska, trenerka personalna, mówi, że jak najbardziej. Do prozdrowotnego treningu nie potrzeba specjalistycznego sprzętu. Wystarczą odpowiednio dobrane ćwiczenia, szczególnie kalisteniczne, czyli takie, które wykorzystują wyłącznie masę ciała: przysiady, planki (deski), pompki – wylicza Malwina Dmowska na blogu Warzywa i Owoce – na szczęście (warzywaiowocenaszczescie.pl).

Zanim jednak wykonamy pierwszy przysiad, warto skonsultować się z lekarzem. W starszym wieku lub w przypadku siedzącego trybu życia trzeba pamiętać o skontrolowaniu ciśnienia i zbadaniu wzroku.

Przed ćwiczeniami konieczna jest krótka, 15-, 20-minutowa rozgrzewka – zapobiega uszkodzeniom mięśni, wspomaga ich wyjściową siłę i pobudza układ nerwowy. Ciało świetnie rozgrzewają np. krążenia – głowy, barków, bioder, nóg i stóp. Jako wstęp do treningu możemy potraktować ćwiczenia oddechowe, które pomagają zwiększyć wydolność płuc, działają relaksująco i poprawiają samopoczucie. Jedno z nich polega na wdychaniu powietrza nosem i powolnym wydychaniu przez wargi złożone jak do gwizdu. Albo inaczej: trzeba stanąć w lekkim rozkroku, wziąć oddech i jednocześnie unieść ręce, a przy wydechu opuścić ręce i wykonać skłon do przodu. Przy każdym ćwiczeniu oddech powinien być głęboki i spokojny. Takie ćwiczenia można wykonywać też na zakończenie treningu.

Ćwiczenia siłowe można zacząć od przysiadów, choć powinny ich unikać osoby z bólami stawów (mogą je niepotrzebnie obciążyć). Prawidłowo wykonywane przysiady pomagają budować mięśnie nóg, wzmacniają stawy i ścięgna, rozwijają mięśnie brzucha i pośladków. Jednak przez lata ten rodzaj ćwiczeń nie cieszył się dobrą sławą – miały być przyczyną przeciążania stawów kolanowych. Żeby tego uniknąć, trzeba pamiętać o rozgrzewce i poprawnej technice. Opisuje ją np. blog Po Zdrowie z Julitą (pozdrowiezjulita.pl).

„Przede wszystkim pamiętaj, by nie odrywać pięt od podłogi. Stopy rozstaw na szerokość bioder, równolegle do siebie (lub delikatnie na zewnątrz). Wyprostuj się i napnij mięśnie brzucha. Powoli i stopniowo obniżaj ciało, przesuwając biodra do tyłu tak jak przy zwykłym siadaniu np. na krześle. Zrób przysiad. Nogi powinny być zgięte pod kątem prostym. Wróć do pozycji wyjściowej, mocno napinając pośladki. Pamiętaj o utrzymywaniu wyprostowanego kręgosłupa. Klatkę piersiową staraj się wysuwać do przodu, by uniknąć zaokrąglania pleców. Środek ciężkości ciała utrzymuj nad śródstopiem. Pamiętaj, aby linia kolan nie przekraczała linii palców stóp. Nie zapominaj o prawidłowym oddychaniu podczas ćwiczenia, wdychaj powietrze podczas schodzenia do dołu, a wydychaj podczas wyprostu nóg", instruuje blog.

Następnym ćwiczeniem jest tzw. plank, nazywany potocznie deską. Porusza mięśnie bioder, lędźwi i brzucha, które odpowiadają za stabilizację kręgosłupa i miednicy, a więc utrzymanie prawidłowej postawy ciała. To ćwiczenie jest często polecane przez fizjoterapeutów przy bólach kręgosłupa spowodowanych siedzącym trybem życia. Planki nie są natomiast wskazane dla osób z dyskopatią kręgosłupa.

Kasia Wojtacka, instruktorka rekreacji ruchowej i pilatesu, na blogu Życie na bosaka (zycienabosaka.pl) opisuje, jak wykonać podstawową

Plank, czyli deska, to ćwiczenie często polecane przez fizjoterapeutów na bóle kręgosłupa.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl fe65c2f2d1

wersję. Zaczyna od rozgrzania nadgarstków. Potem przechodzi do klęku podpartego. Dłonie ustawia w linii prostej pod barkami. Rozstawia szeroko palce, wciska je w matę i podnosi do góry mostek. Wyciąga głowę. „Brzuch napnij, lekko unieś do góry, ale nie rób »kociego grzbietu«. Zadrzyj palce stóp, tak aby stanęły na macie. Teraz wyprostuj nogi. Nie zmieniaj nic w ułożeniu kręgosłupa ani miednicy", tłumaczy Kasia.

Niewiele ćwiczeń domowych tak intensywnie wpływa na ciało jak klasyczne pompki. Działają na mięśnie klatki piersiowej, obręczy barkowej, na tricepsy, mięśnie brzucha, przedramion, pośladków, nóg i stóp. Poprawiają kondycję mięśni dolnego odcinka pleców, a więc sprzyjają utrzymaniu prawidłowej postawy ciała. Zbyt intensywnych pompek powinny unikać osoby mające problemy z układem sercowo-naczyniowym i oddechowym. Wtedy można spróbować delikatnych pompek przy ścianie. Wystarczy stanąć metr od niej, wyobrazić sobie, że ściana to podłoga i zrobić serię pompek. O czym trzeba pamiętać podczas ćwiczenia?

Mało ćwiczeń domowych tak intensywnie wpływa na ciało jak klasyczne pompki.

„Przede wszystkim – ułóż dłonie na wysokości klatki piersiowej, nie barków. Dzięki temu efektywnie rozwiniesz mięśnie klatki piersiowej, nie narażając się na kontuzję stawów barkowych. Napnij mocno mięśnie brzucha, ud i pośladków, nie wyginaj odcinka lędźwiowego! Pamiętaj również, że robienie pompek to nie tylko faza wyprostu rąk, ale także moment schodzenia do podłogi, który jest bardzo ważny – wykonuj go powoli, starając się w pełni kontrolować ten ruch", radzi blog Akademii Szkolenia Trenerów (ast.edu.pl). Ta sama uwaga dotyczy ćwiczenia przy ścianie.

Osoby o lepszej kondycji mogą ćwiczyć *burpees*, czyli sekwencję czterech ćwiczeń – przysiadu, deski, pompki i wyskoku. Nie są łatwe, ale dają świetne rezultaty. Angażują do pracy m. in. mięśnie nóg, bioder, pośladków, brzucha, ramion i klatki piersiowej. W badaniu Trusted Source z 2014 r. naukowcy dowiedli, że ćwiczenia, do których wykorzystujemy jedynie ciężar własnego ciała, są w stanie znacznie obniżyć ciśnienie krwi u dorosłych kobiet. A przy okazji świetnie spalają kalorie. W zależności od masy ciała od 9,5 do 15 kcal na minutę. Lepszy wynik uzyskały tylko ćwiczenia z linami treningowymi.

Jak widać, nie trzeba siłowni, żeby ćwiczyć. W 2017 r. „American Journal of Epidemiology" opublikował wyniki badań naukowców z Uniwersytetu w Sydney, którzy dowiedli, że osoby ćwiczące w domu dwa razy w tygodniu po 25 minut są o 31% mniej narażone na choroby nowotworowe niż osoby nieruszające się. Poza tym ćwiczenia fizyczne wspomagają sprawność intelektualną, opóźniają procesy demencji i postępowanie choroby Alzheimera. Warto!

p.lesniewska@tygodnikprzeglad.pl

OGÓLNOPOLSKI
TURNIEJ MAŁYCH FORM SATYRYCZNYCH
BOGATYNIA 2021
38.

Czekamy na zgłoszenia!
Do 2 kwietnia 2021 r. należy przesłać zgłoszenia na tekst satyryczny na adres: Stowarzyszenie Turnieju Małych Form Satyrycznych, ul. Sztygarska 21, 59-920 Bogatynia. Prace powinny być podpisane godłem (pseudonimem). W oddzielnej kopercie należy dołączyć swoje dane (imię i nazwisko, adres do korespondencji, adres e-mail, telefon kontaktowy). Tego samego godła (nicku) należy użyć przesyłając prace drogą elektroniczną (turniej.lgarzy@gmail.com)

I nagroda – 3000 zł, tytuł Księcia Łgarzy oraz statuetka "Złotego Kosy"!
Do 23 kwietnia 2021 r. zgłoszenia do głównego konkursu na krótką prezentacje sceniczną (w formie multimedialnej, wraz z kartą uczestnictwa) należy przesłać pod adres: Stowarzyszenie Turnieju Małych Form Satyrycznych, ul. Sztygarska 21, 59-920 Bogatynia (w przypadku linku, do wiadomości mailowej powinien być załączony podpisany skan karty uczestnictwa).

I nagroda – 5000 zł, tytuł "Króla Łgarzy" oraz statuetka Kozła!
Pojedynek Gości o Nagrodę Publiczności, to przegląd najciekawszych zjawisk na scenie kabaretowej i satyrycznej. Pojedynek odbędzie się w czasie koncertu Finałowego w dniu 29 maja 2021 roku w Bogatyni. Do udziału w pojedynku zaprasza organizator turnieju na podstawie rekomendacji.

Nagroda – 5000 zł oraz statuetka „Szczupłego Andrzeja" trafi do wybrańców bogatyńskiej publiczności.
Szczegółowe informacje dotyczące regulaminu konkursów oraz Kartę uczestnictwa można znaleźć na stronie internetowej www.turniej.com.pl

www.turniej.com.pl
ZAPRASZAMY Z UŚMIECHEM!

STOWARZYSZENIE TURNIEJU MAŁYCH FORM SATYRYCZNYCH W BOGATYNI
TURNIEJ ŁGARZY

eprasa.pl fe65c2f2d1

Państwo w państwie

Jak można zepsuć MSZ niewinnym w zasadzie ruchem organizacyjnym, pokazuje historia Inspektoratu Służby Zagranicznej. Otóż w czasach Polski Ludowej strażnikami ambasad byli żołnierze wojsk nadwiślańskich. Potem ich miejsce zajęli funkcjonariusze BOR i to rozwiązanie było chwalone. Za bezpieczeństwo ambasady odpowiadał rezydent i wprawdzie różnie to wyglądało, zwłaszcza gdy zaczynał budować sobie siatkę współpracowników w ambasadzie, ale przynajmniej był jakiś porządek. A potem przyszedł Radosław Sikorski ze swoimi pomysłami.

Tak powstał Inspektorat Służby Zagranicznej, który przejął wszystkie funkcje zabezpieczania ambasad. Zniknęli panowie z BOR, w ich miejsce pojawili się strażnicy, oczywiście na etacie w ISZ. Tę grupę zasilili różni ludzie, z policji, z jakichś służb, z administracji… To nierówna kadra. W centrali pojawili się rozmaici specjaliści od bezpieczeństwa ambasad. A to od bezpieczeństwa elektronicznego, a to od ochrony obiektu itd. Każdy ze swoim pakietem.

No i wprowadzono nową zasadę – odpowiedzialność za bezpieczeństwo ambasady zdjęto z ramion rezydentów tajnych służb, przerzucając ją na wyznaczonego pracownika ambasady. Teraz więc wygląda to w ten sposób, że takiego człowieka wyznacza się w centrali jeszcze przed wyjazdem. Otrzymuje on propozycję nie do odrzucenia, przyjmuje ją, a potem, żeby zapoznać się z nowym zakresem obowiązków, kierowany jest na szkolenie. Trwa ono… pięć dni. Z czego jeden dzień przeznaczony jest na pierwszą pomoc.

Przeszkolony w ten sposób dyplomata jedzie na placówkę. I tam co chwila musi odpowiadać na rozmaite pytania panów z ISZ, z centrali, wszak on odpowiada za bezpieczeństwo, a oni go nadzorują. I już po paru tygodniach wiadomo, że nie ma on czasu na nic innego. Co gorsza, wiedza, że to on odpowiada za bezpieczeństwo, staje się szybko wiedzą w korpusie. Koniec z jakimikolwiek kontaktami, bo po co utrzymywać bliskie relacje ze… szpiegiem?

W ten sposób do MSZ wepchnięte zostało w zasadzie państwo w państwie. Na dodatek absorbujące i bardzo ekspansywne. Bo kto chce odpowiadać za zlekceważenie procedur bezpieczeństwa?

A nie trzeba chyba dodawać, że zwierzchność nad inspektoratem ma dyrektor generalny, czyli wspominany wielokrotnie Andrzej Papierz. W ten sposób ma on w rękach kolejne narzędzie, by kontrolować dyplomatów, obok Biura Spraw Osobowych, Biura Finansowego, Biura Audytu itd.

Spójrzmy zresztą na strukturę MSZ. Dyrektor generalny nadzoruje 11 biur, wszystkie w teorii mające wspomagać pracę polskiej dyplomacji, ale to tylko teoria. Że trzyma te biura krótko, dowodzi choćby taki element – aż pięć jest kierowanych nie przez pełnoprawnych dyrektorów, wyłonionych w konkursie, ale przez p.o. zastępcę dyrektora. Czyli kogoś wybranego przez dyrektora generalnego po uważaniu, bez zwracania uwagi na konieczne kwalifikacje.

Tak oto ogon kręci psem. I ten ogon jest uważany za sól MSZ. A ta reszta, z departamentów merytorycznych, tylko za dodatek.

Attaché

Niepełnosprawność nie jest żadnym ograniczeniem. Vitória Bueno z Brazyli urodziła się bez rąk, mimo to osiąga sukcesy w balecie. Nz. z koleżankami z zespołu przygotowuje się do występu.

FOT. UESLEI MARCELINO/REUTERS/FORUM

eprasa.pl fe65c2f2d1

JOLKA

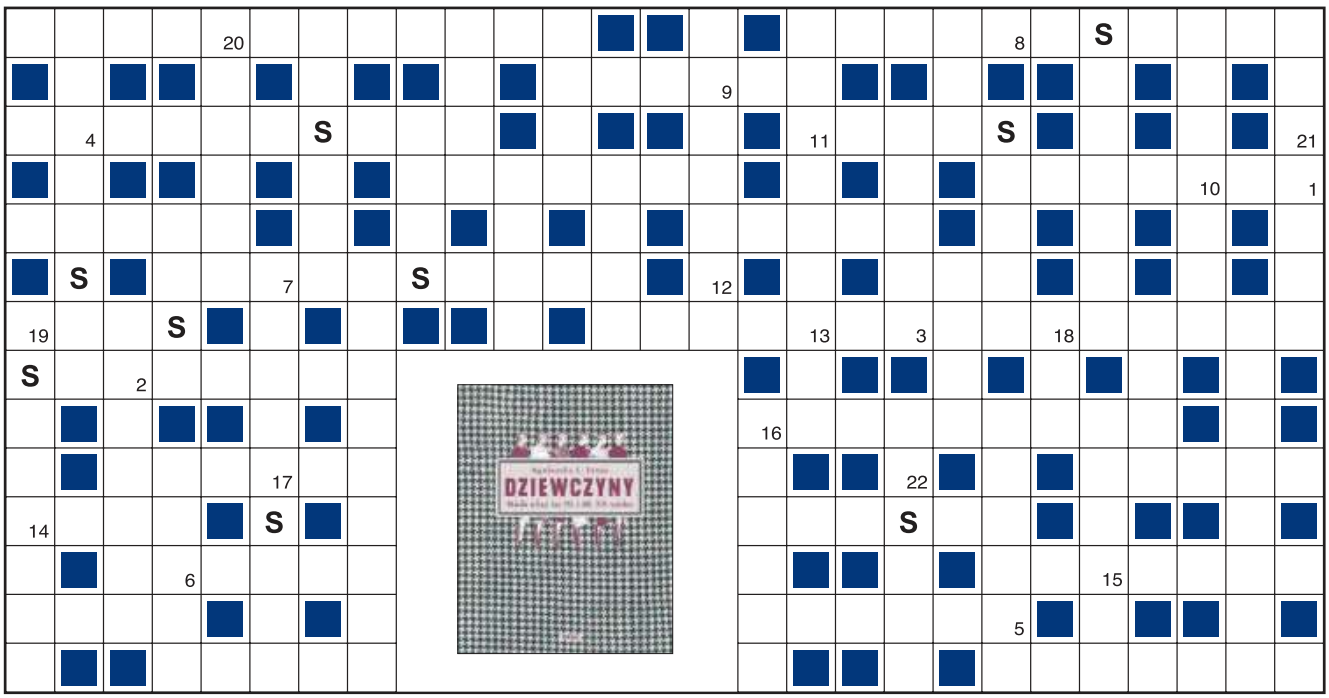

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery S ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- wyspa Kirke
- …MacGraw, zagrała w „Love Story”
- niezawodowe uprawianie sportu
- …Pacis Augustae wzniesiony przez Oktawiana Augusta
- złożony z jądra i elektronów
- główny składnik guacamole
- stopień Piłsudskiego z portretu Malczewskiego
- gdy na ukończeniu, to na dachu wiecha
- …wójta Alberta przeciw Władysławowi Łokietkowi
- dawniej lichy, prymitywny but
- góralska laska z toporkiem
- opowiadany, by rozbawić towarzystwo
- był montowany w trabantach
- bombarda lub kolubryna
- amerykańskie nałożone na Kubę
- Rewolucyjna Chopina
- o zespole niewzruszonych zasad, nakazów moralnych
- mięso na św. Marcina
- drzewo o szarej, gładkiej korze
- …Odrowąż, kanclerz Leszka Białego, biskup krakowski
- od Sudetów oddzielone Bramą Morawską
- chybione uderzenie w grze w piłkę lub fałszywy ton
- Michał Gröll, miał sklep pod godłem Poetów Narodowych
- demonstrant
- jednoślad z silnikiem o małej mocy
- błędny lub kulszowy
- 44. prezydent USA
- połączona kanałami ze Sprewą i Hawelą
- dobre wychowanie, ogłada towarzyska
- lokomotywa z tendrem
- ptak w tytule thrillera z Julią Roberts
- Błękitną nazywana Ziemia
- z konduktorem łaskawym w piosence
- immunoglobulina
- gdy z góry wiadomo, nic nie zaskakuje
- kobieta ze świadczeniem z tytułu niezdolności do pracy
- miłostka
- paczka papieru do drukarki
- kolący koszyczek łopianu
- miasto z Pałacem Kwirynalskim
- bokserowi do ćwiczeń, dziecku do zabawy
- mały nóż używany w chirurgii
- zajęcie flisaka
- ćwierkanie ptaków
- poufność, niejawność
- podał syna bogom na uczcie
- kiesa, sakiewka
- Trump już go nie zamieści
- Emil, minister skarbu u Buzka
- linijka wiersza
- wite i wrzucane do falującej wody
- policzkowe chomika
- lany w andrzejkowy wieczór
- rekonesans
- po nich dożynki

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-1001”. Do rozlosowania książki „Dziewczyny. Moda ulicy lat 70. i 80. XX wieku” ufundowane przez Wydawnictwo Arkady. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX. HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 28 lutego 2021 r.

Rozwiązanie „JOLKI-998” z nr. 6: *Niewiedza jest męcząca.*
Nagrody otrzymują: Iwona Aftewicz z Kobyłki, Bogumił Przybyło z Dobczyc, Zbigniew Zielina z Gdyni.

eprasa.pl fe65c2f2d1

PENETRACJE

RAFAŁ MATYJA,
HISTORYK I POLITOLOG

Kiedy przyjrzymy się strukturom i niedawnej historii PO, zobaczymy, że w Małopolsce była bardzo długo partią blisko związaną z Kościołem, niemal klerykalną, która jako jedyna partia w III RP urządzała co roku własne rekolekcje. W gruncie rzeczy jest to więc partia z wieloma działaczami o bardzo przychylnym stosunku do Kościoła katolickiego i pozycji, jaką zajmował on w polityce III RP.

KAROLINA FELBERG-SENDECKA,
EDYTORKA „DZIENNIKÓW" AGNIESZKI OSIECKIEJ

Osiecka jeździła zarówno do Londynu, który był mieszczański, konserwatywny, i tam miała kontakt ze środowiskiem Andersa, jak i do Francji, do Giedroycia, który był skłócony ze środowiskiem londyńskim. Widziała Francję i Wielką Brytanię utopione w podziałach społecznych. Widziała Stany Zjednoczone pogrążone w chaosie lat 60. Widziała, że podział na równych i równiejszych ma się tam dobrze, że do białych przestępców oddaje się strzały ostrzegawcze, a do czarnych – od razu w plecy. Widziała, że nawet w idealizowanej przez Polaków Ameryce można poczuć się podle, stać się przegrywem. Nie miała żadnych złudzeń co do demokracji na wzór amerykański, francuski czy brytyjski.

ADAM HAERTLE,
SERWIS ZAUFANA TRZECIA STRONA

Mówiliśmy o Rosjanach, którzy prowadzą działania w sieci, ale oni cały czas uczą się od Amerykanów. Pamiętamy, co Stany Zjednoczone robiły, a pewnie nadal robią, w Iranie, Wenezueli, Syrii, na Kubie. To Amerykanie kupili przed laty w Szwajcarii firmę Crypto AG, która produkowała urządzenia szyfrujące do ambasad na całym świecie. Warto przytoczyć żart z ostatnich tygodni. Dlaczego nie udał się szturm na Kapitol? Bo w Waszyngtonie nie ma ambasady amerykańskiej. Myślę, że polskie służby nie są na tyle dobre, żeby to robić, zwłaszcza że przy tej okazji łatwo jest wpaść.

JANUSZ GAJOS,
AKTOR

A co się tyczy kobiet w moim życiu, są tylko dwie: córka Agata z poprzedniego małżeństwa i żona Elżbieta, z którą jestem od 34 lat. Na początku nie wierzyłem, że to się w ogóle uda. Zobaczyłem ją po raz pierwszy na imprezie kabaretowej w Krakowie, w której brałem udział. Próbowałem zaprosić ją wtedy na kolację, ale zażartowała, że nie jest damą do towarzystwa. Po jakimś czasie pojechałem do Krakowa ze spektaklem „Baal" Bertolta Brechta. Elżbieta po przedstawieniu odwiedziła mnie w garderobie z kwiatkiem w ręku. Tym razem dała się zaprosić na kolację.

Mroźne cięcie. Gdy salony fryzjerskie w pandemii pozamykane, jedyną okazją do skorzystania z usług fryzjerki było spotkanie na zamarzniętym jeziorze Babelitis w Rydze.

FOT. GINTS IVUSKANS/AFP/EAST NEWS

Aby język giętki…

PROF. MONIKA PŁATEK O SOBIE
Falandysz mi uświadomił, że jestem socjaldemokratką. Zdecydowanie nią jestem.

CHRIS NIEDENTHAL O STRAJKU KOBIET
Cała w nich nadzieja, że obalą szkodliwy i niemoralny system.

PROF. JAROSŁAW FLIS O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM
Prezes raz za razem odrywa się od rzeczywistości i stan ten powtarza się już od dłuższego czasu.

WILHELM SASNAL O PRZODKACH
150 lat temu żaden z moich przodków pewnie nie umiał czytać i pisać, a ja, ich potomek, przeszedłem taką drogę.

ANDRZEJ MACHNOWSKI O WROTKACH
PiS zrobiło więcej, niż mogliśmy się spodziewać. Samo przypięło sobie wrotki, by się na nich wyłożyć.

KRYSTYNA JANDA O NOWYCH ROLACH
Najbardziej lubię ten moment, kiedy rodzi się we mnie, wykluwa postać, którą mam grać.

MARCIN ŚWIETLICKI O OGRANICZENIACH
Raczej podniecają i powodują, że się jest bardziej twórczym.

ANNA STARMACH O AUTORSKIEJ SUPEROWSIANCE
Gotuję owsiankę na wodzie lub mleku roślinnym. Później dodaję miechunkę, morwę, chia, orzechy i rodzynki, masło z pistacji, miód, banana, obowiązkowo cynamon, kardamon, mielony imbir i kurkumę. Nie jest to danie postne ani papka.

KATARZYNA GROCHOLA O SERIALACH
Jak zacznę oglądać, to muszę skończyć, wszystko jedno, ile ma sezonów.

JANUSZ JÓZEFOWICZ O CZUŁOŚCI
Jak mój ojciec wstydziłem się czułości. Czułość jest taka niemęska. Teraz żałuję, że tak rzadko przytulałem się do taty.

eprasa.pl fe65c2f2d1

Zielony Rudy 102

Sekretarz generalny NATO zaapelował do sił zbrojnych krajów członkowskich o walkę ze zmianami klimatu, m.in. w formie montowania na wozach bojowych paneli fotowoltaicznych. – Wiemy, że czołgi, myśliwce i okręty konsumują ogromne ilości paliw i emitują gazy cieplarniane, dlatego musimy szukać sposobów, by ograniczyć te emisje m.in. poprzez paliwa alternatywne i panele słoneczne – oświadczył Jens Stoltenberg. Dodał, że ograniczenie zależności operacji militarnych od zapasów paliw kopalnych przyniesie korzyści ekologiczne, ale także „podniesie wojskową skuteczność". Plutonowy Jeleń lubi to!

Już nikogo nie wystrychną na dudka

Google ogłosił, że w Niemczech, Belgii, Holandii i Szwecji nie będzie wyświetlał reklam usług ślusarskich. Firma twierdzi, że ślusarze promujący się w jej systemie w większości są nieuczciwi i wykorzystują awaryjne sytuacje klientów, naliczając im wysokie opłaty. Decyzja wzbudziła spore kontrowersje, m.in. wśród belgijskich polityków. Tamtejszy resort sprawiedliwości zapowiedział, że przygotuje system certyfikacji specjalistów od zamków, dzięki czemu ci uczciwi będą mogli wrócić na łono najpopularniejszej wyszukiwarki świata. Bo reklama to klucz do sukcesu!

Bo młodość musi się wystrzelać

Firma Kałasznikow poszerzyła asortyment o półautomatyczną broń dla dwudziestokilkuletnich miłośników smartfonów. MP-155 Ultima to strzelba z wbudowanym komputerem z wyświetlaczem, kamerą HD, modułami Wi-Fi, Bluetooth i GPS oraz gniazdem USB. Rusznikarski gadżet jest w stanie bezprzewodowo komunikować się z telefonem, a nawet nauczyć właściciela, jak strzelać. – Klasyczne polowanie staje się coraz rzadsze, dla wielu jest wręcz czymś cudacznym. Dlatego chciałbym, aby nasza oferta zdobyła serca hipsterów i przedstawicieli pokolenia Z – wyjaśnił dyrektor przedsiębiorstwa, Dmitrij Tarasow.

Atom + bity = zysk znakomity

Ministerstwo Energii Ukrainy powiadomiło, że bada możliwość wykorzystania nadwyżek mocy tamtejszych elektrowni jądrowych do generowania bitcoinów. Doszło już do rozmów w tej sprawie z udziałem państwowego Energoatomu oraz firmy Hotmine, krajowego producenta tzw. koparek kryptowalut, czyli energochłonnych urządzeń udostępniających moc obliczeniową na potrzeby globalnego systemu wirtualnych rozliczeń. Jeśli nasz sąsiad uruchomi zakład wydobywający cyfrowe złoto, polskim kopalniom węgla pozostanie zapaść się ze wstydu pod ziemię.

Co wolno wojewodzie… to i tobie, korporacjo

Gubernator Nevady Steve Sisolak chce, by firmy technologiczne mogły mieć takie same prawa jak samorządy lokalne, a więc pobierać podatki oraz tworzyć okręgi szkolne i sądy. Zdaniem polityka rozwiązanie to przyciągnie do stanu duże firmy z takich branż jak robotyka, sztuczna inteligencja i odnawialne źródła energii. Przedsiębiorstwo zainteresowane stworzeniem samorządnej strefy innowacji musi posiadać 20 tys. ha niezamieszkanej i niezagospodarowanej ziemi, która nie jest częścią miasta ani miasteczka, a także plan zainwestowania w swoje „hrabstwo" miliarda dolarów w ciągu kolejnych 10 lat. Te podatki i sądy to nawet kuszące, ale pewnie jest jakiś haczyk. Może np. trzeba zorganizować własny sanepid?

MEMY BEZ ŚCIEMY

eprasa.pl fe65c2f2d1

Przyjaźń w życiu najważniejsza. Niezwykła jest zwłaszcza ta międzygatunkowa, tak jak kota i cielaka z Kenii czy konia, kucyka i dalmatyńczyka z Holandii.

Kłamstwo ma małe koła

Dwóch czołowych uczestników zdalnych wyścigów kolarskich zostało przyłapanych na e-dopingu. Mowa o zawodach organizowanych przez platformę Zwift, możliwych dzięki specjalnemu oprogramowaniu oraz inteligentnym trenażerom, instalowanym w miejsce tylnych kół rowerów zawodników, startujących z własnych domów. Wysoka nagroda za zwycięstwo sprawiła, że sportowcy uciekli się do manipulowania danymi przesyłanymi do organizatora. Mama nie nauczyła, że na oszustwach daleko się nie zajedzie?

Z rodziną dobrze wychodzi się na… śniegu

W Amsterdamie policjanci dołączyli do cywilów, którzy prowadzili bitwę na śnieżki. Z pozoru niewinna zabawa była jednak złamaniem nowych obostrzeń antypandemicznych. Zgodnie z nimi obrzucanie się śniegiem jest bowiem dozwolone wyłącznie pomiędzy członkami jednego gospodarstwa domowego. Niby drobiazg, ale każde przekroczenie prawa grozi efektem kuli śniegowej.

FOT. A-MEM, SEKCJA GIMNASTYCZNA, PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ, JUSTIN ANANTAWAN/SOLENT NEWS/EAST NEW, HUMAN HORSE ACADEMY/CATERS NEWS/FORUM

Przegląd

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego: Robert Walenciak
e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Adam Godlewski, Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Paula Leśniewska, Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Karina Krystosiak, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupiechowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl fe65c2f2d1

Hanna Kotewicz

Dzień świąteczny

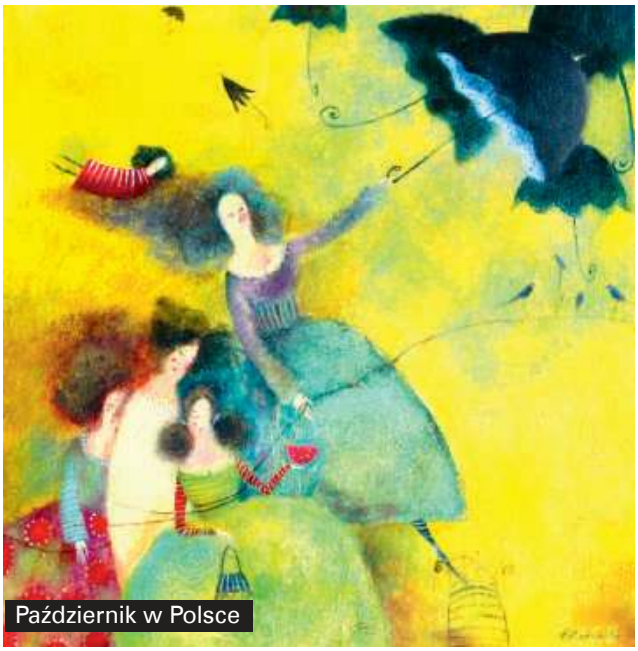
Październik w Polsce

Hanna Kotewicz to poznańska artystka, malująca głównie małe formy ilustracyjne na papierze czerpanym, ale także większe prace w technice akrylowej i olejnej na płótnie. Tematem prac jest przede wszystkim człowiek, czasami groteskowy, niedoskonały, pragnący miłości, często uskrzydlony, otoczony zwierzętami, elementami wnętrz i architektury. Jej prace, raczej kameralne, opowiadające, charakteryzują się poetycką narracją, w której humor miesza się z melancholią, naiwność z sarkazmem, a jawa ze snem.

Galeria Wieża Sztuki w Kielcach
plac Niepodległości 1A
do 14 marca

Igraszki

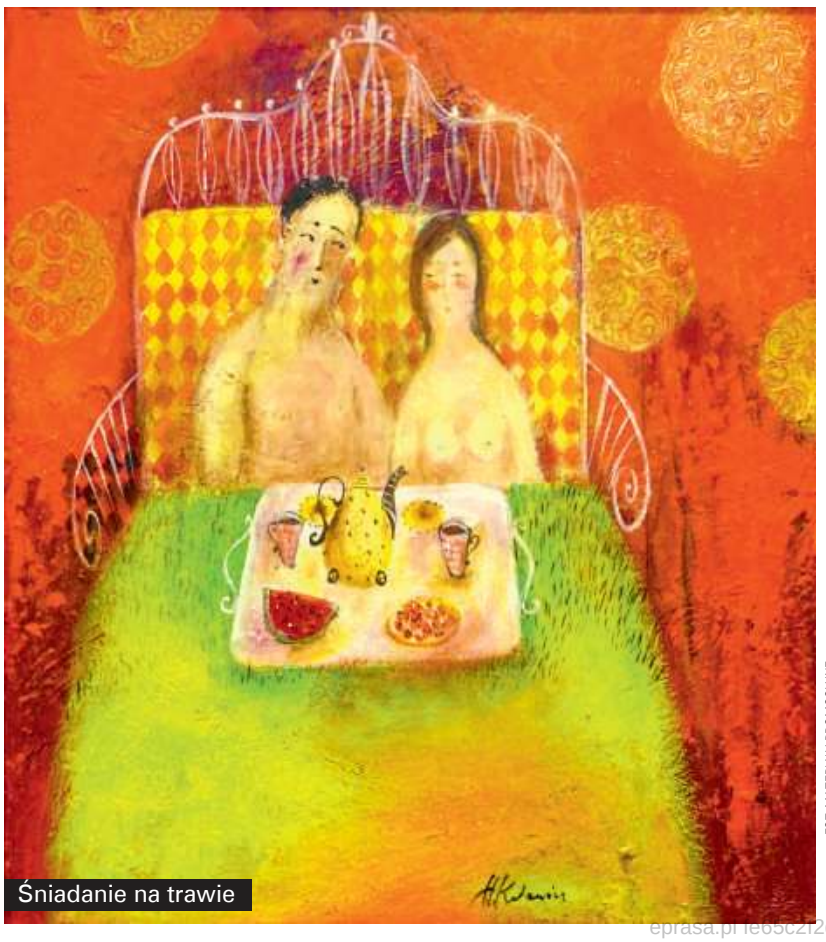
Śniadanie na trawie

Damy z ptaszkami

FOT. MATERIAŁY PROMOCYJNE

eprasa.pl/e65c2f2d1

STODOLA more than live music

KLUB STODOŁA ZAPRASZA NA KONCERTY

MIKROMUSIC

28.02.2021

KLUB STODOŁA / WARSZAWA

BILETY DOSTĘPNE NA: WWW.STODOLA.PL, WWW.TICKETCLUB.PL

10 LAT
AURORA FILMS

10 dni

3×10 filmów

TOP 10
(O)LŚNIENIA
PRZEDPREMIERY

bilety
10
PLN

10 URODZINY AURORY

Przegląd specjalny

26.02-07.03

na platformie MOJEKINO.PL

/ Aurora Films PL
aurorafilms.pl